

SERIA KRYMINALNA O LILY BARD



Autorka
bestsellerowej serii o Sookie Stackhouse

Charlaine HARRIS

CZYSTY SUMIENIE



Wielu uważało, że Deedra była za łatwa
Ale kto miał powód, by ją załatwić

CHARLAINE HARRIS

CZyste SUMIENIE

TŁUMACZENIE
ALICJA GAŁANDZIJ

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2011

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

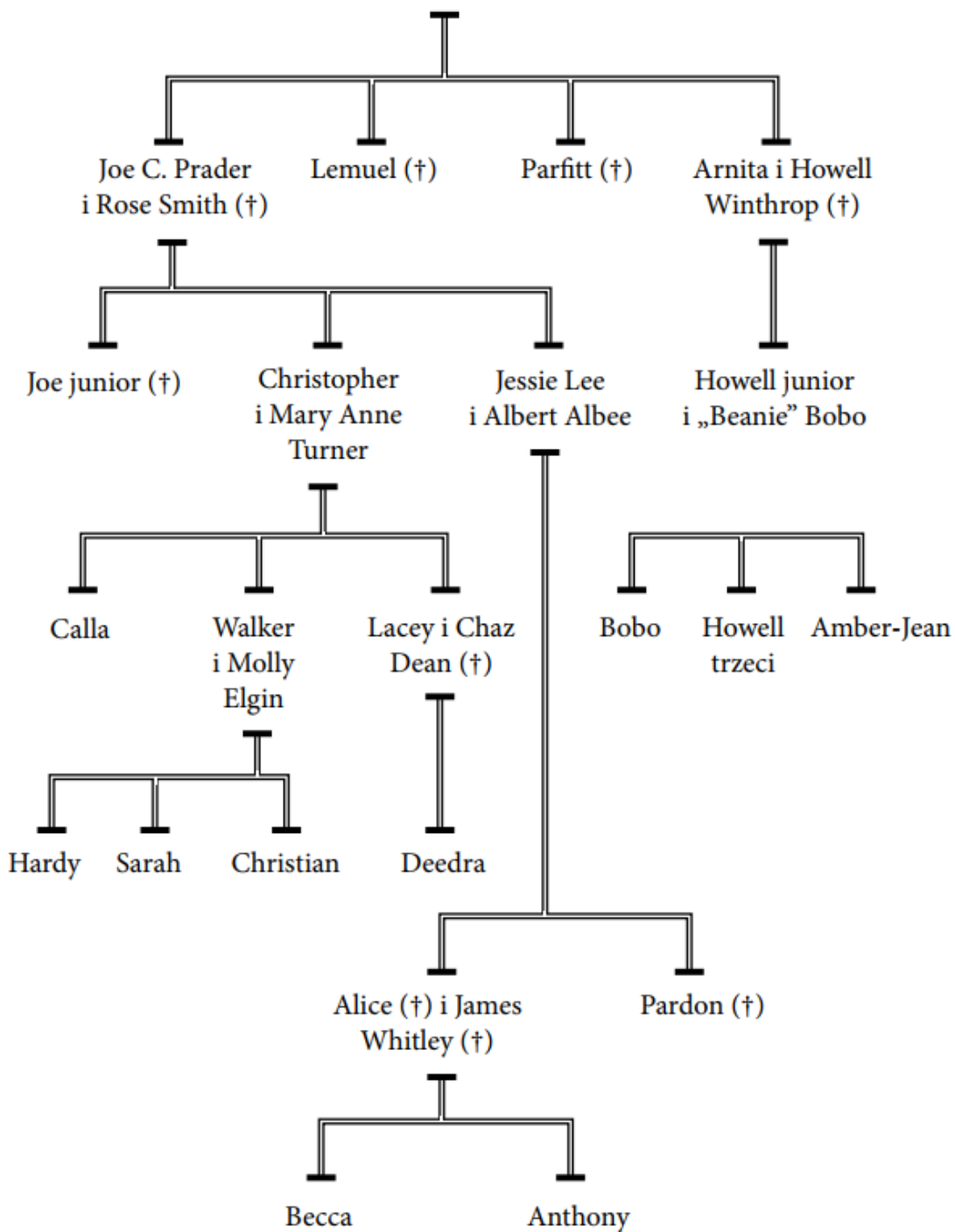
ROZDZIAŁ 13

*Tę książkę dedykuję mojej drugiej rodzinie,
ludziom z Kościoła Episkopalnego
pod wezwaniem Świętego Jakuba.
Mają prawo być przerażeni jej zawartością.*

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję zwyczajowym podejrzany: doktorowi Aungowi i Tammy Thang, byłemu komendantowi policji Philowi Gatesowi. Dziękuję również amerykańskiej ikonie, Johnowi Walshowi.

Jeremy Prader i Bessie Hewlett



ROZDZIAŁ 1

Zanim tamtego ranka otworzyłam oczy i przeciągnęłam się, spędziła w samochodzie w lesie już siedem godzin. Oczywiście nie wiedziałam o tym; nie miałam nawet pojęcia, że Deedra zniknęła. Nikt nie wiedział.

Jeśli nikt nie zauważa czyjegoś zniknięcia, to czy ta osoba naprawdę znika?

Gdy myłam zęby i jechałam do siłowni, rosa połyskiwała na bagażniku jej auta. Ponieważ Deedrę zostawiono pochyloną w lewą stronę, w kierunku otwartego okna od strony kierowcy, rosa być może była też na jej policzku.

Kiedy mieszkańcy Shakespeare czytali poranną prasę, brali prysznic, przygotowywali dla swoich dzieci drugie śniadanie do szkoły i wypuszczali psy na poranne zjednoczenie z naturą, Deedra sama stawała się jej elementem – rozpadając się, powracając do części pierwszych. Później, gdy słońce ogrzało las, pojawiły się muchy. Makijaż Deedry wyglądał strasznie, bo skóra pod nim zmieniała kolor. A ona sama siedziała w miejscu, obojętna, niewzruszona: życie wokół niej się zmieniało, ciągle ewoluując, a Deedra była w jego centrum, bez życia, bez możliwości dokonania wyboru. Zmiany, które miały się dokonać od tej pory, nie zależały od niej.

Jedna osoba wiedziała, gdzie była Deedra. Jedna osoba wiedziała, że Deedra zniknęła ze swojego normalnego otoczenia, a właściwie ze swojego życia. I ta osoba czekała na jakiegoś nieszczęsnego mieszkańca Arkansas – myśliwego, ornitologa, badacza – który znajdzie Deedrę i uruchomi całą tę maszynę, to zadanie polegające na odnotowaniu okoliczności jej zniknięcia na zawsze.

Tym nieszczęśnikiem byłam ja.

Gdyby nie kwitły derenie, nie patrzyłabym na drzewa. Gdybym nie patrzyła na drzewa, nie zauważyłabym czerwonej plamki w głębi nieoznakowanej dróżki po prawej stronie. Te małe, nieoznaczone drogi – przypominające ścieżki – są na wiejskim obszarze Arkansas czymś tak zwyczajnym, że nie warto spoglądać na nie więcej niż raz. Zazwyczaj prowadzą do obozowisk myśliwych polujących na jelenie, do szybów naftowych czy do posiadłości kogoś, kto bardzo sobie ceni prywatność. Ale dereń, na który spojrzałam, rósł jakieś siedem metrów w głębi lasu i był piękny; jego kwiaty błyszcząły jak blade motyle pośród nagich pni sosen. Zwolniłam więc, aby się mu dokładniej przyjrzeć, i zauważyłam plamę czerwieni w głębi traktu. W ten sposób elementy układanki zaczęły układać się w całość.

Przez resztę drogi do domu pani Rossiter, a także przez cały czas, gdy sprzątałam jej uroczo podniszczony domek i kąpałam jej opornego spaniela, myślałam o tej plamie czerwieni. Nie był to lśniący karmin, jaki przybierały pióra kardynała, ani delikatny, lekko fioletowy odcień azalii, ale błyszcząca metaliczna czerwień, jak lakier na samochodzie.

Faktycznie była to czerwień taurusa Deedry Dean. W Shakespeare było wiele czerwonych aut, w tym kilka taurusów. Gdy odkurzałam suterene domu pani Rossiter, zdenerwowałam się na samą siebie za zamartwianie się Deedra, która w końcu była już dorosłą kobietą. Deedra nie oczekiwała ani nie wymagała, abym się o nią martwiła, a ja nie potrzebowałam dodatkowych problemów.

Tego popołudnia pani Rossiter komentowała moją pracę w sposób, który przypominał strumień świadomości. Przynajmniej ona się nie zmieniała: pulchna, krzepka, miła, ciekawska i skupiona na swoim starym spanielu o imieniu Durwood. Od czasu do czasu zastanawiałam się, co o tym sądził pan Rossiter, póki jeszcze żył. Może jego żona zbzikowała tak na punkcie

psa dopiero po śmierci męża? Nigdy nie poznałam M.T. Rossitera, który opuścił ten świat ponad cztery lata temu, mniej więcej wtedy, gdy wylądowałam w Shakespeare. Klęcząc w łazience i spłukując szampon z sierści Durwooda za pomocą specjalnej końcówki prysznic, przerwałam pani Rossiter monolog na temat pokazu florystycznego, który miał się odbyć w Garden Club w przyszłym miesiącu, by zapytać ją, jaki był jej mąż.

Ponieważ przeszkodziłam jej w połowie zdania, skierowanie rozmowy na inne tory zajęło Birdie Rossiter dobrą chwilę.

– No cóż... mój mąż... jakie to dziwne, że pytasz o niego akurat teraz, gdy o nim myślę...

Birdie Rossiter zawsze myślała o tym, o co akurat zapytano.

– M.T. był farmerem.

Skinęłam głową, żeby pokazać, że słucham. W wodzie spływającej do kratki ściekowej zauważyłam pchłę i miałam nadzieję, że pani Rossiter jej nie dostrzeże. W przeciwnym razie Durwood i ja musielibyśmy przejść różne nieprzyjemne procedury.

– Przez całe życie pracował na roli, pochodził z rodziny farmerów. Nigdy nie poznał niczego poza wsią. Lily, jego matka nawet żuła tabakę! Wyobrażasz sobie? Ale była dobrą kobietą, pani Audie, i miała dobre serce. Kiedy wyszłam za mąż za M.T. – a miałam zaledwie 18 lat – kazała nam wybrać sobie miejsce na ich ziemi, gdzie chcemy zbudować dom. Czy to nie miłe? Więc M.T. wybrał kawałek ziemi i przez rok planowaliśmy, jak nasze miejsce ma wyglądać. I mimo całego tego planowania wyszedł zwykły stary dom. – Birdie się zaśmiała.

W jarzeniowym świetle siwe nitki na ciemnym tle jej włosów błyszcząły tak mocno, że wyglądały jak namalowane.

Zanim Birdie, wykładając mi biografię małżonka, dotarła do momentu, w którym M.T. poproszono o dołączenie do Gospelerów, męskiego kwartetu śpiewającego w kościele baptystów Mt. Olive, zaczęłam już w myślach robić listę zakupów.

Godzinę później pożegnałyśmy się, a czek od niej znalazł się w kieszeni moich niebieskich dżinsów.

– Do zobaczenia za tydzień w poniedziałek po południu – powiedziała, starając się brzmieć swobodnie, a nie samotnie. – Czeką nas ciężka praca, ponieważ następnego dnia organizuję spotkanie modlitewne, a po nim uroczysty obiad.

Zastanawiałam się, czy znów będzie mi kazała przypiąć kokardki do uszu Durwooda, jak to miało miejsce przed ostatnim takim spotkaniem. Spaniel spojrzał na mnie wymownie. Na szczęście nie był psem, który chował urazę. Skinęłam głową, zabrałam swój wózek ze środkami czystości i ścierkami i wycofałam się, zanim pani Rossiter zdołała wymyślić następny temat do rozmowy. Nadeszła pora udania się do kolejnego miejsca pracy, do domu Camille Emerson. Otwierając drzwi wejściowe, poklepałam Durwooda po głowie na pożegnanie.

– Dobrze wygląda – pochwaliłam.

Zły stan zdrowia psa i jego kiepski wzrok były dla właścicielki powodem niekończących się zmartwień. Parę miesięcy wcześniej Birdie potknęła się o jego smycz i złamała rękę, ale nie zmniejszyło to jej przywiązania do psa.

– Uważam, że to złoto, nie pies – powiedziała Birdie pewnym głosem.

Stała na ganku i obserwowała, jak pakuję swoje przybory do bagażnika i wślizguję się na siedzenie kierowcy. Z wysiłkiem ukucnęła obok Durwooda, podniosła mu łapę i pomachała nią na pożegnanie. Z

doświadczenia wiedziałam, że pies nie zazna spokoju, dopóki nie odpowiem na jego machanie.

Kiedy myślałam o tym, co mnie czeka, kusił mnie, żeby wyłączyć silnik i dłużej posiedzieć w aucie, słuchając nieprzerwanego szumu gadaniny Birdie Rossiter. Ale odpaliłam samochód, wycofałam z jej podjazdu i obejrzałam się kilka razy w obie strony, zanim wyjechałam na ulicę. Na Farm Hill Road nie było wielkiego ruchu, ale kierowcy jeździli szybko i nieuważnie.

Pamiętałam o tym, gdy przejeżdżałam obok tej nieoznaczonej drogi. Zamierzałam zatrzymać się na wąskim poboczu zarośniętym trawą. Okno mojego auta było otwarte. Kiedy wyłączyłam silnik, zapadła absolutna cisza. Nic nie słyszałam.

Wysiadłam z samochodu i zamknęłam drzwi. Łagodny wiatr poruszył moimi krótkimi kręconymi włosami i przewiał koszulkę. Zadrzałam. Mrowienie na karku ostrzegało, że powinnam odjechać, ale czasem, jak sądzę, nie da się uniknąć kłopotów.

Kiedy przechodziłam przez ulicę, moje adidasy skrzypiały cicho na zniszczonym asfalcie. W głębi lasu, po zachodniej stronie, przepiór wydał płaczliwy odgłos. W zasięgu wzroku nie było żadnego samochodu.

Po chwili wahania weszłam nieoznakowaną dróżką do lasu. Nie zasługiwała na miano drogi. Tak naprawdę były to dwa gołe ślady, pomiędzy którymi rosła trawa. Trochę starego żwiru wyznaczało miejsce, gdzie lata wcześniej po raz ostatni utwardzono trakt. Szłam cicho, ale nie bezszelestnie. Odruchowo zwolniłam. Ścieżka skręcała lekko w prawo i gdy minęłam ten zakręt, zobaczyłam, skąd pochodziła czerwona plamka widoczna z szosy.

To był samochód – taurus – zaparkowany tyłem do Farm Hill Road.

Ktoś siedział z przodu – widziałam zarys głowy po stronie kierowcy. Stałam jak wryta. Na rękach miałam gęsią skórę. O ile wcześniej byłam niespokojna, teraz ogarnęło mnie przerażenie. Z jakiegoś powodu bardziej zszokowała mnie nieoczekiwana obecność innego człowieka niż odkrycie, że w miejscu, gdzie nie miało to najmniejszego sensu, ktoś zaparkował samochód.

– Dzień dobry – powiedziałam cicho. Osoba siedząca na przednim siedzeniu czerwonego taurusa nie poruszyła się.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jestem zbyt przestraszona, by powiedzieć coś więcej. Las zdawał się mnie osaczać. Cisza była przytłaczająca. Zagwizdał ptak, a ja omal nie wyskoczyłam ze skóry.

Stałam bez ruchu i toczyłam zażartą wewnętrzną walkę. Najbardziej na świecie chciałam odejść daleko od samochodu i jego milczącego kierowcy. Chciałam zapomnieć, że kiedykolwiek tam byłam. Nie mogłam.

Poirytowana własnym niezdecydowaniem, przemaszerowałam do auta i zajrzałam do środka.

Na moment moją uwagę przyciągnęła nagość tej kobiety, odsłonięte uda i to, co wsadzono jej między nogi. Ale kiedy spojrzałam w jej twarz, musiałam zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć. Oczy Deedry były na wpół otwarte, ale nie odwzajemniały mojego spojrzenia.

Dałam sobie trochę czasu, by naprawdę dotarł do mnie ten widok i zapach – martwota – a później wyprostowałam się i odsunęłam na krok od samochodu. Zanim doszłam do siebie, stałam przez chwilę, oddychając ciężko i zastanawiając się, co powinnam zrobić.

Kątem oka dostrzegłam kolejny obcy kolor, nienaturalny w tym zielonym leśnym otoczeniu. Zaczęłam się rozglądać, starając się nie ruszać z miejsca. Właściwie to starałam się nie oddychać, żeby nie pozostawić żadnych śladów.

Największą plamką niepasującego koloru była kremowa bluzka, rzucona na kolczaste pnącze, które rozpościerało się między dwoma drzewami. Mniej więcej metr od niej zauważyłam czarną obcisłą miniówkę. Leżała na ziemi i była mocno pognieciona, podobnie jak bluzka. Para rajstop i coś jeszcze? Przechyliłam się, żeby mieć lepszy widok i zaspokoić ciekawość bez konieczności ruszenia się. Perły. Rajstopy i naszyjnik wisały na niskiej gałęzi niczym girlanda. Nie widziałam stanika, który w końcu udało mi się zlokalizować na krzaku, i butów, które rozrzucono parę metrów dalej w głębi ścieżki. Były to czarne skórzane czółenka. Pozostała tylko kwestia torebki. Byłam bliska zajrzenia znów do auta, ale zamiast tego spróbowałam sobie to wszystko wyobrazić. Torby nie było na przednim siedzeniu. Zazwyczaj do tych czółenek dobierała małą czarną torebkę ze skóry na długim pasku. Nie pracuje się dla kogoś tak długo, jak ja pracowałam dla Deedry, bez poznania jego ubrań i nawyków.

Dzięki temu jeszcze przez parę sekund nie musiałam podejmować decyzji. Uważnie rozglądałam się za torebką, ale jej nie zauważyłam. Albo rzucono ją dalej niż ubrania, albo zabrał ją mężczyzna, który był z Deedrą w lesie.

Bo z Deedrą zawsze musiał być mężczyzna.

Wzięłam głęboki oddech i przygotowałam się na to, co musiałam zrobić i do czego musiałam się sama przyznać. Musiałam zadzwonić do biura szeryfa. Rozejrzałam się raz jeszcze. Ponownie zszokowało mnie to, co tu się wokół rozegrało. Dotknęłam policzków, ale nie było na nich łez.

Deedrą nie była osobą, którą się opłakiwało. Zdałam sobie z tego sprawę, gdy szybko wyszłam z lasu na drogę. Śmierć Deedry była czymś, na co reagowało się pokręceniem głową – nie była całkiem nieoczekiwana, była w granicach prawdopodobieństwa. Deedrą miała dwadzieścia parę lat, więc fakt, że umarła, powinien być czymś szokującym, ale jakoś... nie był.

Gdy wybierałam numer do biura szeryfa (komórka była świąteczną niespodzianką od Jacka Leedsa), żałowałam, że nie jestem zaskoczona. Śmierć każdej młodej i zdrowej osoby powinna oburzać. Ale gdy tłumaczyłam operatorce, gdzie jestem – tuż za granicą Shakespeare, właściwie mogłam stąd zobaczyć znak drogowy z nazwą miasta – wiedziałam, że niewielu ludzi byłoby naprawdę zszokowanych na wieść o tym, że Deedrę znaleziono nagą, zgwałconą i martwą w samochodzie ukrytym w lesie.

Byłam ostatnią osobą, która obwiniałaby ofiarę o zbrodnię. Ale nie można było zaprzeczyć, że Deedrą z impetem, a nawet zapalem, starała się dołączyć do grupy potencjalnych ofiar. Pewnie sądziła, że fortuna i pozycja jej rodziny stanowiły wystarczające zabezpieczenie.

Wrzuciłam komórkę przez otwarte okno do samochodu, oparłam się o bagażnik i zaczęłam się zastanawiać, jaka sytuacja doprowadziła do śmierci Deedry. Kiedy kobieta ma wielu partnerów seksualnych, szanse, że któryś z nich złamie prawo, rosną. Założyłam, że tak się właśnie stało i zaczęłam myśleć. Czy gdyby Deedrą pracowała w fabryce zatrudniającej głównie mężczyzn, to jej śmierć byłaby bardziej prawdopodobna niż śmierć kobiety pracującej w fabryce z innymi kobietami? Nie miałam pojęcia. Czy prowadzący bogate życie seksualne facet miał większe szanse na bycie zamordowanym niż cnotliwy gość?

Właściwie widok samochodu szeryfa wyłaniającego się zza zakrętu nawet mnie ucieszył. Nie poznałam jeszcze nowej szeryf, choć widywałam ją w mieście. Gdy Marta Schuster wysiadła ze służbowego wozu, jeszcze raz przeszłam przez ulicę.

Podaliśmy sobie ręce, a ona zmierzyła mnie od góry do dołu spojrzeniem, które chyba miało mi uświadomić, jak bardzo jest twarda i bezstronna.

Ja też wykorzystałam okazję, by się jej przyjrzeć.

Ojciec Marty, Marty Schuster, był wybierany na szeryfa przez wiele kadencji. Po tym jak w zeszłym roku zginął w trakcie służby, jego córka miała pełnić jego obowiązki do końca kadencji. Marty był naprawdę twardym zawodnikiem wagi koguciej, ale jego żona musiała być bardziej sroga i majestatyczna. Marta była raczej walkirią: krzepka blondynka o bardzo jasnej cerze, jak wielu ludzi w tej okolicy. Shakespeare zostało założone przez kochającego literaturę i stęsknionego za ojczyzną Anglika, ale pod koniec XIX wieku miasteczko zalali niemieccy imigranci.

Marta Schuster miała niewielkie piersi i raczej szeroką talię, co dodatkowo podkreślał mundur składający się z bluzki i spódnicy. Była mniej więcej w tym wieku co ja – wyglądała na trzydzieści parę lat.

– To pani jest Lily Bard, która zgłosiła morderstwo? – Tak.

– Ciało znajduje się...?

– Tam. – Wskazałam ścieżkę.

Następny samochód z biura szeryfa zaparkował za wozem Marty. Mężczyzna, który z niego wysiadł, był wysoki, bardzo wysoki, miał metr dziewięćdziesiąt albo i więcej. Zastanawiałam się, czy biuro szeryfa miało jakieś wymagania dotyczące wzrostu funkcjonariuszy; a jeśli tak, to jakim cudem ten gość im sprostał. W mundurze wyglądał jak wielki ceglany mur, był tak blady jak Marta, choć włosy – a właściwie to, co z nich pozostało – miał ciemne. Chyba był z tej szkoły, która nakazywała policjantom golić głowy.

– Zostań tutaj – szorstko nakazała mi Marta, wskazując na zderzak swojego wozu.

Podeszła do bagażnika, otworzyła go i wyjęła parę adidasów. Zdjęła czółenka i zastąpiła je sportowym obuwiem. Widziałam, że nie była zadowolona z tego, że ma na sobie spódnicę. Kiedy szła rano do pracy, nie

miała pojęcia, że będzie musiała biegać po lesie. Wyjęła z bagażnika jeszcze kilka rzeczy i ruszyła w stronę drzew. Widać było, że Marta Schuster stara się przypomnieć sobie wszystko, czego nauczyła się o dochodzeniu w sprawie zabójstwa.

Spojrzałam na zegarek i starałam się nie westchnąć. Wyglądało na to, że spóźnię się do Camille Emerson.

Kiedy Marta skończyła przygotowania, wykonała gest podobny do tych, które widziałam w starych westernach: gdy dowodzący kawalerią pokazuje, że czas ruszać dalej. Podnosi wtedy dłoń w rękawiczce i rusza nią w przód. Dokładnie taki gest wykonała Marta, a jej człowiek w milczeniu ruszył za nią. Nie zdziwiłabym się, gdyby rzuciła mu psi przysmak.

Starałam się myśleć o wszystkim, byle tylko uniknąć wspomnienia zwłok w samochodzie. Wiedziałam jednak, że wcześniej czy później będę się musiała z tym zmierzyć. Zdałam sobie sprawę, że bez względu na to, jakie było życie Deedry i co sądziłam o decyzjach, które podejmowała, było mi przykro, że zginęła. A jej matka! Skrzywiłam się na myśl o reakcji Lacey Dean Knopp na wieść o śmierci jedynaczki. Lacey nie była świadoma działań córki i nigdy nie wiedziałam, czy była to forma ochrony dla niej samej, czy raczej dla Deedry. W każdym razie na swój sposób to podziwiałam.

Czas spokoju skończył się wraz z pojawieniem się trzeciego auta, tym razem sfatygowanego subaru. Młody mężczyzna, jasnowłosy i klockowaty, wyskoczył z samochodu i dzikim spojrzeniem rozejrzał się po okolicy. Omiótł mnie wzrokiem, jakbym była jednym z drzew. Gdy wypatrzył przerwę w linii drzew, rzucił się wzdłuż ścieżki niczym świeżo upieczony narciarz w dół stoku. Widocznie zamierzał galopem dobiec do miejsca śmierci Deedry.

Był w cywilnym ubraniu. Nie znałam go. Mogłam się założyć, że nie miał żadnego formalnego powodu, by być na miejscu zbrodni. Nie ja jednak stanowiłam prawo. Pozwoliłam mu przejść, ale przestałam się opierać o zderzak auta szeryfa i wyprostowałam ręce, które do tej pory trzymałam skrzyżowane na piersi.

W tym momencie w zasięgu mojego wzroku ponownie pojawiła się Marta Schuster i krzyknęła: – Marlon, nie!

Wysoki funkcjonariusz, który łąził za nią jak pies, chwycił niższego mężczyznę za ramiona i mocno przytrzymał. Przypomniałam sobie, że widywałam tego gościa w pobliżu Apartamentów Ogrodowych i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że był to Marlon Schuster, brat Marty. Na tę sensacyjną wiadomość mój żołądek zareagował skurczem.

– Marlon – powiedziała szeryf ostrym tonem, który mnie by powstrzymał. – Marlon, ogarnij się.

– Czy to prawda? To ona?

Stojąc półtora metra od nich, nie mogłam nie słyszeć tej rozmowy.

Marta odetchnęła głęboko.

– Tak, to Deedra – powiedziała delikatnie i pokazała swojemu koledze, żeby puścił ramię chłopaka.

Ku mojemu zdziwieniu, młodzieniec cofnął rękę, żeby zamachnąć się w kierunku siostry. Funkcjonariusz wcześniej się obrócił, żeby podejść do swojego samochodu, a Marta Schuster wydawała się zbyt zaskoczona, by się obronić. Zająłam się więc tym i chwyciłam jego uniesioną prawą rękę. Niewdzięczny głupiec obrócił się i próbował uderzyć mnie lewą. Cóż, też miałam wolną rękę, więc uderzyłam go – *seiken*, pchnięcie – dokładnie w splot słoneczny.

Wypuszczając powietrze, sapnął „uff” i upadł na kolana. Puściłam go i odsunęłam się. Przez kilka minut nie będzie mógł nikogo nękać.

– Idiota – powiedziała szeryf, kucając obok niego.

Jej człowiek nagle znalazł się obok mnie, nerwowo dotykając pistoletu. Zaczęłam się zastanawiać, w kogo by wymierzył. Po sekundzie wyluzował. Ja również.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – zapytał funkcjonariusz z biura szeryfa.

Podniosłam wzrok. Miał oczy w kolorze gorzkiej czekolady.

– Karate – rzuciłam.

Nie chciałam o tym rozmawiać. Marshall Sedaka, mój *sensei*, byłby zadowolony.

– To ty jesteś tą kobietą – powiedział.

Ni stąd, ni zowąd poczułam się naprawdę zmęczona.

– Jestem Lily Bard – powiedziałam, starając się, aby mój głos brzmiał obojętnie. – I jeśli ze mną skończyliście, powinnam pojechać do następnej pracy.

– Proszę powiedzieć raz jeszcze, jak to się stało, że ją pani znalazła – nakazała Marta Schuster, pozwalając bratu samemu się o siebie zatroszczyć.

Spojrzała w bok na swojego współpracownika, a on skinął głową. Chyba komunikacja niewerbalna szła im całkiem nieźle. Marta znów zwróciła się do mnie: – W takim razie może pani iść, pod warunkiem że będziemy wiedzieli, gdzie panią znaleźć.

Podalam jej potrzebne dane: numer telefonu pani Rossiter, numer mojej komórki i telefonu domowego, a także powiedziałam, gdzie będę pracować tego popołudnia, o ile uda mi się opuścić to miejsce.

– A skąd znała pani zmarłą? – zapytała ponownie, jakby było to coś, czego nie mogła ogarnąć.

– Sprzątałam u niej. Mieszkam obok jej bloku.

– Jak długo pracowała pani dla Deedry? Wysoki funkcjonariusz poszedł z aparatem wzdłuż ścieżki, upewniwszy się wcześniej, że Marlon trochę

odżył. Brat szeryf odzyskał siły na tyle, by dowlec się do maski swojego subaru. Rozłożył się na niej, zakrył głowę dłońmi i zawodził. Siostra kompletnie go ignorowała, mimo że robił całkiem sporo hałasu.

W kolejnym radiowozie przyjechali jeszcze dwaj funkcjonariusze z biura szeryfa i wysiedli z auta z rolkami taśmy policyjnej. Marta Schuster przerwała mi, żeby wydać im polecenia.

– Pracowałam dla Deedry (choć jestem pewna, że to jej matka mi płaciła) od ponad trzech lat – powiedziałam, kiedy szeryf znów mogła skupić się na mnie. – Sprzątałam mieszkanie Deedry raz w tygodniu.

– Czyli przyjaźniła się pani z nią?

– Nie. – Ta odpowiedź nie wymagała zastanowienia.

– Ale znała ją pani od ponad trzech lat? – zauważyła Marta Schuster, udając zdziwienie.

Wzruszyłam ramionami.

– Na ogół była w pracy, gdy do niej przychodziłam. Jednak czasami była w mieszkaniu. Czasem nawet nadal byli w nim mężczyźni. Jednak szeryf nie zapytał mnie o mężczyzn. Ale zrobi to później.

Kiedy szeryf wydawała swoim ludziom kolejne polecenia, miałam trochę czasu, by pomyśleć. Zdjęcia! Zamknęłam oczy, żeby ukryć przerażenie.

Jedną z cech Deedry, które trudno było wyjaśnić, było jej zamiłowanie do robienia sobie zdjęć nago. W szufladzie z bielizną od lat trzymała ich cały stosik. Za każdym razem, gdy odkładałam na miejsce jej czyste ubrania, czułam nieprzyjemne ukłucie dezaprobaty. Ze wszystkich rzeczy, które robiła Deedra, by afiszować się swoją bezbronnością, ta była najbardziej odstręczająca.

Pomyślałam, że te zdjęcia będą leżeć na stole w biurze szeryfa i wszyscy bez wyjątku będą je mogli obejrzeć. Zalała mnie fala żalu, a odruch,

nakazujący mi dotrzeć do mieszkania Deedry przed policją, zabrać zdjęcia i je spalić, niemal mnie przygniótł.

Marlon Schuster walnął pięścią w karoserię swojego samochodu, a jego siostra, skupiona raczej na mojej twarzy niż na jego, podskoczyła. Staralam się nie patrzeć jej w oczy. Marlon musiał obnosić się ze swoją żalobą w bardziej dyskretnym miejscu.

– Czyli ma pani klucz do jej mieszkania? – zapytała Marta Schuster.

– Tak – odpowiedziałam szybko. – I zaraz go pani oddam.

Porzuciłam swoją godną Don Kichota potrzebę chronienia prawdziwej natury Deedry przed prowadzącymi śledztwo w sprawie jej śmierci. Byłam pewna, że prawie wszyscy w miasteczku słyszeli, że Deedra prowadziła się dość swobodnie. Ale czy będą chcieli szukać mordercy z takim samym zapałem, jeśli wcześniej zobaczą te zdjęcia? Czy będą trzymać gęby na kłódkę, żeby plotki nie dotarły do matki Deedry?

Zacisnęłam mocno usta. Powiedziałam sobie w myślach, że nic już nie mogę zrobić. Pozostawiłam Deedrę samej sobie. Uruchomiłam maszynę śledztwa, ale poza tym nie mogłam jej pomóc. Koszty, które musiałabym ponieść, byłyby zbyt wysokie.

Tak myśląc, odczepiłam klucz Deedry od pozostałych i położyłam go szeryf Marcie Schuster na dłoni. Przemknęło mi przez głowę jakieś mgliste wspomnienie i zastanowiłam się, czy wiem coś o innym kluczu. Tak, przypomniałam sobie, Deedra trzymała zapasowy klucz w skrytce przy wiatkach garażowych. Gdy otworzyłam usta, żeby powiedzieć o tym szeryf, wykonała gest, który miał uciąć mój komentarz. Wzruszyłam ramionami. Powiedziałam sobie, że to tak naprawdę był mój jedyny klucz i skoro go oddałam, Deedra Dean zniknęła z mojego życia.

– Będę potrzebować listy osób, które tam pani widywała – powiedziała ostro szeryf Schuster.

Chciała wrócić na miejsce zbrodni, często obracała się w stronę lasu.

Ruszyłam już w kierunku auta. Nie podobało mi się, że uciszyła mnie w ten sposób, przecież nie trajkotałam. Nie lubiłam, gdy ktoś mi coś nakazywał.

– Nigdy nikogo tam nie widziałam – powiedziałam, już odwrócona plecami.

– Przez te wszystkie lata, kiedy sprzątała pani jej mieszkanie, nigdy nikogo pani tam nie spotkała? – Ton głosu Marty Schuster uświadomił mi, że doskonale znała reputację Deedry.

– Jej ojczym był tam któregoś ranka, gdy jej samochód nawalił.

– I to wszystko? – zapytała Marta Schuster, nie kryjąc niedowierzania.

– Tak.

Oczywiście trzy czy cztery dni temu Marlon wymykał się z mieszkania Deedry, ale o tym szeryf już wiedziała, a nie był to dobry moment na przypominanie jej o tym.

– To trochę zaskakujące.

Obróciłam się lekko, wzruszając ramionami.

– To wszystko?

– Nie. Chcę, żeby spotkała się pani ze mną w jej mieszkaniu za dwie godziny. Zna pani jej rzeczy, więc będzie pani wiedziała, czy coś zginęło. Zgodzi się pani ze mną, że lepiej, żeby pani Knopp nie musiała tego robić.

Poczułam się jak w pułapce.

– Dobrze, przyjadę.

Nie mogłam powiedzieć nic innego.

Moje zaangażowanie w pokręcone życie Deedry Dean jeszcze się nie skończyło.

ROZDZIAŁ 2

Camille Emerson znienawidziła mnie później za to, że nie przekazałam jej tej mojej małej wiadomości, ale po prostu nie chciałam rozmawiać o śmierci Deedry. Camille i tak wychodziła, ściskając w pulchnej dłoni listę.

– Tym razem pamiętałam o zostawieniu czystej pościeli – powiedziała z odcieniem dumy w głosie.

Skinęłam głową, nie mając ochoty na poklepywanie dorosłej kobiety po plecach za wykonanie tak prostej czynności jak przygotowanie mi pościeli na zmianę. Camille Emerson była wesołą bałaganiarą. Mimo że nie mogę powiedzieć, że jej nie lubiłam – tak naprawdę cieszyłam się, że dla niej pracuję – Camille starała się ocieplić nasze stosunki i doprowadzić je do czegoś w rodzaju fałszywej przyjaźni, co irytowało mnie równie mocno jak pracodawcy traktujący mnie niczym niewolnika.

– Do zobaczenia później! – powiedziała w końcu, nie uzyskawszy odpowiedzi.

– Do widzenia – odpowiedziałam po sekundzie. Całe szczęście, że byłam w odpowiednim nastroju do ciężkiej pracy, bo od mojej ostatniej wizyty Emersonowie narobili więcej bałaganu niż zwykle. Było ich tylko czworo (Camille, jej mąż Cooper i dwóch synów), ale każde z nich postawiło sobie za cel życie w centrum chaosu. Po tym jak któregoś dnia spędziłam kilkanaście minut, próbując dopasować rozmiarami prześcieradła i łóżka, poprosiłam Camille, żeby zostawiała czystą pościel na każdym z nich. Było to o wiele lepsze rozwiązanie niż zostawianie u Emersonów dłużej, bo moje poniedziałki zawsze były dość zajęte, a Camille bladła na samą myśl o płaceniu mi dodatkowych pieniędzy. Byłyśmy więc obie

zadowolone ze współpracy, oczywiście pod warunkiem że Camille pamiętała o swoim zadaniu.

Moja komórka zadzwoniła, gdy próbowałam osuszyć świeżo wyszorowaną umywalkę w łazience na dole.

– Słucham? – zapytałam nieśmiało.

Nadal nie przyzwyczałam się do noszenia telefonu.

– Cześć.

– Jack.

Poczułam, że się uśmiecham. Przez to, że trzymałam telefon, dość niezgrabnie chwyciłam mop i środki czystości w wózek i przeszłam korytarzem do kuchni.

– Gdzie jesteś?

– U Camille Emerson.

– Jesteś sama? – Tak.

– Mam wiadomość – powiedział Jack na wpół podekscytowany, na wpół zaniepokojony.

– To znaczy?

– Za pół godziny mam samolot.

– Dokąd?

Jack miał przylecieć i zostać ze mną na noc.

– Pracuję nad oszustwem. Główny podejrzany wyjechał wczoraj do Sacramento.

Poczułam się jeszcze gorzej niż po znalezieniu ciała Deedry. Nie mogłam się doczekać wizyty Jacka. Zmieniłam już nawet pościel i wróciłam wcześniej z siłowni, żeby upewnić się, że mój mały domek aż lśni czystością. Ukłuło mnie rozczarowanie.

– Lily?

– Słucham.

- Przykro mi.
- Musisz pracować. – Mój głos był równy i bez wyrazu. – Jestem tylko...
- Zła, nieszczęśliwa, pusta; wszystkie odpowiedzi były prawdziwe.
- Też będę za tobą tęsknić.
- Tak? – zapytałam tak cicho, jakby ktoś obok podsłuchiwał. – Będziesz o mnie myślał, gdy będziesz sam w swoim pokoju hotelowym?

Opowiedział mi, co zrobi.

Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Mimo że poczułam satysfakcję, gdy zrozumiałam, że Jack naprawdę żałował, że nie będzie ze mną, końcowy rezultat pozostawał taki sam: nie zobaczę go przez co najmniej tydzień, a w zasadzie dwa tygodnie były bardziej realne.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, zdałam sobie sprawę, że nie powiedziałam mu o śmierci Deedry. Nie miałam zamiaru dzwonić raz jeszcze. Pożegnaliśmy się. Spotkał kiedyś Deedrę i to była cała ich znajomość... o ile dobrze wiedziałam. Z niepokojem uświadomiłam sobie, że mieszkał naprzeciwko niej, zanim go poznałam. Skierowałam myśli na inne tory, ponieważ nie chciałam się martwić mało realną możliwością, że Jack zasmakował wdzięków Deedry, zanim mnie poznał. Wzruszyłam ramionami. Powiem Jackowi o jej śmierci przy następnej okazji.

Wyciągnęłam z kubła przepełniony worek na śmieci, zawiązałam go na supeł i skupiałam się, gdy Camille Emerson chwiejnym krokiem weszła przez kuchenne drzwi, obładowana siatkami z zakupami i przepełniona życzliwością.

Spóźniłam się na spotkanie z Martą Schuster, ale nie przejęłam się tym. Zaparkowałam samochód na własnym podjeździe, zanim wyruszyłam do sąsiadującego z moim domem bloku z ośmioma mieszkaniami. Kiedy otworzyłam wielkie drzwi wejściowe, zauważyłam, że przy krawężniku zatrzymały się dwa samochody z biura szeryfa. Byłam w kiepskim,

wojowniczym nastroju – nie najlepszy stan, jeśli ma się rozmawiać ze stróżami prawa.

– Oddychaj – poradził mi opanowany, znajomy głos. To była dobra rada, więc wzięłam ją sobie do serca.

– Marta Schuster i jej żołnierze są na górze – kontynuowała Becca Whitley, wychodząc z mieszkania na końcu korytarza i kierując się ku schodom.

Becca Whitley jakieś trzy lata temu była ucieleśnieniem snów erotycznych. Miała bardzo długie blond włosy, jaskrawoniebieskie oczy i wyraziste (choć miniaturowe) rysy twarzy. Stożkowate piersi wyrastały z jej wysportowanego ciała. Becca mieszkała w Shakespeare od mniej więcej pięciu miesięcy, kiedy wprowadziła się do mieszkania, które odziedziczyła po wuju, Pardonie Albee.

Nigdy nie sądziłam, że przetrwa tak długo w maleńkim Shakespeare. Wyznała mi, że przeprowadziła się z Dallas, i faktycznie wyglądała na kobietę z miasta. Byłam pewna, że wystawi blok na sprzedaż i wróci do jakiegoś miejskiego centrum. Zaskoczyło mnie, że została.

A na dodatek zajęła moją pozycję najlepszej uczennicy w grupie Marshalla.

Ale były też chwile, gdy czułam z Beccą jakąś więź. To była jedna z nich. Łączyło nas coś w rodzaju ostrożnej przyjaźni.

– Od dawna tam są? – zapytałam.

– Od paru godzin. – Becca spojrzała w górę, jakby pomimo sufitów i drzwi mogła widzieć, czym zajmuje się szeryf. – Kazali ci przyjść?

– Tak.

– A co z Marlonem?

– Był na miejscu zbrodni i ryczał.

– Oj – Becca zmarszczyła nos, okazując niesmak – To on tak za nią szalał?

Skinęłam głową. Zastanawiałam się, jak szeryf poprowadzi dochodzenie w sprawie własnego brata.

– Masz swój klucz? – zapytała Becca.

– Oddałam im.

– Mądry ruch. Ja też im swój oddałam. Przystąpiłam z nogi na nogę.

– Lepiej już pójdę. Mam im powiedzieć, czy coś nie zginęło.

– Do zobaczenia wieczorem – zawołała za mną, a ja jej pomachałam.

Mieszkanie Deedry było z tyłu, po prawej stronie, dokładnie nad mieszkaniem Beccy. Jego okna wychodziły na wybrukowany parking. Nie był to szczególnie inspirujący widok. Na parkingu stała wiata garażowa z ośmioma stanowiskami, kontener na śmieci i nic poza tym. Nie byłam pewna, kto oprócz Deedry mieszkał teraz na piętrze, ale znałam wiele osób, które się tu kręciły. Claude Friedrich, komendant policji i mój przyjaciel, przeprowadził się na parter, po tym jak postrzelono go w nogę. Obliczyłam, że on i Deedra mieszkali tu najdłużej. Na ogół osiem mieszkań w tak zwanych Apartamentach Ogrodowych nie stało pustych, bo były dość duże i do tego niezbyt drogie. Byłam pewna, że Becca podwyższyła czynsze, gdy skończyły się obowiązujące umowy. Wydawało mi się, że Deedra na to narzekała, ale nie były to drastyczne podwyżki.

Zapukałam do drzwi mieszkania Deedry. Otworzył mi ten sam wysoki policjant, którego widziałam na miejscu zbrodni. Zajmował całe wejście i dopiero po chwili odsunął się, żeby zrobić mi miejsce. Miał szczęście, że nie musiał płacić za gapienie się na mnie. Inaczej byłby już splukany.

– Szeryf jest w środku – powiedział, wyciągając rękę w kierunku sypialni Deedry.

Ale zamiast podążyć za jego wskazówką, stanęłam pośrodku salonu i rozejrzałam się. Sprzątałam tu w piątek, a dziś był poniedziałek, więc mieszkanie wyglądało dobrze. Deedra nie dbała za bardzo o siebie, ale o wszystko inne już tak.

Meble chyba stały na swoich miejscach; wszystkie poduszki były uporządkowane. Telewizor i magnetowid były nietknięte; rzędy kaset stały równo na regale obok telewizora. Nowiutki odtwarzacz CD stał obok. Wszystkie czasopisma Deedry leżały w porządnym stosiku, który ułożyłam parę dni temu. Wyjątkiem był jeden nowy magazyn, rozłożony na stoliku przed sofą, na której zwykle siedziała Deedra, gdy oglądała telewizję. Rachunki leżały w płaskim koszyku, do którego zazwyczaj je wrzucała.

– Czy zauważyła Pani, że coś jest inaczej niż zwykle?

Wysoki funkcjonariusz stał przy drzwiach i generalnie nie mówił wiele, co zdecydowanie działało na jego korzyść.

Potrząsnęłam głową i kontynuowałam oględziny.

– Emanuel – powiedział nagle.

Czy to było jakieś religijne wyznanie? Ściągnęłam brwi i spojrzałam na niego z powątpiewaniem.

– Clifton Emanuel. Po dłuższej chwili zrozumiałam.

– Pan nazywa się Clifton Emanuel – powiedziałam ostrożnie. Skinął głową.

Nie musiałam znać jego nazwiska, ale on chciał się przedstawić. Może miał fioła na punkcie celebrytów. „Wydział prawdziwej zbrodni”, „sekcja znanych ofiar”. Byłam jak Sharon Tate, tyle że żywa.

A może był po prostu uprzejmy.

Odczułam ulgę, gdy szeryf wyjrzała z sypialni Deedry i skinęła głową w taki sposób, że wiedziałam, iż lepiej pójść za nią.

– W salonie wszystko na miejscu? – zapytała. – Tak.

– A w tym pokoju?

Stałam przed łóżkiem Deedry i obróciłam się powoli. Deedra kochała biżuterię. Naszyjniki, kolczyki, bransoletki, nawet jedna czy dwie na stopy, były wszędzie. Sprawiało to wrażenie, jakby były porozrzucane, ale jeśli przyrzeć się dokładniej, widać było, że kolczykom nie brakowało zapięć i leżały parami. Naszyjniki były ułożone prosto i zapięte, żeby się nie plątały. Wszystko było jak zwykle. Szuflady były niedomknięte – to również było typowe dla Deedry. Łóżko całkiem porządnie zasłane. Było duże i miało wysokie rzeźbione wezglowie, które przytłaczało sypialnię. Podniosłam róg kwiecistej narzuty i zajrzałam pod nią.

– Inna pościel niż ta, którą założyłam w piątek – powiedziałam.

– Czy to coś znaczy?

– Tyle, że ktoś w tym czasie spał z nią w łóżku.

– Czy kiedykolwiek prała pościel i zakładała ją z powrotem?

– Nigdy niczego nie prała, a zwłaszcza pościeli. Miała siedem kompletów. Ja robiłam jej pranie.

Marta Schuster wyglądała na zaskoczoną. A właściwie na zniesmaczoną.

– Czyli jeśli policzę komplety pościeli w koszu na brudną bieliznę, będę wiedziała, ile razy się zabawiała od piątkowego poranka?

Westchnęłam, bo nienawidziłam wiedzieć takich rzeczy o innych, a jeszcze bardziej nie lubiłam ich ujawniać. Ale na tym polegała moja praca.

– Tak – powiedziałam ze znużeniem.

– Czy miała kamerę? Zauważyłam dużo taśm.

– Tak, miała. Trzymała ją na półce w szafie. – Wskazałam, a Marta zdjęła ją z półki.

Otworzyła miękkie czarne etui, wyjęła kamerę i włączyła ją. Otworzyła sprzęt, ale w środku nie było kasety.

– Kto płacił pani za sprzątnięcie tego mieszkania? – zapytała zniecierpliwiona.

– Myślałam, że już to omówiliśmy. Matka Deedry, Lacey, dawała jej pieniądze, żeby mogła sobie pozwolić na moje usługi.

– Czy Deedrze dobrze układało się z matką? – Tak.

– A co z ojczymem?

Zastanowiłam się, co odpowiedzieć. Słyszałam, jak kłócili się tak ostro, że byłam bliska interwencji, jakieś trzy albo cztery miesiące temu. Nie lubiłam Jerrella Knoppa. Ale nie lubić go to jedno, a powiedzieć szeryfowi, co wykrzykiwał w złości, to drugie.

– Nie byli zbyt blisko – powiedziałam ostrożnie.

– Była pani kiedyś świadkiem ich kłótni? Odwróciłam się i zaczęłam układać kolczyki Deedry w specjalnym pudełku z przegródkami.

– Proszę przestać – powiedziała gwałtownie szeryf. Upuściłam kolczyki, jakby stanęły w ogniu.

– Przepraszam – powiedziałam, kręcąc głową z powodu błędu, który popełniłam – to silniejsze ode mnie.

Miałam nadzieję, że odwróciłam uwagę Marty Schuster.

– Zawsze miała tyle porzrzuconej biżuterii? – Tak.

Poczułam ulgę, że zadała pytanie, na które łatwo było odpowiedzieć. Nie mogłam powstrzymać się od zerkania na komodę Deedry i zastanawiania się, czy szeryf już je znalazła. Ciekawe, czy powiedzenie jej o nich w jakikolwiek sposób pomogłoby sprawie.

– Mam je w kieszeni – powiedziała cicho. Spojrzałam jej w oczy.

– To dobrze.

– Co pani wie o jej życiu intymnym? Wiedziałam, że to pytanie oznaczało kompromis.

Wykrzywiłam usta z niechęcią.

– Z tego, co mi wiadomo, pani brat był bardzo zainteresowany Deedrą. Proszę zapytać jego.

Marta Schuster wystrzeliła twardą, kanciastą dłoń i chwyciła mnie za nadgarstek.

– On jest tylko ostatni w długiej kolejce – powiedziała, a jej szczęka była równie sztywna jak uścisk. – Tak słabo ją zna, że jest wystarczająco głupi, by martwić się jej śmiercią.

Popatrzyłam na jej palce i oddychałam powoli. Ponownie spojrzałam jej w oczy.

– Proszę mnie puścić – powiedziałam bardzo ostrożnie.

Zrobiła to, nie spuszczając ze mnie wzroku. Następnie cofnęła się i powiedziała: – No, czekam.

– Wie pani, że Deedra sypiała, z kim popadło. Jeśli facet miał ochotę, ona również i było niewiele wyjątków od tej zasady.

– Proszę wymienić parę nazwisk.

– Nie, zajęłoby to zbyt wiele czasu. Poza tym prawie zawsze zmywali się stąd, zanim dotarłam. – To było moje pierwsze kłamstwo.

– A co z tymi wyjątkami? Odmówiła kiedyś komuś? Pomyślałam przez chwilę.

– Ten chłopak, który pracował w magazynie tartaku Winthropów – odpowiedziałam niechętnie.

– Danny Boyce? No tak, jest teraz na zwolnieniu warunkowym. Kto jeszcze?

– Dedford Jinks.

– Z policji? – zapytała, a niedowierzanie malowało się na jej twarzy. – On jest po pięćdziesiątce.

– Czyli nie ma ochoty na seks? – Na jakiej planecie mieszkała Marta Schuster?

– Jest żonaty – zaprotestowała Marta, po czym się zaczerwieniła. – Proszę zapomnieć, że to powiedziałam.

Wzruszyłam ramionami. Miałam dość przebywania z nią w jednym pokoju.

– Był w separacji z żoną. Ale Deedra nie zadawała się z żonatymi facetami.

Szeryf nie kryła sceptycyzmu.

– Ktoś jeszcze? Tak naprawdę to przypomniało mi się coś pomocnego.

– Miała problem z kimś, kto do niej wydzwaniał. – Deedra wspomniała mi o tym ostatnim razem, gdy u niej sprzątałam, w zeszły piątek. Była spóźniona do pracy, co zdarzało się jej dość często. – W ubiegły piątek powiedziała mi, że ktoś do niej dzwonił o drugiej czy trzeciej w nocy. Naprawdę nieprzyjemne telefony od jakiegoś gościa... który zmieniał głos i opowiadał o seksualnych torturach.

Wyobraziłam sobie Deedrę, jak siedzi na skraju łóżka, przy którym teraz stałyśmy, naciąga rajstopy i wsuwa wąskie stopy w brązowe czółenka na niskim obcasie. Głowa Deedry, ukoronowana seksownie ułożonymi włosami, niedawno ufarbowanymi na rudo, była pochylona. Deedra i tak często schylała głowę, żeby ukryć brak podbródka, który był bez wątpienia jej największym defektem. Stała i uważnie oglądała się w lustrze, obciągając żakiet beżowej garsonki, którą uważała za odpowiedni strój do pracy w ratuszu. Był to wybór typowy dla Deedry, kostium był odrobinę za ciasny, spódnica trochę za krótka, a dekolt ciut za mocno wycięty.

Deedra pochyliła się i przeglądała w lustrze, nakładając pomadkę. Jej toaletka z potrójnym lustrem była zastawiona buteleczkami i plastikowymi opakowaniami kosmetyków do makijażu. Deedra była wirtuozem podkładu, różu i cienia do powiek. Miała prawdziwy talent do dopasowania makijażu do każdego możliwego zestawu ubrań, tak by wyglądać w nim jak najlepiej. Studiowała twarze i to, jakie iluzje i zmiany można było osiągnąć za pomocą udanego makijażu.

Mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądała Deedra, gdy lekko obróciła się w moją stronę, żeby opowiedzieć, co wygadywał dzwoniący, co chciał jej zrobić. Dolną wargę pomalowała szminką w odcieniu brzoskwini, górna była jeszcze naturalna. Jej ubrania, fryzura i sposób bycia tylko o krok dzieliły ją od bycia lafiryndą.

– Czy domyślała się, kim był ten mężczyzna? Pokręciłam głową.

– Nie możecie sprawdzić billingu? – zapytałam.

– Trochę to zajmie, ale dojdziemy do tego – powiedziała Marta.

Jej pomocnik zajrzał do sypialni.

– Skończyłem przeszukiwać łazienkę – powiedział Emanuel, przyglądając się nam z ciekawością. – Co teraz?

– Druga sypialnia – powiedziała szeryf. – No i torba i pościel, które leżą na pralce.

Funkcjonariusz zniknął.

– A on? – spytałam.

– Co? – zapytała bliska irytacji.

– Znał Deedrę?

Wyraz jej twarzy zmienił się i wiedziałam już, że była w jakiś sposób związana z Cliftonem Emanuelem.

– Nie wiem – powiedziała. – Ale się dowiem.

Janet Shook wycelowwała w mój żołądek, a ja wygięłam się, żeby uniknąć ciosu. Wystrzeliłam rękę i chwyciłam ją za kostkę. Miałam ją.

– Stop! – nakazał imponujący głos. – Okej, co zamierzasz teraz zrobić, Janet? – zapytał nasz *sensei*.

Opierał się o ścianę pokrytą lustrami, ręce miał założone na klatce piersiowej.

Zamarłyśmy w tej pozycji. Janet z łatwością balansowała na jednej nodze, moje palce ciągle były owinięte wokół jej kostki. Reszta grupy

siedziała, wyglądając w luźnych białych *gi* jak dziwaczna grupa przedszkolaków, i rozważała sytuację.

Janet wyglądała posepnie.

– Pewnie wyląduję na tyłku – przyznała, oceniwszy sytuację. Parę osób parsknęło śmiechem.

– Lily, co zrobisz teraz, gdy już kontrolujesz sytuację? – Twarz Marshalla o lekko orientalnych rysach nie zdradzała, jak brzmi właściwa odpowiedź.

– Dalej napierałabym na kostkę – powiedziałam. – W ten sposób.

Podniosłam prawą stopę Janet o kolejne centymetry i jej lewe kolano zaczęło się uginać.

Marshall skinął głową. Odwrócił się do reszty grupy. Podobnie jak pozostali, Marshall był boso i miał na sobie *gi*. Śnieżna biel stroju, przełamana jedynie czarnym pasem i naszywką na wysokości klatki piersiowej, podkreślała odcień, jaki miała jego skóra, odcień kości słoniowej.

– Jak Janet mogła uniknąć tej sytuacji? – zapytał zbieraninę ludzi siedzących wzdłuż lustrzanej ściany. – A znalazłszy się w niej, jak mogła się z tego wyplątać?

Raphael Roundtree, najwyższy i najciemniejszy mężczyzna w grupie, powiedział: – Powinna była szybciej wycofać swoje kopnięcie. Puściłam Janet, choć Marshall nie kazał mi tego robić, bo zaczęła mieć problemy z utrzymaniem równowagi. Janet chyba odczuła ulgę, gdy postawiła obie stopy na ziemi i skinęła głową, żeby w ten sposób mi podziękować.

– Nie powinna była w ogóle kopać – zaczęła polemizować Becca Whitley.

– Co Janet powinna zrobić zamiast tego? – zapytał ją Marshall i zachęcił gestem do pokazania odpowiedzi.

Becca wstała płynnym ruchem. Często zaplatała włosy w warkocz na zajęcia – i zrobiła to również dziś – ale nie rezygnowała z makijażu. Paznokcie u stóp miała pomalowane na jaskrawą czerwień, co wydawało mi się niestosowne na zajęciach karate... jednak szkarłatne paznokcie nie przeszkadzały Marshallowi, a były to przecież jego zajęcia.

Marshall Sedaka, nasz *sensei*, był także właścicielem siłowni Body Time, gdzie w dużej sali do aerobiku mieliśmy teraz zajęcia. Znałam Marshalla od lat. W pewnym momencie był nawet kimś więcej niż tylko przyjacielem. Wyprostował się teraz i przysunął, żeby mieć lepszy widok.

Janet odsunęła się, a jej miejsce zajęła Becca, która podniosła nogę i powoli nią ruszała, żeby każdy mógł zobaczyć, co miała zamiar zrobić.

– No i – powiedziała, a jej wąska twarz wyrażała zdecydowanie – kopię w ten sposób. – Jej stopa ruszyła w kierunku mojego brzucha, jak to zrobiła Janet. – Teraz Lily odskakuje trochę w tył i chwyta mnie za kostkę. Tak samo zrobiła z Janet.

Poczułam się w obowiązku powtórzyć swoje ruchy sprzed paru chwil.

– Ale – kontynuowała wesoło Becca – to była zmyłka. Cofam nogę i celuję nią teraz wyżej.

Cofnęła nogę, zgięła ją w kolanie i wystrzeliła w kierunku mojej głowy. Becca była jedną z niewielu osób w grupie, które były w stanie choćby spróbować kopnąć kogoś w głowę i mieć nadzieję, że cios się uda.

– Widzicie – wskazała – pochyla się, żeby złapać mnie za kostkę, więc jej głowa jest trochę niżej niż normalnie.

Nie bez wysiłku zastygłam w bezruchu, gdy stopa Beccy z tymi jaskrawymi paznokciami z szybkością światła mknęła w kierunku mojej twarzy. Becca wycofała cios mniej więcej trzy centymetry od mojego nosa. Odetchnęłam, mając nadzieję, że robię to cicho. Becca puściła do mnie oczko.

– Dobry ruch, Becca – powiedział Marshall. – Ale wiele osób w grupie nie umiałoby tego wykonać. Carlton, a co ty byś zrobił?

Carlton mieszkał obok mnie. Był właścicielem domku przy Track Street, niemal identycznego jak mój. Kiedy stałam twarzą zwrócona w kierunku swojego domu, jego był po prawej, a Apartamenty Ogrodowe trochę wyżej, po lewej stronie. Carlton miał gęste ciemne włosy, wielkie brązowe oczy, był kawalerem i sam na siebie zarabiał, przyciągał więc miejscowe samotne pszczołki niczym kwitnący krzew róży. Wędrował od jednej do drugiej, spotykając się z każdą przez miesiąc czy dwa, a później umawiał się z następną. Zdecydowanie nie był aż tak lekkomyślny jak Deedra, ale do tego, żeby być ostrożnym jak ja, sporo mu brakowało. Jeśli chodzi o karate, był zbyt wolny i zbyt ostrożny, ze szkodą dla samego siebie. Być może jego powolność i rozwaga wiązały się z tym, że był księgowym.

– W ogóle bym nie kopnął Lily – powiedział szczerze Carlton, a Janet i Raphael wybuchnęli śmiechem. – Jestem cięższy niż ona, a to moja jedyna przewaga. Próbowałbym ją mocno walnąć i miałbym nadzieję, że to ją wyłączy z walki.

– Spróbuj.

Marshall wrócił na swoje miejsce pod ścianą.

Mój sąsiad wstał i z wyraźną niechęcią powoli podszedł do mnie, a Becca z wdziękiem usiadła na podłodze obok reszty uczniów. Ustawiłam się w gotowości, miałam lekko zgięte kolana, bokiem byłam zwrócona do Carltona.

– Mam stać i pozwolić mu spróbować mnie uderzyć? – zapytałam Marshalla.

– Nie, postaw mu się – nakazał Marshall.

Zaczęliśmy z Carltonem krążyć wokół siebie. Poruszałam się płynnie, ślizgając na boki, dobrze utrzymując równowagę. Podniosłam ręce, pięści

były gotowe do ciosu. Carlton był dużo wyższy i cięższy, wiedziałam więc, że nie mogę go lekceważyć jako przeciwnika. Nie uwzględniłam jednak czynnika macho i braku doświadczenia Carltona. Był zdeterminowany, żeby mnie pokonać, i na tyle niedoświadczony, by źle wymierzyć cios.

Uderzył mnie w żebra, *seiken*, lewą pięścią, zablokowałam cios, podnosząc prawe przedramię pod jego lewą rękę, tak, żeby odchylić ją w górę. Jednak nie wypchnęłam jego ręki wystarczająco w bok – to był z pewnością błąd – i jego cios nie trafił w przestrzeń po mojej prawej stronie, jak zamierzałam. Zamiast tego siłą zamachu poleciał w przód, a jego pięść walnęła w moją szczękę.

Zanim zorientowałam się, co się dzieje, leżałam już na macie, a Carlton nachylał się nade mną i był śmiertelnie przerażony.

– Cholera, Lily, powiedz coś! – powtarzał w panice, póki Marshall nie odsunął go i nie zajął jego miejsca.

Patrzył mi w oczy, zadał kilka interesujących pytań o to, którymi częściami ciała jestem w stanie ruszać i ile palców widzę, po czym powiedział: – Sądzę, że nic ci się nie stało.

– Mogę wstać? – zapytałam rozzłoszczona.

Byłam mocno rozgoryczona, że dałam się znokautować akurat Carltonowi Cockroftowi. Reszta grupy zgromadziła się wokół mnie, ale gdy Marshall powiedział, że nic mi nie jest, mogłam przysiąc, że widziałam kilka powstrzymywanych uśmiechów.

– Wstawaj – powiedziała Janet Shook, a jej mała kwadratowa twarz wyglądała na równocześnie rozbawioną i zmartwioną. Chwyciłam jej wyciągniętą dłoń, zapałała się i pociągnęła. Przy drobnej pomocy własnych nóg udało mi się podnieść. Mimo że przez moment wszystko mi wirowało przed oczami, uznałam, że czuję się prawie dobrze.

– W szeregu zbiórka! – rzucił ostro Marshall, więc posłusznie zrobiliśmy, co kazał.

Stałam między Beccą i Raphaelem.

– *Ki-o tsuke!*

Wszyscy złączyli pięty i stali w gotowości.

– *Rei!*

Ukloniliśmy się.

– Koniec zajęć.

Byłam nadal trochę roztrzęsiona, więc powoli podeszłam do małej sterty swoich rzeczy, ściągnęłam ochraniacze sparingowe i włożyłam do torby. Wsunęłam stopy w sandały; całe szczęście, że nie musiałam się schylać, żeby zawiązać sznurowadła.

Janet dołączyła do mnie, gdy szłam do swojego starego wozu.

– Naprawdę dobrze się czujesz? – zapytała cicho. W pierwszej chwili chciałam na nią warknąć, ale zamiast tego przyznałam: – Niezupełnie.

Rozluźniła się, jakby spodziewała się, że jej odburknę, i była pozytywnie zdziwiona tym wyznaniem.

Miałam mały problem z otwarciem drzwi do auta, ale w końcu mi się udało.

– Przykro mi z powodu Deedry – powiedziała Janet. – Przykro mi, że to właśnie ty musiałas ją znaleźć. To musiało być straszne.

Pochyliłam szybko głowę, potwierdzając jej słowa.

– Pewnie znałyście się z Deedrą od lat, skoro razem tu dorastałyście...

Janet skinęła głową, jej gęste brązowe włosy obijały się o policzki. Zapuściła włosy do linii szczęki i nosiła grzywkę. Dobrze wyglądała w takiej fryzurze.

– Deedra była trochę młodsza – powiedziała, opierając się o samochód.

Wrzuciłam torbę na siedzenie pasażera i oparłam się o otwarte drzwi. Był piękny wieczór, pogodny i tylko trochę chłodny. Nie mieliśmy zbyt wielu takich – lato praktycznie zaciera się z wiosną w południowym Arkansas.

– Byłam o klasę wyżej – ciągnęła Janet po chwili. – Chodziłyśmy razem do szkółki niedzielnej w Pierwszym Kościele Metodystów. To było zanim powstał Zjednoczony Kościół w Shakespeare, i długo przed tym, nim zmarł pierwszy mąż pani Lacey, poślubiła ona Jerrella Knoppa i zaczęła chodzić do ZKS. Moja mama nadal przyjaźni się z panią Lacey.

– Czy Deedra zawsze się... puszczała? – zapytałam, bo chyba sytuacja wymagała podtrzymywania rozmowy.

– Nie, nie zawsze. To przez podbródek.

Wtedy zrozumiałam. Jej mocno cofnięty podbródek był jedyną rzeczą, która odgradzała Deedrę od bycia naprawdę piękną. To przez niego nie została nigdy królową balu, kapitanem drużyny cheerleaderek ani dziewczyną, z którą każdy chciał się umówić. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić Deedrę, jak stopniowo zaczyna dochodzić do wniosku, że skoro nie może mieć tych rzeczy, może wyróżnić się czymś innym.

– Ciekawe, dlaczego jej rodzice nie próbowali czegoś zrobić – zastanawiałam się. – Nie można czegoś zrobić z podbródkiem?

– Nie wiem. – Janet wzruszyła ramionami. – Ale wiem, że Lacey nie była zwolenniczką chirurgii plastycznej. Wiesz, jest fundamentalistką. To fantastyczna kobieta, ale nie ma w niej ani krzty liberalizmu. Dlatego tak dobrze dopasowała się do Zjednoczonego Kościoła w Shakespeare, gdy poślubiła Jerrella, a on chciał, żeby chodziła z nim do kościoła.

Wyglądało na to, że cios w szczękę miał na mnie identyczny wpływ jak lampka wina czy dwie. Nie chciało mi się ruszyć, a beczynne stanie na

parkingu i przypadkowa rozmowa z inną istotą ludzką sprawiały mi dziwną przyjemność.

– Jerrell i Deedra nie mogli się dogadać – skomentowałam.

– Aha. Szczerze mówiąc, zawsze zastanawiało mnie... – Janet zawahała się, a jej twarz skrzywiła się, wyrażając równocześnie niechęć i niesmak. – No cóż, zawsze zastanawiałam się, czy Jerrell nie spotykał się z Deedrą... No wiesz... Zanim zmarł mąż Lacey, zanim Jerrell nawet pomyślał o tym, że może się kiedyś ożenić z Lacey.

– Oj – powiedziałam, zastanawiając się nad tym przez chwilę. – Fuj.

– No właśnie – spojrzała mi w oczy. Miałyśmy podobne miny.

– Sądzę, że wspomnienie o tym byłoby dla niego bardzo trudne – powiedziała Janet powoli i ostrożnie. – Sądzę, że nie zniósłby niepewności, czy Deedra może kiedykolwiek komuś o tym powiedzieć.

Po długiej chwili zastanowienia odpowiedziałam: – Tak. Myślę, że faktycznie nie zniósłby tego.

ROZDZIAŁ 3

Lacey Knopp zadzwoniła do mnie następnego ranka. Zbierałam się właśnie do wyjazdu do Joe C. Pradera, gdy usłyszałam telefon. Miałam nadzieję, że dzwonił Jack, choć różnica czasu sprawiła, że byłam prawie pewna, że to nie on.

– Słucham?

– Lily, potrzebuję twojej pomocy – powiedziała Lacey.

Z trudem rozpoznałam jej głos. Brzmiała, jakby poddano ją wymyślnym torturom.

– Co mogę zrobić?

– Spotkajmy się jutro w mieszkaniu Deedry. Potrzebuję pomocy przy pakowaniu jej rzeczy. Możesz to dla mnie zrobić?

Staram się zostawiać sobie środowe poranki na takie właśnie projekty specjalne. Byłam dość mocno zdziwiona, że matce Deedry tak bardzo spieszy się, żeby usunąć rzeczy córki. Wielu, naprawdę wielu ludzi odreagowuje żalobę, rzucając się w wir robót. Chyba sądzą, że jeśli nie będą siedzieć w miejscu, unikną wpadnięcia w depresję.

– Tak, mogę. O której?

– O ósmej?

– Oczywiście. – Zawahałam się. – Przykro mi.

– Dziękuję – powiedziała Lacey i nagle wydawała się jeszcze bardziej roztrzęsiona. – Do zobaczenia jutro.

Byłam tak pogrążona w myślach, że pojechałam złą drogą do pana Pradera i musiałam zawrócić.

Joe Christopher Prader był stary jak świat i złośliwy jak sto diabłów. Cała rodzina i kilku (jeszcze żywych) kumpli nazywali go Joe C. Wszyscy

w Shakespeare znali go z tego, że łąził po okolicy, wymachując laską na każdego, kto się nawinął, narzekał na czasy, w których przyszło mu teraz żyć, i wspominał dawne skandale w najmniej odpowiednim momencie.

Teraz dla Joego C. czas łążenia po okolicy minął.

Podczas niektórych wizyt w miarę go lubiłam. Innym razem z radością bym go znokautowała, gdyby nie był taki słabowity. Czasem zastanawiałam się, czy faktycznie był tak kruchy, jak się wydawał, czy też może ta słabość była tylko maską, stanowiącą obronę przed odruchami podobnymi do tych, które budził we mnie.

Mieszkańcy Shakespeare byli w niewytłumaczalny sposób dumni z tego, że mają lokalną atrakcję w postaci Joego C. Jego rodzina była nieco mniej entuzjastyczna. Kiedy jego wnuczka Calla dała mi tę pracę, błagała, żebym popracowała przynajmniej miesiąc, zanim zrezygnuję. Miała nadzieję, że do tego czasu mój szok minie.

– Gdybyśmy mogli go nakłonić do wyprowadzki z tego starego domu – powiedziała zrozpaczona Calla Prader. – Gdybyśmy mogli umieścić go w Shakespeare Manor... albo namówić na stałą opiekunkę.

Joe C. z pewnością nie miał w zwyczaju ułatwiać komukolwiek życia. Jedynie sobie, ale nawet i to nie zawsze mu pasowało.

Przetrwałam ten okres próbny, a teraz mijał już trzeci miesiąc.

Joe C. wstał i ubrał się przed moim przyjazdem. Twardo odmawiał udostępnienia mi klucza, więc co tydzień musiałam czekać, aż doczłapie z sypialni do drzwi wejściowych. Próbowałam uzasadniać to filozoficznie. W końcu miał prawo nie dawać nikomu kluczy i zupełnie go rozumiałam.

Byłam jednak pewna, że niedawanie mi klucza wynika ze złośliwości, a nie z zasad. Zauważyłam, że kiedy była brzydka pogoda, dotarcie do drzwi zajmowało mu szczególnie dużo czasu. Podejrzewałam, że cieszy go myśl,

że czekam na deszczu czy zimnie, w każdym razie, że jestem zdana na łaskę wszechmogącego Joe C. Pradera, strażnika bram.

Tego poranka otworzył drzwi na oścież po krótkiej chwili.

– Aha, jesteś – powiedział zdziwiony i zniesmaczony tym, że z uporem maniaka zjawiałam się w pracy na czas.

– Jestem – powiedziałam.

Staralam się nie wzdychać zbyt głośno, gdy szłam za nim do sypialni. Na ogół zaczynałam pracę właśnie tam, od zmieniania pościeli. Joe C. zawsze musiał iść przodem i zawsze szedł bardzo, bardzo wolno. No ale był przecież dziewięćdziesięcioletkiem. Cóż mogłam rzec? Gdy szłam za nim, rozglądałam się po śladach świadczących o dawnej świetności tego wielkiego domu. Tylko posesja Praderów pozostała przy jednej z głównych ulic handlowych w Shakespeare i była atrakcją turystyczną, która najlepsze czasy miała za sobą. Zbudowano ją około 1890 roku. Miała wysokie sufity, była pięknie wykończona drewnem. Ale jej rozklekotane stare instalacje z pewnością pamiętały lepsze czasy. Piętro, na którym znajdowały się cztery sypialnie i ogromna łazienka, było teraz zamknięte, ale Carla mówiła mi, że sprzątała tam dwa razy do roku. Joe C. nie był już w stanie wchodzić po schodach.

– Cały tydzień mam zatwardzenie – rozpoczął konwersację i nie odpuścił jej, dopóki się nie pożegnaliśmy.

Zasiadł w rogu ogromnej dodatkowej sypialni na starym krześle wyłożonym czerwonym aksamitem.

– Alergia? – zapytałam w roztargnieniu, zdejmując z łoża z baldachimem pościel i rzucając ją na korytarz, skąd miałam ją później zebrać i zanieść do pralki.

Wytrzepałam narzutę i ułożyłam ją na oparciu łóżka.

– Nie, uważam, że zjadłem za dużo sera. Ser zatyka, wiesz przecież.

Odetchnęłam powoli i spokojnie i wyszłam na korytarz, żeby wygrzebać coś z szafki z pościelą.

– Poprosiłeś Callę, żeby dała ci suszonych śliwek?

Zarechotał. Wygrałam.

– O tak, panienko, tak zrobiłem i zjadłem wszystkie śliwki. Dziś jest ten dzień.

Tego ranka nie byłam w najlepszym nastroju na zadawanie się z Joe C. Nie działał na mnie urok tego akurat gościa. Być może zwiedzający, których starała się przyciągnąć Izba Handlowa, doceniłoby barwne historie o jelitach Joego C. Nie mogłam sobie wyobrazić, po co ktoś miałby chcieć zwiedzać Shakespeare, skoro jego jedyną atrakcją miałyby być domy zbudowane przed wojną secesyjną. Byłyby, gdyby nie spłonęły doszczętnie podczas „ostatniej nieprzyjemności”, jak China Belle Lipscott, najlepsza przyjaciółka Joego C., nazywała tę właśnie wojnę. Tak więc Shakespeare mogło się pochwalić jedynie tym, że „jesteśmy starzy, ale nie mamy na to żadnych dowodów”.

Być może dałoby się posadzić Joego C. na ławeczce na rynku, gdzie mógłby zabawiać każdego, kto się napatoczy. Mógłby codziennie zdawać sprawozdanie na temat stanu swoich jelit.

– Córka Chiny Belle podrzuci ją za parę minut – poinformował mnie Joe C. – Czy mój krawat nie jest przekrzywiony?

Zakładałam prześcieradło z gumką i właśnie się wyprostowałam. Podejrzywałam, że Joe C. gapił się na mój tyłek.

– Wyglądasz dobrze – powiedziałam bez entuzjazmu.

– China Belle jest całkiem niezła – powiedział, próbując rzucić mi pożądliwe spojrzenie.

– Jesteś okropny – powiedziałam. – Pani Lipscott to przemiła kobieta, która nie poszłaby z tobą do łóżka, nawet gdybyś był właścicielem

ostatniego materaca na tym świecie. Przestań gadać świństwa.

– Ojoj – powiedział, udając przerażenie. – Męcz staruszka, czemu nie. No chodź, spraw, żeby stary Joe C. znów poczuł się świetnie.

To mi wystarczyło.

– Posłuchaj – powiedziałam z przejęciem i ukucnęłam przed nim.

Postawił między nami swoją laskę, co nie uszło mojej uwadze. Widocznie nie wykluczył tego, że mogę się mu odpłacić.

– Dobrze.

– Nie będziesz mnie informował o swoich funkcjach fizjologicznych. Dopóki nie krwawisz, mam to gdzieś. Nie będziesz wygłaszał uwag o charakterze seksualnym.

– Bo co? Uderzysz mnie? Dziewięćdziesięcioletniego starca, który chodzi o lasce?

– Nie bądź taki pewny, że tego nie zrobię. Oblech to oblech, i tyle.

Spojrzał na mnie wrogo. Jego brązowe oczy były prawie niewidoczne pod fałdami skóry, pomarszczonej na całej twarzy.

– Calla ci nie zapłaci, jeśli mnie uderzysz – powiedział prowokacyjnie.

– Będzie to warte swojej ceny.

Spojrzał na mnie z niechęcią, żałując jak cholera, że jest stary i bezsilny. Nie miałam mu tego za złe.

Gdy będę tak stara jak on, pewnie będę czuć się dokładnie tak samo. Ale są pewne rzeczy, z którymi się nie pogodzę.

– O, już dobrze – zgodził się.

Patrzył w kąt pokoju, a nie na mnie, więc podniosłam się i kontynuowałam ścielenie łóżka.

– Znałaś tę zamordowaną dziewczynę, Deedrę? – Tak.

– Była moją prawnuczką. Była tak puszczańska, jak mówią?

– Tak – odpowiedziałam, zanim dotarło do mnie to, co powiedział na początku.

Spojrzałam na niego, zszokowana i zła.

– Za moich czasów była Fannie Dooley – przypomniał sobie Joe C., wykrzywioną dłonią przyklepując resztę włosów.

Pracowicie ignorował mój gniew. Widziałam zdjęcie Joego C. z czasów, gdy miał dwadzieścia parę lat: gęste czarne włosy z przedziałkiem pośrodku i gładkie, wysportowane ciało. Wyszczerał zdrowe, choć niezupełnie proste zęby. Założył sklep żelazny, w którym pracowali też jego synowie aż do momentu, gdy Joe junior zginął młodo w czasie drugiej wojny światowej. Od tego momentu Joe C. i jego młodszy syn Christopher prowadzili interes. Joe C. Prader pracował ciężko i z żelazną konsekwencją. Fakt, że był stosunkowo bezradny, musiał sprawić, że stał się tak zboczony i wkurzający.

– Fannie Dooley... – podpowiedziałam. Nie miałam zamiaru dać mu satysfakcji, okazując zaskoczenie.

– Fannie była tutejszą niegrzeczną dziewczynką – wyjaśnił. – Zawsze jest taka, prawda? Dziewczyna z dobrego domu, taka, która lubi to robić, ale nie bierze za to pieniędzy.

– Zawsze jest taka?

– W każdym małym miasteczku jest taka jedna albo dwie – zauważył Joe C. – Oczywiście niedobrze jest, gdy to ktoś z twojej rodziny.

– Chyba tak.

W moim liceum, milion lat temu, taką rolę odgrywała Teresa Black. Od tamtego czasu zdążyła przeprowadzić się do Little Rock i wyjść cztery razy za mąż.

– Deedra była twoją prawnuczką? – zapytałam, zaskoczona, że nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tej relacji.

– Tak, kochanie. Zawsze gdy mnie odwiedzała, była wcieleniem słodyczy. Nigdy bym nie zgadł.

– Jesteś okropny – powiedziałam beznamiętnie. – Ktoś kiedyś zepchnie cię z ganku albo walnie w głowę.

– Zawsze będą jakieś niegrzeczne dziewczynki – powiedział, prawie przyjaźnie. – Bez tego skąd grzeczne dziewczynki wiedziałyby, że są grzeczne?

Nie mogłam się zdecydować, czy te słowa były naprawdę głębokie, czy po prostu głupie. Wzruszyłam ramionami i odwróciłam się plecami do tego okropnego starca, który wyznał moim plecom, że zamierzał zrobić się na bóstwo dla swojej dziewczyny.

Gdy skończyłam sprzątać parter starego domu, w którym podłogi nie były zbyt dobrze wypoziomowane, Joe C. i China Belle Lipscott umościli się na dość wygodnych wyściełanych fotelach z wikliny na ganku z przodu domu, każde ze szklanką lemoniady. Mieli właśnie fazę na uwagi typu: „Do czego zmierzą ten świat?”, oczywiście przez morderstwo Deedry. Kiedy dorastali, w miasteczku były puszczalskie dziewczyny, ale każdy miał co jeść, każdy znał swoje miejsce, ceny były niskie, i prawie nie było morderstw. Być może czasem jakiegoś czarnego powieszono bez wyroku sądu, może czasem jakaś panna zmarła w wyniku spartaczonej skrobanki i być może było trochę bezprawia, gdy odkryto złoża ropy... Ale Joe C. i China Belle woleli pamiętać swoje dzieciństwo jako raj na ziemi.

Znalazłam dowód (peta z filtrem), że Joe C. znów zaczął popalać. Jednym z moich drobnych zadań było donoszenie Calli, gdy znalazłam ślady papierosów. Joe C. raz czy dwa niemal podpalił dom, zasnawszy z papierosem w dłoni. Gdy stało się to za drugim razem, był nieprzytomny, a jego materac tlił się – wtedy znalazła go Calla. Kto mógł przemycać mu papierosy? Ktoś, kto chciał, by miał jakąś małą przyjemność z życia, czy

ktoś, kto chciał, by umarł jak najszybciej? Wygrzebałam z głębi szafy kubek, którego używał jako popielniczki i zabrałam go do kuchni, żeby umyć.

Zastanawiałam się, czy dom był ubezpieczony na dużą kwotę. Lokalizacja czyniła go cennym, nawet jeśli stan techniczny był taki, że budynek mógł się w każdej chwili zawalić Joemu C. na głowę. Teraz po obu stronach domu otworzono jakieś sklepy, ale gęste krzaki, które go otaczały, sprawiły, że nie było ich widać ani z przodu, ani z tyłu domu. Wzmógł się ruch, jaki powodowały (z jednej strony był sklep ze starociami, z drugiej – z ubraniami dla kobiet), sprawiał Joemu C. nieskończoną radość, bo znał wszystkich w miasteczku i o prawie każdej osobie, która przejeżdżała, opowiadał jakąś okropną dykteryjkę.

Gdy odkładałam swoje narzędzia, przyjechała Calla. Często tak ustawiała swój przyjazd, żeby dotrzeć tuż przed moim odjazdem, pewnie po to, by sprawdzić, jak sobie poradziłam, i ulżyć swojej niedoli. Może sądziła, że jeśli nie będzie mnie pilnować, będę się obijać w pracy, zwłaszcza że Joe C. nie był krytyczny wobec mnie (chyba że nie mógł znaleźć innego sposobu, żeby mnie zirytować). Calla była jego dokładnym przeciwieństwem. Przepracowana (przynajmniej we własnym mniemaniu) w biurze miejscowej fabryki materacy, ciągle udręczona, była zdeterminowana, by nie dać się już nigdy więcej oszukać. Z pewnością była kiedyś nastolatką, z pewnością się kiedyś śmiała i umawiała na randki, ale patrząc na tę bladą ciemnowłosą kobietę, trudno było uwierzyć, że nie zawsze była zmartwioną babką w średnim wieku.

– Jak on się dziś miewa? – zapytała przyciszonym głosem.

Ponieważ wchodząc, minęła swojego dziadka, który był w widocznie dobrej formie, nie odpowiedziałam na jej pytanie.

– Znów palił – poskarżyłam niechętnie, bo czułam się jak szpieg.

Z drugiej jednak strony nie chciałam, żeby się spalił.

– Lily, kto mógłby przynosić mu papierosy? – Calla trzasnęła w blat chudą bladą ręką. – Pytałam wszystkich, ale nikt się nie przyznał. A jednak jak na kogoś, kto nie jest w stanie sam dotrzeć do sklepu, Joe C. ma nieograniczony dostęp do rzeczy, których mieć nie powinien!

– Kto go odwiedza?

– No cóż, to skomplikowana rodzinka.

Choć mi nie wydawało się to szczególnie skomplikowane, Calla zaczęła wyjaśniać. Wiedziałam już, że Joe C. miał troje dzieci. Pierwszy był Joe junior, który zginął podczas drugiej wojny światowej, nie doczekawszy się potomstwa. Drugi syn, Christopher, miał Callę, Walkera i Lacey. Byli oni jedynymi żyjącymi wnukami Joego C. Calla nigdy nie wyszła za mąż. Walker mieszkał w Karolinie Północnej i miał trójkę nastoletnich dzieci, a Deedra była córką Lacey z pierwszego małżeństwa.

Ciotka Calli (ostatnie dziecko Joego C.), Jessie Lee Prader, wyszła za mąż za Alberta Albee. Jessie Lee i Albert mieli dwójkę dzieci: Alice (która poślubiła niejakiego Jamesa Whitleya z Teksasu, przeprowadziła się tam i miała z nim dwoje dzieci) i Pardon, który był właścicielem Apartamentów Ogrodowych w Shakespeare. Kiedy Pardon zginął, Apartamenty odziedziczyły dzieci Alice Albee Whitley: Becca i Anthony, bo owdowiała Alice zmarła dwa lata wcześniej na raka.

Ostatnim czynnikiem komplikującym była siostra Joego C., Arnita, która była dużo młodsza od brata. Jak to bywało w tamtych czasach, dwójka rodzeństwa Joego C. zmarła przy narodzinach lub w okresie niemowlęcym. Arnita wyszła za mąż za Howella Winthropa i urodził im się Howell Winthrop junior, mój późniejszy (a teraz już były) pracodawca. Tak więc siostra Joego C. była babką mojego młodego przyjaciela Bobo Winthropa, jego brata Howella trzeciego i jego siostry, Amber–Jean.

– Czyli pani, Becca Whitley, jej brat i Winthropowie jesteście rodziną? – upewniłam się.

Ponieważ czyściłam blat kuchenny, byłam na szczęście zajęta, gdy Calla wygłaszała swój długi i raczej nudny wykład.

Calla skinęła głową.

– Byłam taka szczęśliwa, gdy Becca się tu przeprowadziła. Uwielbiałam Alice, a nie miałam okazji spotkać się z nią od wielu lat. – Calla wyglądała na melancholijną, ale jej nastrój zaraz gwałtownie się zmienił. – No i widzisz, kto jest właścicielem całego bloku, kto znalazł się w posiadłości, a kto siedzi w domu, który za chwilę zostanie przerobiony na sklepy – powiedziała z żalem.

Becca zarabiała na czynszu, Winthropowie wzbogacili się dzięki tartakowi, sklepowi sportowemu i ropie, a mały domek Calli stał wciśnięty między siedzibę towarzystwa ubezpieczeniowego a mały zakład naprawy silników.

Nie było na to dobrej odpowiedzi. Na ogół Calla była mi obojętna, ale czasem było mi jej żal. Niekiedy rozżalenie, które stanowiło o całym jej charakterze, drażniło mnie.

– No i wszyscy wpadają z wizytą – powiedziała, gapiąc się w okno, a para z filiżanki świeżo zaparzonej kawy wznosiła się w kierunku jej twarzy w złowieszczy sposób.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że się zachmurzyło, a ciemność zaglądała do pokoju. Joe C. i China Belle, podobnie jak meble ogrodowe, musieli zostać sprowadzeni do domu, zanim przemokną albo zostaną porwani przez wiatr.

– Prawnuki: Becca Whitley, cała wymalowana; Deedra, w swoich ciuchach ładaczniczy... Joe C. uwielbiał to. A cioteczne wnuki: Howell

trzeci, który pytał, czy może pomóc skosić trawnik, choć sam przez całe życie ani razu nie musiał włączyć kosiarki.

Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że Calla była aż tak zawzięta. Odwróciłam się, by spojrzeć na tę starszą kobietę, która wydawała się niemal zahipnotyzowana. Musiałam pójść po staruszków albo skłonić Callę, by się nimi zajęła. W oddali zagrzemiał piorun, a wzrok Calli badał niebo w poszukiwaniu deszczu.

W końcu skierowała zimny i obcy wzrok w moją stronę.

– Możesz już iść – powiedziała tak chłodno, jakbym chciała udawać krewną Joego C.

Zabrałam swoje rzeczy i wyszłam bez słowa, pozostawiając Calli zadanie przemieszczenia dziadka i jego dziewczyny.

Byłam ciekawa, czy Callę ucieszyła śmierć Deedry. Odpadła jedna osoba, na którą Calla mogła się natknąć u dziadka. Odpadła jedna wymalowana kobieta, która mogła podniecać staruszkę i ograbić Callę z jej potencjalnego spadku.

ROZDZIAŁ 4

Szeryf rozmawiała z Lacey Dean Knopp. Lacey ledwo przekroczyła pięćdziesiątkę, była uroczą blondynką o tak niewinnej twarzy, że niemal każdy chciał okazać jej jak najlepsze maniery, podzielić się jak najbardziej uczciwą opinią na dany temat i postarać się ze wszystkich sił. Kiedy poznałam Lacey, tego dnia, gdy zleciła mi sprzątanie mieszkania Deedry, ta niewinność mocno mnie zirytowała. Ale teraz, po latach, współczułam jej bardzo mocno, bo tak wielkie spotkało ją nieszczęście.

Szeryf wyglądała, jakby w ciągu dwóch ostatnich nocy nie przespała więcej niż godzinę. Wprawdzie jej mundur był czysty i wyprasowany, a buty wypastowane, ale twarz wyglądała jak pognieciona pościel, z której ktoś wstał zbyt szybko. Zastanawiałam się, jak musiał wyglądać jej brat Marlon. Jeśli Marta Schuster myślała racjonalnie, umieściła pogrążonego w żałobie młodzieńca gdzieś z dala od ludzi.

– Skończyliśmy już tutaj – oznajmiła szeryf. Lacey odpowiedziała odrętwiałym skinieniem głowy. Gdy oparłam się o ścianę, czekając, aż matka Deedry każe mi wejść do środka, Marta wpatrywała się we mnie wzrokiem żołnierza, który wrócił właśnie z morderczej bitwy.

– Lily Bard – powiedziała Marta.

– Pani szeryf.

– Co panią tu sprowadza? – zapytała Marta, unosząc brwi. Wyraz jej twarzy zinterpretowałam jako pogardliwy.

– Poprosiłam ją, żeby przyszła – wyjaśniła Lacey. Jedną rękę zacisnęła na drugiej, a gdy zaczęłam się jej przyglądać, przesunęła paznokciami prawej dłoni po lewej ręce.

– Lily pomoże mi wysprzątać mieszkanie córki – kontynuowała Lacey. Jej głos był płaski i bez życia.

– Ach tak – powiedziała szeryf, jakby to, co usłyszała, było w jakiś sposób istotne.

Czekałam, aż Marta się przesunie. W końcu znudziło jej się rozmyślanie i odsunęła się, żeby nas przepuścić. Gdy ją mijałam, klepnęła mnie w ramię. Lacey stała bez ruchu w salonie, a ja odwróciłam się i spojrzałam pytająco na Martę Schuster.

Zerknęła w głąb pokoju, żeby się upewnić, że Lacey nie słucha, po czym przysunęła się do mnie na nieznośnie bliską odległość i powiedziała: – Sprzątnij rzeczy z pudełka pod łóżkiem i z dolnej szuflady komody w łazience dla gości.

Po sekundzie zrozumiałam i skinęłam głową.

Lacey nie zauważyła tej wymiany zdań. Gdy zamknęłam drzwi mieszkania, zobaczyłam, że Lacey rozgląda się dokoła, jakby nigdy wcześniej nie widziała mieszkania córki.

Spostrzegła, że jej się przyglądam.

– Nie przychodziłam tu zbyt często – powiedziała ze smutkiem.

– Przyzwyczaiałam się do tego, że u nas był „dom”, i wydawało mi się, że tam było miejsce Deedry. Chyba matkom zawsze się zdaje, że ich dzieci tylko się bawią w bycie dorosłymi.

Nigdy nie było mi nikogo tak żal. Ale litość nie mogła pomóc Lacey. Miała jej wokół siebie mnóstwo – gdyby tylko chciała. Ale tak naprawdę potrzebowała praktycznej pomocy.

– Od czego chciałaby pani zacząć?

Ledwo mogłam się powstrzymać od przemaszerowania do sypialni w poszukiwaniu rzeczy, których kazała mi się pozbyć Marta Schuster.

– Jerrell przyniósł to wcześniej – wskazała na stertę rozłożonych pudeł z kartonu i dwie rolki worków na śmieci. Znów zamilkła – Czy chce pani zatrzymać jakieś rzeczy Deedry? – zapytałam, starając się sprowokować ją do wydawania mi poleceń.

Lacey zmusiła się do udzielenia odpowiedzi.

– Być może część jej biżuterii – powiedziała stosunkowo pewnym głosem. – Żadnych ubrań, Deedra miała rozmiar mniejszy niż ja. – Poza tym Lacey umarłaby, gdyby ktoś ją zobaczył w skąpych ubraniach Deedry. – A tobie by się nie przydały?

Odczekałam chwilę, żeby nie wyglądało to, jakbym odrzucała ofertę bez zastanowienia.

– Nie, mam zbyt szerokie ramiona – odpowiedziałam. Była to wymówka w podobnym stylu co Lacey, udającej, że ubrania byłyby za małe. Zaraz potem pomyślałam jednak o stanie własnego konta i przypomniałam sobie, że potrzebuję zimowego płaszcza.

– Jeśli znajdę jakiś płaszcz albo kurtkę, które będą na mnie pasować, mogę je wziąć – powiedziałam niechętnie, a Lacey przyjęła to niemal z wdzięcznością. – Czyli gdzie ma trafić reszta ubrań?

– ZKS zbiera ubrania dla potrzebujących. Mogę je tam zabrać.

Zjednoczony Kościół był niedaleko, przy tej samej ulicy. Odkąd wybudowano nową szkółkę niedzielną, był to najbardziej oblegany kościół w miasteczku.

– Nie będzie to pani przeszkadzać?

– To, że jakaś biedna kobieta będzie chodzić w starych ubraniach Deedry? – zawahała się. – Nie, wiem, że Deedra chciała pomagać innym.

Próbowałam sobie przypomnieć, komu Deedra pomogła (w inny sposób niż poprzez rozluźnienie jego napięcia seksualnego), kiedy Lacey

powiedziała: – Wszystko z kuchni niech trafi do opieki społecznej. ZKS zbiera tylko ubrania.

Urząd miasta Shakespeare miał kilka pomieszczeń w domu kultury, w którym trzymano różne przedmioty zebrane ze strychów i szafek mieszkańców: garnki, patelnie, naczynia, przybory kuchenne, pościel, koce. Zbierano je, żeby mieć co dać rodzinom dotkniętym jakąś katastrofą. W tej części kraju katastrofami były na ogół pożary lub tornada.

Lacey znów stała w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Gdzie mam zacząć? – zapytałam najłagodniej, jak potrafiłam.

– Zaczynij, proszę, od jej ubrań. To dla mnie najtrudniejsze. Lacey odwróciła się, zabrała pudło i poszła do kuchni.

Podziwiałam jej odwagę.

Wzięłam pudełko, złożyłam je i udałam się do większej sypialni.

Wszystkie pomieszczenia zostały przeszukane. Pewnie policja zawsze ma nadzieję znaleźć kawałek kartki z wiadomością: „Spotykam się z Janem Kowalskim o 20. Jeśli coś mi się stanie, to jego wina”. Byłam jednak całkiem pewna, że nic takiego się nie znalazło. Ja również na taką wiadomość nie trafiłam, choć skrupulatnie przeszukałam kieszenie wszystkich ubrań i zajrzałam do każdego buta, który wkładałam do pudła.

Gdy byłam pewna, że Lacey jest zajęta pracą w kuchni, sięgnęłam pod łóżko Deedry i wyciągnęłam pudełko, które tam ukryła. Pod łóżkiem sprzątałam tylko kilka razy, kiedy Deedra (a właściwie Lacey) zapłaciła za gruntowne porządki. Ale w takich wypadkach Deedra dostawała sporo ostrzeżeń i zdołała gdzieś ukryć tę rzeźbioną drewnianą szkatułę ze szczelną przykrywką. Uniosłam ją, żeby zajrzeć do środka. Dokładnie obejrzawszy zawartość pudła, zatrzasnęłam je i pomyślałam o tym, jak mogę schować je przed Lacey.

Od lat nie uważałam się za naiwną. Ale właśnie odkryłam, że nie tylko nadal można mnie zszokować, lecz że są całe obszary, w których moje życie jest całkiem banalne.

Zajrzałam znów.

Część gadżetów erotycznych nawet ja byłam w stanie rozpoznać, choć nigdy wcześniej ich nie widziałam. Ale parę z nich wprowadziło mnie w zakłopotanie.

Wiedziałam, że będę rozmyślać nad ich zastosowaniem przez długi czas, i ta świadomość mi nie pomogła. Wepchnęłam pudło z powrotem, tak żeby narzuta całkowicie je zakryła. Miało tam zostać, dopóki nie wymyślę sposobu na wyniesienie go ukradkiem z mieszkania. Zaczęłam się zastanawiać, czy Jack używał kiedykolwiek takich zabawek. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że zawstydził mnie pomysł, żeby go o to zapytać. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że jest coś, co mogliśmy zrobić lub o czym mogliśmy rozmawiać, a co mogłoby mnie zakłopotać. Ciekawe.

Zanim wślizgnęłam się do pokoju gościnnego, wyjrzałam na korytarz. Otworzyłam szufladę, o której mówiła szeryf. Była wypełniona kajdankami, poplamionymi jedwabnymi apaszkami, grubymi sznurami... i filmami.

– O mamó – mruknęłam pod nosem, gdy odczytałam tytuły filmów.

Poczułam, jak się czerwienię i robi mi się gorąco. Jak mogła tak się narażać na zranienie? Jak mogła w taki sposób zdawać się na czyjąś łaskę? Wydawało mi się, że tylko kobieta, która nigdy nie doświadczyła przemocy seksualnej, mogła uważać jej imitację za coś podniecającego. Ale może i w tej kwestii jestem naiwna, pomyślałam ponuro.

Wepchnęłam wszystko do worka na śmieci i wsadziłam pod łóżko obok szkatułki. Po czym zaczęłam szybko pakować ubrania, żeby nadrobić

stracony czas.

Zacząłam od otwarcia górnej szuflady komody, w której Deedra trzymała bieliznę. Ciekawe, czy kobiety z kółka przy Zjednoczonym Kościele w Shakespeare będą zadowolone, gdy zobaczą egzotyczne fatalaszki Deedry. Czy ludzi w potrzebie ucieszą stringi w panterkę i haleczka do kompletu?

Dalej zabrałam się do komody i bardziej przyziemnej garderoby. Składałam wszystko porządnie, starając się dzielić ubrania według kategorii: spodnie, letnie sukienki, koszulki, spodenki. Założyłam, że Deedra przeniosła zimowe ubrania do szafy w pokoju dla gości. Tam powinny być kurtki.

Miałam rację. Druga szafa była równie mocno zapchana jak pierwsza, ale tę wypełniały zimowe ubrania. Większość jej kostiumów i sukienek pasowała do kategorii „kompetentna suka”. Deedra uwielbiała stroić się do pracy. Uwielbiała też swoją pracę. Odkąd skończyła dwa lata przeciętnych studiów w miejscowym college’u, pracowała w biurze sekretarza hrabstwa w ratuszu. W Arkansas sekretarzy wybiera się na dwa lata i często ten urząd piastuje kobieta. W jednym z hrabstw Shakespeare, Hartsfield, ostatnie wybory wygrał mężczyzna, Choke Anson. Mój przyjaciel, komendant policji Claude Friedrich, sądził, że Choke zamierzał użyć stanowiska jako trampoliny do pozycji w polityce hrabstwa, a później stanu.

Byłam prawdopodobnie osobą najmniej zainteresowaną polityką w całym Hartsfield. W Arkansas polityka to połączenie artykułów w brukowcach z awanturami. Politycy w Arkansas nie boją się być barwni i uwielbiają bratać się z ludem. Ponieważ sumienie nie pozwalało mi nie pójść na wybory, często wybierałam mniejsze zło. W ostatnich wyborach był nim Choke Anson. Znałam jego przeciwniczkę, Mary Elwood, ponieważ miałam okazję poobserwować ją w ZKS, gdy pracowałam przy

spotkaniu rady kościelnej. Mary Elwood była głupią, superkonserwatywną homofobką, która absolutnie szczerze wierzyła w to, że zna wolę Boga. Co więcej, wierzyła, że ludzie, którzy się z nią nie zgadzali, byli nie tylko w błądzie, ale byli po prostu źli. Doszłam więc do wniosku, że Choke Anson nie może być równie zły. A teraz zastanawiało mnie, jak Deedrze układało się z przełożonym, który był facetem.

– Wybrałaś sobie jakąś kurtkę?

– Co?! – Wystraszyłam się tak mocno, że aż podskoczyłam. Lacey wniosła do pokoju następne pudło.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć – powiedziała zmęczonym głosem. – Miałam nadzieję, że znajdziesz jakąś kurtkę, która będzie na ciebie pasować. Deedra miała o tobie takie dobre zdanie. Sądzę, że chciałaby, żebyś zabrała wszystko, co będzie na ciebie pasować.

Nowością było dla mnie to, że Deedra w ogóle o mnie myślała, a jeszcze większą – że wyrobiła sobie o mnie jakąś opinię. Chciałabym podsłuchać tę rozmowę, o ile kiedykolwiek miała miejsce.

Znalazłam płaszcz do połowy uda w kolorze ciemnej zieleni, który miał odpinaną podpinkę i który mógłby mi się przydać, oraz skórzaną kurtkę, która zawsze mi się podobała. Pozostałe płaszcze i kurtki były zbyt wymyślne, niepraktyczne lub wyglądały na wąskie w ramionach. Nie pamiętałam, żeby Deedra nosiła któreś z ubrań, które wybrałam, więc może nie będą wywoływały w jej matce zbyt wielu wspomnień.

– Mogę wziąć te? – zapytałam, pokazując je Lacey.

– Które zechcesz – odpowiedziała, nawet na nie nie spojrzawszy.

Zdałam sobie sprawę, że nie chciała wiedzieć, nie chciała rozpoznać tych rzeczy, żeby nie myślała o Deedrze, gdy mnie w nich zobaczy. Złożyłam ubrania i poszłam z powrotem do większej sypialni, schowałam rzeźbioną szkatułkę do kartonu, który wcześniej złożyłam, zapakowałam

też worek z „zabawkami”. Na wierzchu położyłam płaszcz i kurtkę, ukrywając w ten sposób przemycany towar. Na kartonie napisałam markerem „Lily”, mając nadzieję, że nawet jeśli Lacey będzie się zastanawiać, dlaczego zapakowałam ubrania do kartonu, zamiast je po prostu przerzucić przez rękę i zabrać ze sobą, będzie zbyt zajęta, żeby zadawać pytania.

Pracowałyśmy cały poranek. Dwa razy słyszałam, jak Lacey nagle biegnie do łazienki i płacze. W mieszkaniu było tak cicho, że mogłam zastanowić się nad tym, dlaczego żaden z przyjaciół Lacey nie pomógł jej przy tym intymnym zadaniu. To z pewnością był czas, kiedy powinni interweniować krewni i przyjaciele.

Później zobaczyłam, że Lacey wpatruje się w zdjęcie, które wyjęła z szuflady w kuchni. Zajrzałam tam tylko dlatego, że od kurzu w szafie zachciało mi się pić.

Mimo że nie widziałam zdjęcia, reakcja Lacey uświadomiła mi, co przedstawiało. Widziałam, że była zdziwiona, a gdy przyjrzała się bliżej, jakby nie wierząc w to, co widzi, zaczerwieniła się. Wepchnęła zdjęcie do worka na śmieci, niepotrzebnie używając siły. Być może Lacey miała przeczucie, że natrafi na takie rzeczy, i zdecydowała, że nie chce ryzykować, że ktoś ze znajomych je zobaczy. Być może Lacey nie była taka nieświadoma, za jaką ją brałam.

Cieszyłam się, że postąpiłam zgodnie ze wskazówkami szeryf i to ja pozbyłam się rzeczy, które leżały teraz w pudełku podpisanym moim imieniem. Lacey wprawdzie nadal mogła się natknąć na parę przedmiotów, które przeoczyłam, ale dobrze, że nie została zmuszona do oglądania tylu dowodów na złe prowadzenie się córki.

Miałam teraz lepsze zdanie o Marcie Schuster. Pozbyła się większości zdjęć, więc nie wzbogacą one zbioru miejscowych legend. Uprzedziła mnie

o innych skarbach, miałam więc szansę ukryć je, zanim Lacey mogła je zobaczyć. Nie byliśmy w stanie uchronić jej przed wszystkimi informacjami, ale mogliśmy zniszczyć wiele wyrazistych dowodów.

Przed południem, zanim musiałam wyjść, udało nam się wiele zrobić. Opróżniłam szafę i komodę w większej sypialni i zabrałam się do szafy w pokoju gościnnym. Lacey spakowała większość gratów z kuchni i część ręczników z łazienki. Zrobiłam pięć czy sześć wycieczek do kontenera na śmieci, który stał na parkingu.

Śladów ludzkiego życia nie dało się tak szybko zniszczyć, ale sprawnie się zabrałyśmy do wymazania obrazu Deedry.

Gdy zabierałam oznakowane pudło i torebkę, Lacey zapytała, kiedy mam wolne. Zdałam sobie sprawę, że skoro moja klientka zmarła, mam wolne piątki rano.

– Możemy się tu spotkać w piątek rano. Tak wcześnie, jak pani chce.

– Świetnie. Ósma rano to nie za wcześnie? Potrząsnęłam głową.

– Zatem do zobaczenia o ósmej. Być może do tego czasu Jerrell podjedzie tu ciężarówką i zabierze część pudełek, żebyśmy miały więcej miejsca.

Brzmiała, jakby nabrała dystansu, ale wiedziałam, że to było złudzenie, a słowo „otępiała” chyba lepiej określało jej stan.

– Przepraszam – zaczęłam, ale się zawahałam. – Kiedy będzie pogrzeb?

– Mamy nadzieję, że uda nam się załatwić wszystko tak, żeby zdążyć w sobotę.

Gdy znosiłam pudełko na dół, powróciło znane mi zmartwienie. Muszę znaleźć nowego regularnego klienta na piątkowe poranki, wcześniej miałam Deedrę i Winthropów. Później Winthropowie zrezygnowali, a teraz zginęła Deedra. Moja finansowa przyszłość z każdym tygodniem wyglądała coraz gorzej.

Miałam spotkać się z przyjaciółką Carrie Thrush w jej biurze. Carrie miała przynieść dla nas lunch. Wsiadłam do auta, pudło umieściłam na tylnym siedzeniu. Później spojrzałam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że się spóźnię. Musiałam znaleźć kontener na śmieci należący do jakiegoś sklepu czy restauracji po drugiej stronie Shakespeare – taki, który był niezbyt widoczny – i wrzucić do niego karton z sekszabawkami, z którego należało wcześniej wyjąć moje płaszcze. Byłam pewna, że nikt mnie nie zauważył. Założyłam, że gdy dotrę do gabinetu Carrie, zastanę ją w środku, psioczącą na to, że jedzenie stygnie.

Ale kiedy zaparkowałam na niewielkim podjeździe z napisem „PARKING TYLKO DLA PERSONELU”, Carrie stała na małym zwirowanym kawałku ziemi, gdzie ona i jej pielęgniarki parkowały swoje auta.

– Chcesz się gdzieś ze mną przejść? – Carrie uśmiechała się, ale wyglądała na skrupowaną i odrętwiałą.

Była ubrana na biało, ale po chwili przyglądania się spostrzegłam, że nie był to jej fartuch. Miała na sobie białą sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Czułam, że moje brwi ściągają się w groźną kreskę.

Nie mogłam sobie przypomnieć, żebym widziała Carrie kiedyś w sukience, chyba że szła na pogrzeb. Albo wesele.

– Co? – zapytałam ostro.

– Chodź ze mną do ratusza.

– Po CO?

Zmarszczyła mały nos, przez co okulary prawie z niego zjechały.

Carrie była umalowana. A jej włosy nie były spięte za uszami, jak zazwyczaj, gdy była w pracy. Powiewały luźno niczym lśniące brązowe skrzydła.

– Po co? – zapytałam natarczywiej.

– No bo... Claude i ja chcemy się dziś pobrać.

– W urzędzie?

Próbowałam nie okazywać zaskoczenia, ale i tak się zaczerwieniła.

– Musimy to zrobić, zanim stracimy odwagę – powiedziała pospiesznie.

– Oboje mamy już swoje nawyki, mamy wszystko, czego trzeba, żeby założyć rodzinę, i oboje chcemy, żeby na ślubie było obecnych tylko kilkoro przyjaciół. Zawiadomienie o ślubie ukaże się jutro w gazecie i wtedy wszyscy się dowiedzą.

Tego typu komunikaty ukazywały się zawsze w lokalnej gazecie we wtorkowe popołudnia.

– Ale... – Spojrzałam na swoje robocze ubrania, niezupełnie idealnie czyste po tym, jak sprzątałam w szafach i włożyłam pod łóżko Deedry.

– Jeśli chcesz pojechać do domu, mamy parę minut – powiedziała, patrząc na zegarek. – Oczywiście nie ma znaczenia, co założysz, ale jak znam życie, będziesz miała z tym problem.

– Tak, mam problem z pójściem na ślub w brudnych ciuchach – powiedziałam zwięźle. – Wsiadaj do samochodu.

Nie potrafiłam stwierdzić, dlaczego się trochę złościłam, ale tak było. Może dlatego, że byłam zaskoczona (nie przepadam za niespodziankami), albo dlatego, że wymagano teraz ode mnie zmiany nastroju: od śmierci do ślubu w ciągu jednego dnia. Już wcześniej miałam pewność, że Claude Friedrich i doktor Carrie Thrush kiedyś się pobiorą, i wiedziałam, że był to niewątpliwie dobry pomysł. Była między nimi duża różnica wieku: Claude miał mniej więcej czterdzieści osiem lat, a Carrie około trzydziestu dwóch. Ale wiedziałam, że ich małżeństwo będzie udane, i nie żałowałam, że odrzuciłam możliwość związku z Claude'em. Dlaczego więc byłam zdenerwowana? Ze względu na Carrie powinnam się cieszyć.

Zmusiłam się do uśmiechu, gdy Carrie mówiła i mówiła o tym, dlaczego podjęli taką decyzję, jak zniosą to jej rodzice i jak szybko Claude mógłby przewieźć swoje rzeczy do jej małego domku.

– A co z miesiącem miodowym? – zapytałam, otwierając kluczem drzwi swojego małego domku, a Carrie praktycznie deptała mi wtedy po piętach.

– To musimy odłożyć na miesiąc. Zrobimy sobie teraz długi weekend aż do poniedziałku wieczorem, ale nie pojedziemy daleko. A Claude musi wziąć ze sobą pager na wszelki wypadek.

Gdy Carrie na zmianę wpatrywała się w lustro i przemierzała pokój, ja zdjęłam robocze ubrania i wyciągnęłam elegancki czarny kostium. Nie, nie mogłam ubrać się na czarno na ślub. Wzięłam więc wieszak z białą sukienką bez rękawów. No nie, białej sukienki też nie mogłam włożyć.

Po chwili zastanowienia doszłam jednak do wniosku, że muszę. Ukryłam jej biel za pomocą czarnego zakietu i czarnego paska, a wokół szyi zamotałam jaskrawoniebieski szal, którego końce wcisnęłam pod dekolt sukienki. Naciągnęłam pończochy, włożyłam czarne czółenka i odsunęłam Carrie przed lustro w łazience, żeby móc upudrować nos i poprawić moje krótkie kręcone włosy.

– Zorganizowałabym ci wieczór panieński – powiedziałam z wyrzutem, patrząc Carrie w oczy.

Po chwili obie wybuchnęłyśmy śmiechem, bo taki scenariusz wydał się nam obu mało prawdopodobny.

– Jesteś gotowa? Bardzo ładnie wyglądasz – skomplementowała Carrie, po tym jak dokładnie mnie obejrzała.

– Ty również – przyznałam szczerze.

Do białej sukienki z krótkim rękawem dobrała brązowe czółenka i torebkę. Wyglądała dobrze, ale nieszczęśliwie odświeżnie. Wsiadłyśmy do mojego samochodu. Gdy mijałyśmy kwaciarnię, zatrzymałam się.

- Co? – zapytała zaniepokojona Carrie. – Mamy już opóźnienie.
- Poczekaj sekundę – krzyknęłam, wbiegając do sklepu.
- Potrzebuję bukiet do przypięcia do sukienki – powiedziałam ekspedientce.
- Orchideę? Czy jakieś ładne goździki?
- Nie goździki – poprosiłam – orchideę, z białą siateczką i kolorową wstążką.

Wspaniała kobieta nie zadała więcej pytań, tylko zabrała się do pracy. Po niecałych dziesięciu minutach mogłam wręczyć Carrie orchideę otoczoną białą siatką i zieloną wstążką. Miała łzy w oczach, gdy przypinała ją do sukienki.

– Teraz wyglądasz jak prawdziwa panna młoda – powiedziałam, a moje napięcie zelzało.

– Szkoda, że nie ma z nami Jacka – powiedziała uprzejmie Carrie, choć nie miała zbyt wielu okazji, by z nim przebywać. – Claude’a i mnie ucieszyłoby, gdyby mógł tu być.

– Nadal jest w Kalifornii. I nie wiem, kiedy wróci.

– Mam nadzieję, że wam... – Carrie nie dokończyła i byłam jej za to wdzięczna.

Urząd miasta zajmował całą przecznicę. Był to stary, choć niedawno odnowiony budynek. Claude czekał na podjeździe dla wózków inwalidzkich.

– Ma na sobie garnitur.

Byłam tak zaskoczona, że niemal brakło mi słów. Nigdy nie widziałam, żeby Claude był ubrany w coś innego niż mundur lub niebieskie dżinsy.

– Czyż nie jest przystojny?

Policzki Carrie, które na ogół miały ziemisty odcień, teraz były delikatnie zaróżowione. W sumie wyglądała dziś raczej na dwadzieścia pięć

niż trzydzieści dwa lata.

– Tak – powiedziałam łagodnie. – Wygląda cudownie.

Brat Claude'a Charles stał obok niego i wyglądał na jeszcze bardziej zestresowanego niż pan młody. Charles lepiej czuł się w ogrodniczkach i masce spawacza niż w garniturze. Był nieśmiały i miał naturę samotnika, dzięki czemu udawało mu się pozostawać prawie niewidzialnym nawet w tak małym miasteczku. Chyba byłam w stanie policzyć na palcach, ile razy go spotkałam, odkąd zamieszkałam w Shakespeare.

Dziś naprawdę się postarał.

Kiedy Claude zobaczył zbliżającą się Carrie, wyraz jego twarzy się zmienił. Zobaczyłam, jak hardość powoli z niej znika i zastępuje ją coś innego. Wziął Carrie za rękę, a zza pleców wyciągnął bukiet.

– Oj, Claude! – powiedziała rozanielona. – Pomyślałeś o tym.

Super. O wiele lepiej niż mój bukiet. Teraz Carrie naprawdę wyglądała jak panna młoda.

– Claude, Charles – przywitałam się.

– Lily, dziękuję, że przyszłaś. Bierzmy się do dzieła.

Gdyby Claude był jeszcze trochę bardziej zdenerwowany, wypaliłby dziurę w chodniku.

Zauważyłam, że sędzia Hitchcock wygląda zza drzwi.

– Sędzia na nas czeka – powiedziałam. Claude i Carrie spojrzeli na siebie i równocześnie głośno westchnęli. Ruszyli w stronę drzwi, Charles i ja poszliśmy za nimi.

Po krótkiej ceremonii nowożeńcy patrzyli tylko na siebie, choć Carrie uścisnęła mnie i Charlesa, a Claude podał nam dłoń. Zaoferował też, że zaprosi nas na lunch, ale jednogłośnie odmówiliśmy. Charles pragnął wczłagać się z powrotem do swojej jaskini, a ja po porannej pracy nie

byłam w nastroju do świętowania, choć starałam się być wesoła ze względu na przyjaciół.

Charles i ja ucieszyliśmy się, że możemy już odejść. Kiedy Carrie i jej świeżo upieczony mąż wyjechali na swój przedmiotowy weekend, wróciłam do domu, wkurzona na samą siebie za kiepski nastrój, który, jak miałam nadzieję, jednak dobrze ukryłam. Przebrałam się z powrotem w roboczy strój, eleganckie ubranie powiesiłam w szafie. Zabrałam ze sobą jakiś owoc, który miał zastąpić mi lunch. Mroczne uczucia, które nosiłam w sobie, budziły mój niepokój. A to zwykle przekładało się na potrzebę działania. Gdyby ktoś próbował mnie dziś napaść, ucieszyłabym się. Chętnie bym komuś przywaliła.

Kiedy sprzątałam maleńki domek bardzo starej pani Jepperson, okrągła czarna kobieta, która codziennie „opiekowała się” nią przez cały dzień, starała się, jak mogła, żeby przyłapać mnie na kradzieży. A ja cały czas miałam w sobie tę cząstkę złości, która paliła i sprawiała ból.

Całą godzinę zajęło mi zorientowanie się, że ta złość była tak naprawdę samotnością. Od dawna już nie czułam się samotna. Lubię być sama, a przez ostatnich parę lat miałam ku temu aż za wiele okazji. Przez długi czas nie zaprzyjaźniałam się z nikim, nie miałam kochanków. Ale w tym roku wiele się zmieniło i niestety, gdy pozwoliłam sobie na przyjaźń, pozwoliłam sobie też na osamotnienie. Westchnęłam, wkładając poplamioną pościel do pralki i zalewając ją wybielaczem.

Wróciło to uczucie, kiedy było mi żal samej siebie. Mimo że sobie to uświadamiałam, wydawało mi się, że nie jestem w stanie ugasić oburzenia, które się we mnie tliło.

Pojechałam do następnej pracy, później do domu, ale nadal nie umiałam znaleźć w sobie niczego, co ukołoby mój wewnętrzny niepokój. Jack, który często wybierał nie najlepszą porę, akurat wtedy do mnie zadzwonił.

Co jakiś czas opowiadał mi o sprawie, nad którą akurat pracował. Ale niekiedy, zwłaszcza w przypadkach związanych z dużymi transakcjami finansowymi i dużą kasą, zamykał gębę na kłódkę. To był taki właśnie przypadek. Powiedział, że bardzo za mną tęskni, i wierzyłam mu. Miałam też jednak myśli godne pogardy, pomysły, które mnie przerażały. Nawet niekoniecznie ich treść, ale sam fakt, że się pojawiały. Kalifornia, kraina młodych, jędrnych i opalonych ciał. A Jack, najbardziej namiętny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam, był w Kalifornii. Byłam zazdrosna nie o kobietę, lecz o stan.

Nie było specjalnie zaskakujące, że rozmowa nie przebiegła dobrze. Byłam bardzo lakoniczna i niedostępna. Jack był sfrustrowany tym, że nie wydawałam się zadowolona, gdy zadzwonił w środku pełnego zajęć dnia. Zdawałam sobie sprawę, że byłam okropna, ale nie mogłam się powstrzymać. Sądzę, że on o tym też wiedział.

Musieliśmy spędzać więcej czasu razem. Po tym jak odwiesiłam słuchawkę, z trudem powstrzymując się, by na niego nie naskoczyć, zmusiłam się do konfrontacji z rzeczywistością. Weekend raz na jakiś czas już nie wystarczał. Przyzwyczajanie się do tego, że jesteśmy parą, zajmowało nam całe godziny. Później cudownie się czuliśmy, ale zaraz potem musieliśmy przechodzić przez cały proces rozstania, bo Jack wracał do Little Rock. Nie mógł ustalić stałych godzin pracy. Mój rozkład dnia był dość regularny. Mogliśmy się widywać i rozwijać nasz związek, tylko mieszkając w tym samym mieście.

Życie jest wystarczająco trudne bez takich komplikacji. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie nadszedł czas, żeby dać sobie spokój. Ale sam pomysł sprawił mi tyle bólu, że musiałam sobie jeszcze raz powiedzieć, że Jack jest mi niezbędny.

Nie chciałam do niego dzwonić, kiedy byłam tak spięta. Nie mogłam też przewidzieć, co odpowie. Więc tego wieczora poszłam do pustego pokoju gościnnego i kopałam z całej siły worek treningowy.

ROZDZIAŁ 5

Czwartek był dniem treningu bicepsów. Ćwiczenia na bicepsy być może wyglądają imponująco, ale nie należą do moich ulubionych. Ciężko jest zrobić je poprawnie. Większość ludzi macha hantlami. Oczywiście, im mocniejszy robisz zamach, tym słabiej pracują twoje bicepsy. Zauważyłam, że w filmach, gdy jest scena w siłowni, bohaterowie albo pracują nad mięśniami ramion, albo ćwiczą na ławeczce. Na ogół gość, który ćwiczy bicepsy, jest palantem.

W chwili gdy odkładałam dwunastokilowe hantle na miejsce, Bobo Winthrop przyszedł na siłownię z dziewczyną. Bobo, młodszy ode mnie o jakieś dwanaście lat, był moim przyjacielem. Ucieszyłam się na jego widok i cieszyło mnie, że przyprowadził dziewczynę. Od paru lat, nawet po wszystkich kłopotach, jakie miałam z jego rodziną, był przekonany, że byłam mu przeznaczona. Teraz dzielił czas między naukę w college'u w pobliskim Montrose a wpadanie do domu, żeby odwiedzić chorą babcię, swoją rodzinę i zrobić pranie, więc nie widywaliśmy się zbyt często. Brakowało mi go, a to uczucie sprawiało, że byłam ostrożna.

Obserwowałam, jak Bobo robi rundkę po siłowni, podając znajomym ręce i klepiąc ich po plecach. Przeszłam od półki z hantlami w kierunku modlitewnika. Niska młoda kobieta stała za nim i uśmiechała się, gdy Bobo, odgarniając blond włosy z oczu, przedstawił ją barwnej ekipie, która zajmowała o tej porze siłownię. Sprawiała sympatyczne wrażenie i łatwo nawiązywała kontakty.

Wśród porannych bywalców siłowni Body Time można było spotkać i Briana Grubera, dyrektora tutejszej fabryki produkującej materace, i Jerri Sizemore, która słynęła z tego, że już cztery razy wyszła za mąż. Gdy

umieszczałam ciężarki na sztandze z krótkim łamanym gryfem, obserwowałam trasę Bobo z lekkim rozbawieniem. Za sobą, w złotej niemal poświacie, zostawiał uśmiechy i odrobinę *joie de vivre*.

Zastanawiałam się, jak to jest, gdy prawie wszyscy cię znają i lubią, uważają za atrakcyjną osobę, a na dodatek masz wsparcie potężnej i wpływowej rodziny.

Nagle – i był to szok, jakby ktoś mnie oblał lodowatą wodą – uświadomiłam sobie, że ja też kiedyś taka byłam i miałam wówczas mniej więcej tyle lat co teraz Bobo. Zanim przeprowadziłam się do Memphis, zanim nastąpił relacjonowany w mediach koszmar porwania i gwałtu. Potrząsnęłam głową. Choć wiedziałam, że to była prawda, w zasadzie niewiarygodne wydawało mi się, iż kiedykolwiek byłam w tak komfortowej sytuacji. Bobo też miał ciężkie przeżycia, zwłaszcza w ubiegłym roku, jednak długi kontakt z ciemnością spowodował tylko tyle, że teraz jego blask jaśniał jeszcze mocniej.

Skończyłam pierwszy zestaw ćwiczeń ze sztangą i odłożyłam ją na miejsce tuż przed tym, nim Bobo do mnie dotarł.

– Lily! – w jego głosie dźwięczała duma. Chwalił się mną przed dziewczyną czy odwrotnie? Położył mi rękę na ramieniu; była ciepła i sucha. – Toni Holbrook. Toni, to moja przyjaciółka, Lily Bard. – Spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu wędrowało między mną a dziewczyną.

Czekałam, aż Toni uświadomi sobie, gdzie słyszała moje nazwisko, aż przerażenie i fascynacja będą widoczne na jej twarzy. Ale była tak młoda, że chyba nie pamiętała tych miesięcy, gdy moje nazwisko było w każdej gazecie.

Odprężyłam się i podałam jej rękę. Zamiast chwycić ją mocno, oparła tylko palce o wnętrze mojej dłoni. Prawie zawsze, gdy ktoś podawał dłoń w

taki nijaki sposób, była to kobieta. Miałam wtedy wrażenie, jakbym chwyciła garść cannelloni.

– Cieszę się, że cię w końcu poznałam – powiedziała, uśmiechając się tak szeroko, że aż rozboleły mnie zęby. – Bobo cały czas o tobie opowiada.

Zerknęłam na niego.

– Sprzątałam kiedyś u jego rodziców – powiedziałam, próbując pokazać naszą znajomość w innym świetle.

Muszę przyznać, nie skrzywiła się.

– Co chcesz dołożyć? – zapytał Bobo, stojąc przy półce z ciężarkami.

– Jeszcze jeden zestaw piątek – odpowiedziałam.

Zdjął z półki parę pięciokilowych ciężarów, dołożył po jednym na każdym końcu sztangi i zabezpieczył je. Dobrze się nam razem trenowało podnoszenie ciężarów. Pierwszą pracą Bobo było asystowanie na siłowni, więc widywał mnie tu wtedy wiele razy. Tego ranka zajął miejsce przed sztangą, a ja usiadłam na ławeczce okrakiem, pochylając się nad wyściełanym oparciem, wierzch dłoni skierowałam do podłogi, żebym mogła złapać drążek i podciągnąć. Skinieniem głowy dałam znak, że jestem gotowa. Pomógł mi podnieść sztangę pierwsze parę centymetrów, później puścił, a ja podnosiłam ją sama, póki drążek nie dotknął mojej brody.

Zrobiłam dziesięć powtórzeń bez większego wysiłku, ale byłam wdzięczna, gdy Bobo pomógł mi odwieść sztangę.

– Toni, zostaniesz tu do końca tygodnia? – zapytałam, starając się być uprzejma ze względu na Bobo.

Ściągnął zabezpieczenie ze sztangi i pytająco podniósł blond brwi.

– Jeszcze po piątce – odpowiedziałam i razem przygotowaliśmy sztangę.

– Tak, wracamy do Montrose w niedzielę po południu – powiedziała Toni równie uprzejmie, kładąc niewielki, ale jasny nacisk na my.

Jej gładkie czarne włosy były ścięte trochę poniżej brody i wyglądały, jakby zawsze były wyszczotkowane. Gdy ruszała głową, sprawiały wrażenie, jakby tańczyły. Miała słodkie usta i brązowe oczy w kształcie migdałów.

– Pochodzę z DeQueen – dodała, gdy pierwsze zdanie zawisło w powietrzu na parę sekund.

Uświadomiłam sobie, że mnie to nie obchodzi.

Znów skinęłam głową, żeby pokazać, że jestem gotowa, i Bobo trochę pomógł mi przy podnoszeniu sztangi ze stojaka. Z nieco większym wysiłkiem skończyłam następny zestaw powtórzeń, pamiętając, żeby robić wydech, gdy podnosiłam, i wdech, gdy opuszczałam. Mięśnie zaczęły mi drżeć i wydałam z siebie głębokie „uff”, towarzyszące największemu wysiłkowi, a Bobo dalej robił swoje.

– Dalej, Lily, wyciskaj, przecież potrafisz – dopingował i drządek dotknął mojego podbródka. – Toni, popatrz, jak Lily jest umięśniona.

Stojąca za nim Toni wyglądała, jakby chciała, żebym zniknęła w kłębach dymu. Duma nakazywała mi dokończyć jeszcze dwa powtórzenia. Kiedy skończyłam, Bobo powiedział: – Możesz zrobić jeszcze jedno, dasz radę.

– Dzięki, już skończyłam – odpowiedziałam pewnie.

Wstałam i zdjęłam zabezpieczenia ze sztangi. Odłożyliśmy ciężarki z powrotem na półkę. Toni odeszła, żeby się napić.

– Muszę z tobą porozmawiać w weekend – oznajmił Bobo.

– Okej... – Zawahałam się. – W sobotę po południu? Skinął głową.

– U ciebie?

– W porządku. Nie byłam pewna, czy to mądry pomysł, ale byłam mu winna przynajmniej tyle, żeby wysłuchać, co miał do powiedzenia.

Moje czoło pokrywały krople potu. Zamiast sięgnąć po ręcznik, chwyciłam brzeg koszulki i wytarłam nią twarz, dzięki czemu Bobo

zobaczył okropne blizny na wysokości moich żeber.

Przełknął głośno ślinę. Zaczęłam następne ćwiczenia, mając poczucie, że w jakiś niejasny sposób się usprawiedliwiłam. Mimo że Bobo był przystojny i apetyczny jak bochenek dobrego chleba, a mnie nieraz kusilo, żeby zjeść kawałek, to Toni należała do jego świata. Zamierzałam upewnić się, że Bobo pamięta o moim wieku i bolesnych doświadczeniach. Janet pracowała tego ranka nad ramionami. Asekurowałam ją, gdy ćwiczyła na gravitronie. Jej kolana były oparte o małą platformę, przeciwwaga ustawiona na dwadzieścia kilo, żeby nie musiała dźwigać ciężaru równego swojej masie. Janet chwyciła za drążki nad głową i podciągnęła się. Pierwsze kilka powtórzeń było dla niej bardzo ciężkich, więc gdy doszła do ósmego, złapałam ją za stopy i lekko popychałam w górę, żeby zmniejszyć nieco obciążenie jej ramion. Kiedy zrobiła dziesięć powtórzeń, zwiesiła się z drążków, dysząc ciężko, a po paru sekundach zsunęła kolana z platformy i stanęła wyprostowana. Schodząc tyłem z urządzenia, odpoczywała jeszcze przez parę sekund, próbując złapać oddech i dając odpocząć mięśniom ramion.

– Idziesz na pogrzeb? – zapytała i przesunęła ogranicznik na czternaście kilogramów.

– Nie wiem. – Nie podobało mi się, że musiałabym znów ładnie się ubrać i pójść do zatłoczonego kościoła. – Czy potwierdzono już godzinę uroczystości?

– Wczoraj wieczorem moja matka była u Lacey i Jerrella, kiedy zadzwonili z zakładu pogrzebowego i powiedzieli, że biuro koronera z Little Rock odsyła już ciało. Lacey powiedziała, że pogrzeb będzie w sobotę o jedenastej.

Zastanowiłam się nad tym, a z mojej twarzy można było jednoznacznie wyczytać niezadowolenie. Prawdopodobnie dałabym radę skończyć pracę

przed jedenastą, o ile wstałabym wcześniej i się pospieszyła. Jeśli kiedykolwiek miałabym podpisywać z moimi klientami umowy, zawarłabym w nich paragraf, dzięki któremu nie musiałabym chodzić na ich pogrzeby.

– Chyba powinnam pójść – przyznałam niechętnie.

– Świetnie! – Janet wyglądała na uszczęśliwioną. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaparkuję auto pod twoim domem i razem pójdziemy na pogrzeb.

Umawianie się na coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

– Dobrze – powiedziałam, starając się, żeby w moim głosie nie było słychać zdumienia czy powątpiewania. I wtedy uświadomiłam sobie, że mam informację, którą powinnam się podzielić.

– Claude i Carrie wzięli ślub.

– Mówisz... mówisz poważnie? – Janet stanęła naprzeciw mnie, bardzo zaskoczona. – Kiedy?

– W urzędzie, wczoraj.

– Hej, Marshall! – krzyknęła Janet do naszego *sensei*, który wyszedł właśnie ze swojego biura, mieszczącego się między siłownią a salą do aerobiku, w której odbywały się też zajęcia karate.

Marshall obrócił się, w dłoni trzymał szklankę jakiejś brązowej zawiesistej cieczy, którą pił na śniadanie. Miał na sobie zwykły zestaw składający się z koszulki i spodni od dresu. Uniósł brwi, jakby chciał zapytać: „No co?”.

– Lily mówi, że Claude i Carrie wzięli ślub!

Ten okrzyk spowodował ogólny wybuch komentarzy. Brian Gruber przestał robić brzuszki, usiadł na ławce i ocierał twarz ręcznikiem. Jerri wyciągnęła z torby komórkę i zadzwoniła do przyjaciółki, która o tej porze już była na chodzie i piła kawę. Kolejnych parę osób podeszło do nas, żeby

omówić tę nowinę. Zauważyłam też blask jakichś emocji na twarzy Bobo; uczucie, które wiedziałam, że nie pasuje do reakcji na moją trywialną plotkę.

– Skąd wiesz? – spytała Janet i zorientowałam się, że stoję w środku małego tłumu spoconych i ciekawskich ludzi.

– Byłam przy tym – odpowiedziałam zaskoczona.

– Byłaś świadkiem? Skinęłam głową.

– W co była ubrana? – zapytała Jerri, odgarniając z czoła blond pasemka.

– Gdzie pojechali w podróż poślubną? – zapytała Marlys Squire, pracująca w biurze podróży babcia czworga wnucząt.

– Gdzie będą mieszkać? – dociekał Brian Gruber, który od pięciu miesięcy próbował sprzedać swój dom.

Przez moment chciałam się odwrócić i uciec gdzie pieprz rośnie, ale... być może... rozmowa z tymi ludźmi, bycie częścią grupy, wcale nie było takie złe.

Kiedy jednak wracałam z siłowni, miałam już inne odczucie. Zawiodłam samą siebie – ostrzegał mnie jakiś mały fragment mojego mózgu. Otworzyłam się, ułatwiłam im to. Zamiast prześlizgiwać się między tymi ludźmi, obserwując ich, ale nie wchodząc z nim w interakcję, stanęłam w miejscu na tyle długo, by umocowano mnie tu na stałe, dałam im możliwość poznania się, interpretacji, gdy dzieliłam się swoimi przemyśleniami.

W ciągu dnia, gdy pracowałam, pogrążyłam się w głębokiej ciszy, wygodnej i odświeżającej jak wygodny szlafrok. Ale nie była ona tak wygodna jak kiedyś. W jakiś sposób wydawała się już nie pasować.

Wieczorem poszłam się przejść, chłodna noc okryła mnie swoją ciemnością. Widziałam Joela McCorkindale'a, pastora ze Zjednoczonego

Kościół w Shakespeare, jak biegł swoje zwyczajowe pięć kilometrów, z charyzmą wyłączoną na wieczór. Zauważyłam, że Doris Massey, której mąż zmarł w ubiegłym roku, znów zaczęła chodzić na randki, bo ciężarówka Charlesa Friedricha stała zaparkowana przed jej przyczepą kempingową. Clifton Emanuel, zastępca Marty Schuster, minął mnie w ciemnozielonym bronco. Dwóch nastolatków włamywało się do sklepu monopolowego Butelka i Puszka, więc zanim wtopiłam się w ciemność, zadzwoniłam z komórki na policję. Nikt mnie nie widział; byłam niewidzialna.

Byłam samotna.

ROZDZIAŁ 6

Jack zadzwonił w piątek rano, gdy wychodziłam do mieszkania Deedry, żeby pomóc Lacey.

– Wracam – oznajmił. – Może wpadnę w niedzielę po południu.

Poczułam przebłysk żalu. Przyjedzie z Little Rock na jedno popołudnie, pójdziemy do łóżka, a w poniedziałek będzie musiał wracać do pracy. Z drugiej strony, ja też tego dnia pracowałam, więc nawet gdyby Jack został w Shakespeare, nie widzielibyśmy się zbyt długo. Krótkie spotkanie z nim było lepsze niż brak spotkania... przynajmniej na razie.

– W takim razie do zobaczenia – powiedziałam, ale łatwo dało się wyczuć przerwę, jaka nastąpiła przed moją odpowiedzią, i wiedziałam, że nie zrobiłam wrażenia wystarczająco szczęśliwej.

Po drugiej stronie słuchawki również zaległa cisza. Jack nie jest głupi, zwłaszcza jeśli chodzi o mnie.

– Coś jest nie tak – odpowiedział w końcu. – Czy możemy o tym porozmawiać, gdy przyjadę?

– W porządku – powiedziałam, starając się, aby mój głos zabrzmiał łagodniej. – Do zobaczenia. – Odłożyłam słuchawkę najdelikatniej, jak umiałam.

Na miejsce dotarłam trochę za wcześnie. Oparłam się o ścianę przy wejściu do mieszkania Deedry i czekałam na Lacey. Byłam w ponurym nastroju, choć wiedziałam, że to nierozsądne. Gdy Lacey z wielkim trudem weszła na górę, tylko skinęłam głową na przywitanie. Wydawała się zadowolona, że na tym udało się skończyć wymianę uprzejmości.

Lacey zdołała zmusić Jerrella do zabrania pudeł, które spakowałyśmy poprzednim razem, więc w mieszkaniu było o wiele luźniej. Po krótkiej

dyskusji zaczęłam sortować rzeczy w małym saloniku, gdy ona pakowała pościel.

Wrzuciłam czasopisma do worka na śmieci i otworzyłam szufladę małego stolika. Znalazłam w nim rolkę miętowych dropsów, pudełko długopisów, samoprzylepne karteczki i instrukcję obsługi magnetowidu. Sprawdziłam dno szuflady i sięgnęłam głębiej. Wyciągnęłam kupon na zakup obiadu do przygotowania w mikrofalówce, firmy Healthy Choice. Zmarszczyłam brwi, czułam, jak mięśnie wokół ust układają się w coś, co wkrótce zamieni się w zmarszczki.

– Zniknął – powiedziałam.

– Co? – spytała Lacey.

Nawet nie słyszałam jej w kuchni za sobą, ale okienko podawcze między kuchnią a salonem było otwarte.

– Program telewizyjny.

– Może wyrzuciłaś go w środe?

– Nie – odpowiedziałam stanowczo.

– A właściwie jaka to różnica? – Lacey nie wydawała się tego lekceważyć, ale była zdezorientowana.

Stałam naprzeciw niej. Łokciami oparła się o blat szafek w kuchni, na jej złotobrazowym swetrze widać było kłaczki z pralki.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Ale Deedra zawsze, ale to zawsze trzymała gazetę w tej szufladzie, bo zaznaczała sobie programy, które chciała nagrać. Od początku ciekawe wydawało mi się to, że ktoś z tak ograniczoną inteligencją był obdarzony talentem do obsługi sprzętu AGD i RTV. Potrafiła w ciągu paru minut nastawić magnetowid tak, żeby nagrał jej ulubione programy. W te wieczory, gdy nie miała randki, miała telewizor. Nawet gdy zamierzała zostać w domu, ale towarzyszył jej

mężczyzna – nie oglądała wtedy swoich seriali. Nastawiała magnetowid i je nagrywała.

Codziennie przed pracą Deedra nadrabiała zaległości w swoich telenowelach, czasami oglądała *Oprah*. Używała samoprzylepnych karteczek, żeby oznaczać kasety. W koszu na śmieci zawsze była żółta sterta papierków.

Do cholery, jaką różnicę robiło zaginione czasopismo? Niczego więcej nie brakowało – a przynajmniej niczego takiego nie odkryłam. Skoro zginęła torebka Deedry (nie słyszałam, żeby się odnalazła), to złodziejowi nie zależało na kluczach do jej mieszkania, ale na czymś innym, co było w torebce.

Nie byłam sobie w stanie wyobrazić, co by to mogło być. Nic cennego nie zniknęło z mieszkania, tylko głupi program telewizyjny. I być może chusteczki higieniczne. Tych nie liczyłam, choć Marta pewnie by mi kazała.

Gdy mruczałam do siebie, sprawdziłam, czy nie ma gazety pod poduszkami kanapy, zajrzałam też pod falbankę, która przykrywała nóżki mebla.

– Po prostu go tu nie ma – doszłam do wniosku. Lacey weszła do salonu. Spoglądała na mnie ze zdziwioną miną.

– Potrzebujesz go w jakimś szczególnym celu? – zapytała ostrożnie, najwidoczniej starając się mnie pocieszyć.

Poczułam się jak idiotka.

– To jedyna rzecz, która zaginęła. Marta Schuster kazała mi dać jej znać, jeśli zorientuję się, że czegoś brakuje, a program telewizyjny to jedyna rzecz, która zniknęła.

– Nie bardzo rozumiem... – powiedziała z powątpiewaniem Lacey.

– Ja też nie. Ale lepiej będzie, jak do niej zadzwonię.

Marty Schuster nie było w biurze, więc rozmawiałam z Emanuelem. Obiecał zwrócić uwagę szeryf Schuster na brak czasopisma. Ale sposób, w jaki to powiedział, uświadomił mi, że uważał, iż jestem stuknięta, powiadamiając ich o braku gazety z programem. I wcale nie mogłam go winić za to, że tak o mnie pomyślał.

Gdy wróciłam do pracy, zdałam sobie sprawę, że tylko sprzątaczką mogła zauważyć brak gazety z programem. A ja wiedziałam, że zauważyłam jego brak tylko dlatego, że raz Deedra zostawiła go na kanapie, a ja odłożyłam go na okienko podawcze, gdzie był dobrze widoczny. Ale Deedra się wściekła – i był to jeden z naprawdę niewielu wypadków, gdy zrobiła mi awanturę. Powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu, że program telewizyjny zawsze, ale to zawsze trzeba odkładać do szuflady stolika.

Czyli szalony gwałciciel molestuje Deedrę, dusi ją, zostawia nagą w samochodzie w środku lasu i... kradnie jej gazetę z programem? Gazety były do kupienia przynajmniej w pięciu miejscach w Shakespeare. Po co ktoś miałby chcieć egzemplarz Deedry? Prychnęłam i odłożyłam przemyślenie tego raz jeszcze na kiedy indziej. Ale sama Deedra nie dawała mi spokoju. Przyznałam, że nie było w tym nic dziwnego. Sprzątałam jej mieszkanie od czterech lat. Wiedziałam o niej rzeczy, o których nie miał pojęcia nikt inny. Tak to jest, gdy sprzątasz czyjeś mieszkania. Przyswajasz sobie mnóstwo informacji, gdy to robisz. Nic nie pozwala cię poznać lepiej niż bałagan, który po sobie zostawiasz. Tylko sprzątaczkę, włamywacze i policjanci mogą zobaczyć dom takim, jaki jest naprawdę, nieprzygotowany i niechroniony.

Zastanawiałam się, który z kochanków Deedry zdecydował, że musiała zginąć. A może był to impuls? Może nie zgodziła się czegoś zrobić, może zagroziła, że poinformuje o zdradzie czyjąś żonę, albo przywiązała się zbyt

mocno? Wszystkie trzy scenariusze były możliwe, ale niekoniecznie prawdopodobne. O ile dobrze wiedziałam, nie było takich rzeczy, których Deedra nie zrobiłaby w łóżku, trzymała się z dala od żonatych mężczyzn i nigdy nie było mi wiadomo nic o tym, żeby wolała kogoś partnera seksualnego bardziej niż innych.

Brat szeryf mógł być innym przypadkiem. Był atrakcyjny i z całą pewnością zachowywał się, jakby szalał na punkcie Deedry.

Deedra z pewnością byłaby dla Marty Schuster żenującą bratową. Gdy ta niechciana myśl przyszła mi do głowy, leżałam na podłodze i sprawdzałam, czy na pewno nie ma czegoś pod kanapą. Zastygłam na chwilę w tej pozycji, obracając myśl na wszystkie strony i starając się to rozgryźć.

Prawie natychmiast odrzuciłam ten pomysł. Marta była wystarczająco twarda, żeby poradzić sobie z zażenowaniem. A z tego, co zrozumiałam, Marlon dopiero zaczął spotykać się z Deedra. Jego szokującego okazywania żalu nie dało się wytłumaczyć w inny sposób. Był wystarczająco młody, żeby nadal mieć złudzenia, i być może dość sprawnie unikał rozmowy z Deedra i miał nadzieję, że – używając biblijnego określenia – łączy się tylko z nim.

I może by mu się to udało. W końcu Deedra nie była zbyt mądra, ale nawet ona musiała zdawać sobie sprawę, że nie może tak postępować zawsze, prawda?

Być może nigdy nie chciała myśleć o przyszłości. Być może, gdy raz wstąpiła na tę drogę, była zadowolona, mogąc nią iść. Poczułam, jak wypełnia mnie pogarda dla Deedry.

Wtedy zaczęłam się zastanawiać, co ja sama robiłam przez ostatnich sześć lat.

Gdy podnosiłam się z podłogi, tłumaczyłam sobie, że uczyłam się przetrwać – uczyłam się nie oszaleć – każdego dnia, odkąd zostałam

zgwalczona i okaleczona.

Stojąc w salonie Deedry Dean, słuchając jej matki krzątającej się w korytarzu, uświadomiłam sobie, że niebezpieczeństwo popadnięcia w szaleństwo minęło, choć pewnie do końca życia będę mieć napady paniki. Zorganizowałam sobie życie. Zarabiałam na siebie, kupiłam dom, miałam ubezpieczenie, samochód i płaciłam podatki. Nauczyłam się przetrwać. Przez długą chwilę stałam w miejscu i gapiłam się przez okienko podawcze na fluorescencyjnie jaskrawą kuchnię Deedry. Pomyślałam, że to dziwny czas i miejsce na uświadomienie sobie tak ważnej rzeczy.

A skoro byłam w mieszkaniu Deedry, znów musiałam o niej pomyśleć. Została zaszlachtowana, zanim mogła poradzić sobie z tym, co kazało jej się zachowywać w taki, a nie inny sposób. Jej ciało zostało poniżone – pokazane nagie i skrzywdzone. Wcześniej nie pozwoliłam sobie o tym myśleć, ale teraz wyraźnie widziałam butelkę coca coli, która wystawała z pochwy Deedry. Zastanawiałam się, czy zrobiono jej to, gdy jeszcze żyła. Zastanawiałam się, czy miała czas, żeby zdać sobie z tego sprawę.

Nagle zakręciło mi się w głowie, prawie zemdlałam, więc padłam na kanapę i wpatrywałam się w swoje dłonie. Za bardzo dałam się ponieść wyobraźni przy odtwarzaniu ostatnich chwil Deedry. Przypomniałam sobie długie godziny spędzone w szopie wśród pól, godziny, które przeżyłam przykuta do metalowego łóżka, gdy czekałam na śmierć, gdy niemal jej pragnęłam. Pomyślałam o tym, jak chore były telefony, które odbierała Deedra na krótko przed tym, jak została zamordowana. Pomyślałam, że są na tym świecie mężczyźni, którzy powinni umrzeć.

– Lily, wszystko w porządku? – Lacey pochylała się nade mną i wyglądała na zatroskaną.

Siłą woli przeniosłam się do chwili obecnej.

– Tak – odpowiedziałam sztywno. – Dziękuję. Przepraszam.

– Jesteś chora?

– Mam zapalenie ucha środkowego. Zakręciło mi się w głowie – skłamałam.

Kłamstwo sprawiło, że poczułam się niekomfortowo, ale to było lepsze dla Lacey niż powiedzenie jej prawdy.

Wróciła do swojej roboty, rzuciwszy w moim kierunku zaniepokojone spojrzenie. Zaczęłam przeglądać kasety, które Deedra zostawiła koło telewizora, i upewniałam się, że żadne nagrania porno nie zaplątały się między taśmy oznaczone *ALL MY CHILDREN* czy *SALLY JESSY ON THURSDAY*. Te kasety pewnie nadawały się do ponownego użytku. Postanowiłam, że sprawdzę, czy nie ma na nich niczego pikantnego, i zapytałam Lacey, czy mogę je sobie wziąć. Tak jak przypuszczałam, zgodziła się, więc zapakowałam je do pudła, nie sprawdzając wszystkich. Jeśli znajdę na nich coś niewłaściwego, równie dobrze mogę wyrzucić je w domu. Kolejne małe sprzątanie.

Nie potrafimy opuścić tego świata bez pozostawienia po sobie mnóstwa rzeczy. Nigdy nie znikamy stąd tak nieskazitelni, jak się pojawiliśmy. A nawet gdy przychodzimy na świat, trzeba nas natychmiast umyć.

Tego wieczoru bardziej niż zazwyczaj nie mogłam się doczekać karate. Tak wiele przemyśleń, tak wiele niechcianych wspomnień musiało zostać wydalonych z mojego organizmu. Lubiłam działać, nie kontemplować: tak bardzo chciałam komuś skopać tyłek, że aż mnie bolało. Nie jest to właściwe podejście do tej dyscypliny sportu i nie jest to odpowiedni stan umysłu do trenowania sztuk walki. Moje ciało było napięte jak struna, gdy zajmowałam swoje miejsce w szeregu.

Na zajęcia w piątki wieczorem przychodziło na ogół mniej ludzi niż w poniedziałki i środy. Dziś przyszło tylko dziesięć osób, które rozgrzewały się teraz przy drążkach wzdłuż ściany. Bobo schylił głowę w drzwiach i

wszedł do sali. Był ubrany w białą koszulkę na ramiączkach i spodnie od *gi*. Jego dziewczyna, Toni, dreptała za nim. Bobo zrzucił sandały i stanął w szeregu dwie osoby ode mnie, wciągając Toni na miejsce obok siebie. Miała na sobie czarne spodenki i fioletową koszulkę. Ciemne włosy upięła za pomocą gumki i miliona wsuwek. Próbowwała wyglądać na zrelaksowaną.

Jak zwykle Becca stała pierwsza. Zrobiła rozgrzewkę na własną rękę, uśmiechała się do Carltona, gdy podchodził do niej, by porozmawiać, ale sama nie mówiła dużo. Raphael, który zazwyczaj stał po lewej stronie, był na balu. Razem z żoną byli opiekunami na wiosennej dyskotecie w liceum ich córki. Wcześniej wyznał mi, że uważa, iż może mu się przydać część chwytów, których nauczył nas Marshall, jeśli chłopcy będą pili alkohol na parkingu.

– Skończyłyście już z Lacey sprzątać mieszkanie Deedry? – zapytała Becca, gdy czekałyśmy na polecenie stanięcia na baczność.

– Jeszcze nie. Ale dużo kartonów już wyjechało. Zostało jeszcze trochę do spakowania i będzie można wywozić większe rzeczy.

Skinęła głową i miała powiedzieć coś jeszcze, gdy Marshall zrobił swoją najbardziej surową minę i rzucił ostro: – *Ki-o tsuke!*

Stanęliśmy na baczność i wymieniliśmy ukłony.

– W szeregu i do brzuszków!

Becca i ja na ogół dobierałyśmy się w parę, bo byłyśmy mniej więcej tego samego wzrostu i ważyłyśmy tyle samo. Przesunęłam się, żeby stać twarzą do niej, i upewniłam się, że każdy w moim rządzie ma parę. Usiadłyśmy na podłodze twarzą do siebie, z wyciągniętymi nogami lekko ugiętymi w kolanach. Becca wsunęła stopy między moje i unieruchomiła je, zahaczając o moje łydki. Ja zrobiłam to samo.

Marshall kazał Toni, dziewczynie Bobo, ćwiczyć z Janet, która była do niej bardziej zbliżona rozmiarem niż Bobo. Ten z kolei musiał trenować z

jedynym mężczyzną, który jako tako dorównywał mu wzrostem i wagą, Carltonem. Dwóch panów świata, pomyślałam, gdy patrzyłam, jak Bobo i Carlton w ciszy walczyli o to, który będzie wkładać, a który da sobie włożyć. Becca i ja wyszczerzyłyśmy do siebie zęby, gdy Carlton wsunął stopy między nogi Bobo, który wytrzymał dłużej.

– Wsuniecie dłonie pod pośladki, o tak! – Marshall podniósł ręce, żeby Toni mogła zobaczyć. Palec wskazujący prawej dłoni dotykał palca wskazującego lewej dłoni, kciuki również się dotykały, ale pozostałe palce były odciągnięte od palców drugiej dłoni tak daleko, jak to możliwe. – Wasze kości ogonowe powinny być w powietrzu. Odchylcie się do tyłu, ale nie dotykajcie podłogi!

Marshall opisał wszystko tak dokładnie ze względu na obecność gościa. Chodził tam i z powrotem, trzymając palce zatknięte za *obi*. Przyjrzał się sobie w jednym z luster i przygłodził czarne włosy dłonią w kolorze kości słoniowej. Marshall był w jednej czwartej Azjata i była to jego ulubiona część. Robił wszystko, żeby podkreślić swoją inność. Sądził, że egzotyczny wygląd – tak egzotyczny, jak można sobie pozwolić w południowym Arkansas – czyni go bardziej przekonującym i atrakcyjnym, jako *sensei* i jako właściciela siłowni. Miał rację.

W tym czasie Becca i ja wsunęłyśmy dłonie pod tyłki i równocześnie odchyłałyśmy się do tyłu bardzo powoli, aż do momentu, gdy nasze ramiona były jakieś pięć centymetrów od podłogi. Wpatrywałam się w sufit, koncentrując się na pęknięciu, którego zawsze używałam do skupienia uwagi. Nasze splecione nogi działały jak kotwica, dzięki której mogłyśmy trwać w tej bolesnej pozycji przez dowolny czas. Popatrzyłam w bok, żeby sprawdzić, co robi nasz *sensei*. Poprawiał *gi*. Bobo, ćwiczący tuż obok mnie, spojrzał mi w oczy i potrząsnął lekko głową w udawanej rozpacz. Carlton, zajmujący pozycję obok Beccy, już zaczął się pocić.

Wydałam lekki, szyderczy odgłos, na tyle głośny, by dotarł do naszego *sensei*. Marshall stroił piórka, podczas gdy my cierpieliśmy, a najsłabsi z nas mogli się wykończyć przed rozpoczęciem treningu.

– Odliczam! – rzucił ostro Marshall i wszyscy się napięliśmy.

Carlton drżał, a Toni, spleciona z Janet, kompletnie nie była w stanie podnieść się z podłogi, do której jej ciało mocno przylegało. Przynajmniej była porządnym balastem dla swojej partnerki.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć! Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dwadzieścia! Raz, dwa...

Za każdym razem napinaliśmy mięśnie brzucha, po czym je rozluźnialiśmy. Górne części naszych ciał unosiły się jakieś piętnaście centymetrów nad ziemią, a gdy się rozluźnialiśmy, opadaliśmy na wysokość pięciu. Nasz rząd dygotał szaleńczo, próbując utrzymać się w górze, mięśnie brzucha mieliśmy sztywne z wysiłku, gdy próbowaliśmy utrzymać plecy w powietrzu. Spojrzałam w prawo, żeby sprawdzić, jak sobie radzi moja część grupy, bo Marshall mógł mnie poprosić o skorygowanie ich postaw. Carlton i Toni byli obok siebie po stronie Beccy, co mnie ucieszyło. Bobo akurat spojrzał w lewą stronę i spojrzeliśmy na siebie. Uśmiechnął się do mnie szeroko. Uważał to za świetną zabawę. Musiał znaleźć w Montrose inne *dojo*, skoro był w tak dobrej formie. Potrząsnęłam głową z ironicznym zdziwieniem i ponownie skoncentrowałam się na ćwiczeniach. Zamknęłam oczy i podążałam za odliczaniem, wiedząc, że Becca nigdy nie odpuści i nie będzie się obijać.

– Łokcie z podłogi! – upomniał Marshall, a dwóch nowych chłopaków na końcu rzędu nabrało powietrza i poszło za jego nakazem.

Rzucałam gniewne spojrzenia na sufit, gdy chwilę później usłyszałam, jak czyjaś głowa opada na podłogę. Hałas dobiegł z boku, to był jeden z

nowych.

Po kilku mało entuzjastycznych próbach zmuszenia mięśni brzucha do działania otwarcie się poddał. On i Toni wyglądali jak ryby, ciężko dyszeli z otwartymi ustami. Toni dała radę dotrzeć chyba tylko do końca pierwszej dziesiątki. Z całą pewnością Bobo nie poznał jej na siłowni.

Nareszcie zostaliśmy tylko Bobo, Becca i ja.

– Sto! – powiedział Marshall i zatrzymaliśmy się. We trójkę zamarliśmy z plecami uniesionymi w górę. Słyszałam, jak Becca głośno oddycha, i starałam się nie uśmiechać.

– Trzymajcie! – nakazał Marshall. Siłą woli zdołałam utrzymać się w górze.

– Trzymajcie! – dopingował nas. Zaczęłam drzeć.

– Rozluźnijcie się – nakazał.

Tylko to mogłam zrobić, żeby nie opaść na podłogę z tym głośnym, zawstydzającym łupnięciem. Zdołałam odczepić swoje nogi od nóg Beccy i opuściłam lekko ramiona i plecy na podłogę. Taką miałam przynajmniej nadzieję.

Sapanie zmęczonych ludzi wypełniało salę. Odwróciłam się w kierunku Bobo. Był rozpromieniony i patrzył na mnie z odległości paru metrów.

– Jak się czujesz? – wysapał.

– Mogłam jeszcze wytrzymać z trzydzieści – odpowiedziałam bez przekonania.

Zachichotał cicho.

Marshall nie kazał nam dziś nakładać ochraniaczy. Przynajmniej częściowo z powodu Toni (nawet ci, których nazywaliśmy „nowymi”, przychodzili już od miesiąca) postanowił nakazać nam ćwiczyć uwalnianie się. Każdy z nowych uczestników zajęć musiał nauczyć się mniej więcej czterech prostych ruchów. Gdy cała reszta ćwiczyła trudniejsze chwyt, ja

miałam nauczyć Toni tych prostych ruchów. Kilka razy nerwowo zaprotestowała, że jest tu tylko ze względu na Bobo – prawdopodobnie nie zamierzała się więcej pojawić. Nie przestawałam jednak jej instruować. Nikt (a przynajmniej nikt tak bojaźliwy jak Toni) nie odważyłby się po prostu powiedzieć Marshallowi „nie”. A przynajmniej nikt, kogo znałam.

Gdy ćwiczyłam z Toni, miałam o niej coraz lepsze zdanie. Starła się z całych sił, choć było jasne, że niekomfortowe jest dla niej samo przebywanie na zajęciach. Byłam w stanie polubić tę determinację – a nawet ją podziwiać.

– Boże, ale jesteś silna – powiedziała Toni, starając się nie okazywać złości, gdy chwyciłam ją za nadgarstki i kazałam ćwiczyć uwalnianie się metodą, którą jej wcześniej pokazałam.

– Pracuję nad tym od lat.

– Dla Bobo jesteś swego rodzaju bohaterką – powiedziała, wbijając we mnie wzrok i czekając, jak zareaguję na te słowa.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Chciałam zignorować to, co usłyszałam, ale odmówiła wykonania jakiegokolwiek ruchu, gdy złapałam ją za nadgarstek, grając rolę atakującego. Czekiła, zwrócona twarzą w moją stronę.

– Nie jestem żadną bohaterką – powiedziałam lakonicznie. – A teraz spróbuj mi się wyrwać.

Gdy zajęcia się skończyły, wyszłam szybko z sali. Janet spieszyła się jeszcze bardziej – powiedziała mi wcześniej, że ma randkę, więc nie miałam z kim pogawędzić, kiedy wychodziłam. Siłownia była prawie pusta. Wydawało mi się, że słyszę, jak Bobo mnie woła, ale szłam naprzód. I tak go jutro zobaczę.

ROZDZIAŁ 7

Bylaam wyczerpana, ale nie moglam zasnac. Nie bylo sensu dluzej przewracaac sie z boku na bok. W ciemnosci przebraalam sie w dzinsy, czarny sportowy stanik, stara koszulke Nike i adidas. Klucze i komorka lezaly jak zwykle na komodzie – wsunelam je do kieszeni i wyruszylam na spacer.

Pomyslalam, ze spedzilam zbyt wiele nocy na tej bezsensownej czynnosci. Zbyt wiele nocy, podczas ktorych szlam przez ciche miasto – od paru lat bylo to wlasnie milczace miasto Shakespeare. A wczesniej inne miejscowosci w innych stanach: Tennessee, Missisipi. Stopy przesuwaly sie cicho, gdy szlam chodnikiem.

Rzadko kiedy czulam potrzebe spacerowania, gdy Jack byl u mnie. Wtedy gdy bylaam niespokojna, walczylam z tym w bardziej intymny sposob. Dzis czulam sie zmeczona i stara.

Jeden z policjantow patrolujacych nocą miasto, Gardner McClanahan, przywital mnie, gdy powoli przejechal obok mnie. Zdawal sobie sprawe, ze nie ma sensu sie zatrzymywac, by porozmawiac. Mimo ze Claude nigdy mi o tym nie powiedzial, wiedzialam, ze policjanci nazywali mnie Nocnym Wędrowcem, nawiazujac do starego serialu telewizyjnego. Kazdy z policjantow patrolujacych miasto wiedzial, ze anonimowo zglosilam przynajmniej piec wlaman i trzy przypadki przemocy domowej, ale w milczeniu zgodzilismy sie, ze beda udawac, iz nie wiedza, ze to ja jestem informatorem. Od ubieglego roku znali moja przeszlosc. Najwyrazniej szanowali mnie za to, co wydawalo mi sie dosc dziwne.

Nie pomachalam Gardnerowi na przywitanie, jak to czasem robilam. Szlam dalej.

Czterdzieści minut później okrążyłam kilkakrotnie okolicę, poszłam w każdym możliwym kierunku, a mimo to nadal znajdowałam się zaledwie sześć przecznic od domu. Przy ulicy Main minęłam dom Joego C. i znów pomyślałam o tym, jak wielki i stary był to budynek. Nagle się zatrzymałam. Czy ktoś nie poruszył się w krzakach na podwórzu Praderów? Włożyłam rękę do kieszeni i chwyciłam komórkę, ale nie było sensu dzwonić na policję, jeśli mi się to przywidziało. Zakradłam się na podwórko, przemykając między przerośniętymi krzakami tak cicho, jak tylko potrafiłam.

Tak. Przede mną ktoś się poruszał. Ktoś ubrany na czarno. Ktoś cichy i równie szybki jak ja. Najbliższa latarnia była oddalona o pół przecznicy, więc na podwórku było zupełnie ciemno.

Już po kilku sekundach zorientowałam się, że kimkolwiek był ten człowiek, wychodził z domu, a nie odwrotnie. Zastanawiałam się, czy próbował otworzyć drzwi, żeby wejść i okraść dom. Szłam przez dżungłę podwórka Joego C. najciszej, jak mogłam.

Wtedy poczułam dym. Zamarłam, ruszałam tylko głową, starając się wyczuć, z której strony nadciągał gęsty czarny zapach.

Pochodził z domu. Ze strachu przeszły mnie ciarki. Nie próbując nawet poruszać się cicho, podeszłam bliżej, żeby zajrzeć przez odsunięte zasłony do salonu, pokoju, który odkurzałam zaledwie trzy dni temu. Teraz, kiedy wyszłam z krzaków, latarnia poprawiała trochę widoczność. W domu nie paliło się żadne światło, ale powinnam i tak widzieć kontury mebli. Zamiast tego w środku zauważyłam jakiś ruch. Po chwili zrozumiałam, że pokój był wypełniony dymem. Jego gęste kłęby napierały na okno, chcąc się wydostać. Gdy wpatrywałam się w ciemną, poruszającą się chmurę, zobaczyłam pierwsze przebłyski płomieni.

Zacząłam biec, wpadając na przerośnięte krzewy barwinka i kamelii, za dom i w górę chybottliwych stopni prowadzących do tylnego wejścia. Uznałam, że tylne drzwi są najbardziej oddalone od ognia. Nie było sensu tracić czasu na tropienie intruza. Gdy waliłam w drzwi, żeby obudzić starego Joe C., wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam po straż pożarną.

Powiedziałam operatorce, jak wygląda sytuacja.

– Będziemy na miejscu za minutę, Lily – odpowiedziała i w innych okolicznościach uznałabym to za zabawne.

Zapach dymu z każdą sekundą czuć było coraz mocniej. Włożyłam telefon do kieszeni i zmusiłam się do dotknięcia klamki. Nie była gorąca. Choć spodziewałam się, że drzwi będą zamknięte na klucz, bez trudu je otworzyłam.

Wypłynęła zza nich chmura ciemności. Razem z nią wydostał się okropny zapach przedmiotów połykanych przez ogień. Zaparło mi dech z przerażenia, bo wiedziałam, że muszę spróbować dotrzeć do Joego C.

Zawstydziłam się, uświadomiwszy sobie własne wahanie – bałam się, że jeśli wejdę, znajdę się w pułapce. Wiedziałam, że muszę zamknąć za sobą drzwi, żeby wiatr nie rozprzestrzenił płomieni. Przez długą chwilę kusiło mnie, żeby zatrzaskać drzwi i zostać na ganku. Ale po prostu nie mogłam tego zrobić. Wzięłam głęboki haust świeżego powietrza. Weszłam do płonącego domu i zamknęłam za sobą wyjście na bezpieczną przestrzeń.

Zacząłam zapalać światła, ale zdałam sobie sprawę, że nie powinnam tego robić. W dławiącym mroku przeszłam przez kuchnię, podeszłam do dobrze znanego mi dwukomorowego zlewu i wymacałam ścierkę do naczyń przewieszoną przez jego przegrodę. Zmoczyłam ją w zimnej wodzie, zakryłam nią usta i nos i próbowałam wymacać drogę z kuchni przez korytarz do sypialni Joego C.

Wzięłam oddech, żeby zawołać staruszką, i powietrze eksplodowało w napad kaszlu. Po prawej stronie dostrzegłam płomienie. Dym, cichy zabójca, wypełniał szeroki korytarz.

Wyciągnęłam rękę, żeby znaleźć drogę. Wymacałam zdjęcie matki Joego C., które powiesiłam jakiś metr na lewo od drzwi do jego sypialni. Słyszałam już syreny, ale jedyny kaszel, jaki było słychać, pochodził ode mnie.

– Joe C! – krzyknęłam, a nabranie powietrza wypełnionego dymem znów spowodowało napad kaszlu.

Możliwe, że usłyszałam jakąś odpowiedź. Przynajmniej wyobraziłam sobie, że słyszę cichą odpowiedź po tym, jak zawołałam po raz drugi. Ogień był w salonie i zbliżał się do korytarza, obejmując po drodze wszystko, co mu się podobało. Poczułam nagły przypływ jego siły, jakby zjadł cukierka. Być może pochłonał antyczny sekretarzyk Joego C., wykonany z drewna, które po stu pięćdziesięciu latach używania było suche i gotowe na przyjęcie płomieni.

Drzwi do sypialni Joego C. były zamknięte. Nie wiedziałam, czy to normalne, czy nie. Przekręciłam klamkę i drzwi się otworzyły. Miałam tego dnia wyjątkowe szczęście do drzwi, jeśli można było mówić o szczęściu.

– Joe C. – zawołałam szorstko. – Gdzie jesteś? Ostrożnie weszłam do sypialni i zamknęłam za sobą drzwi.

– Tutaj – usłyszałam cichą odpowiedź. – Próbuję otworzyć to przekłete okno.

Ponieważ kuchnia i sypialnia były z tyłu domu, z dala od latarni, w ciemności i dymie nie mogłam zlokalizować, gdzie dokładnie jest Joe C.

– Powiedz coś!

Zaczęłam szukać po omacku drogi przez pokój, wpadając na łóżko. To pozwoliło mi ustalić, gdzie jestem.

Joe C. powiedział parę słów; żadne z nich nie nadawało się do powtórzenia.

W końcu dosięgnęłam go; kaszłał tak mocno, że wiedziałam, iż nie możemy tam zostać dłużej. Idąc śladem jego rąk, znalazłam dwa zamki na oknie i przejęłam zadanie otwierania ich. Z prawym poszło mi łatwo, z lewym gorzej. Walcząc z nim, postanowiłam, że jeśli za sekundę nie uda mi się go otworzyć, wybiję szybę.

– Do licha, kobieto, wyдостаń nas stąd! – ponaglił mnie Joe C. – Ogień jest tuż za drzwiami! – Po czym dostał kolejnego ataku kaszlu.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że drzwi wyglądały, jakby zaczynały pękać – szczeliny w nich miały czerwone krawędzie. Gdybym teraz dotknęła klamki, poparzyłabym dłonie.

Podobny los spotka moje ciało, jeśli to cholerne okno... Udało się! Zamek puścił, chwyciłam więc klamki i napałam na nie z całych sił. Spodziewałam się, że okno łatwo nie puści, otwarło się jednak z takim impetem, że niemal się przewróciłam. Wyciągnęłam rękę, żeby wymacać drogę, i natknęłam się na siatkowy ekran. Kupa.

Cofnęłam się o krok i zrobiłam wykop. Ekran wyskoczył z okna jak korek z butelki. Pomiedzy atakami kaszlu powiedziałam do Joego C: – Wyjdę pierwsza i pomogę ci wejść na parapet. Przyłgnał do mnie, choć nadal wydawał mi się tylko częścią tej dławiącej ciemności i musiałam odsunąć jego ręce, żeby przełożyć nogę przez parapet. Oczywiście krzaki pod oknem były gęste, a ponieważ dom był podwyższony, odległość od gruntu była o jakieś trzydzieści centymetrów większa, niż sądziłam. Nie wylądowałam stopami prosto na ziemi, ale przechyliłam się w bok i chwyciłam krzaków, żeby nie upaść. Gdy poczułam się stabilnie, odwróciłam się i sięgnęłam do okna, żeby złapać Joego C. pod pachami.

– Trzymaj mnie za ramiona – ponagliłam go, a jego kościste szpony wbiły się w moją skórę.

Postawiłam lewą stopę trochę z tyłu, żeby utrzymać równowagę, i dźwignęłam. Okno było wysoko, więc kąt był niewłaściwy. Byłam zbyt niska, żeby móc Joego C. dobrze chwycić. Stopniowo przeciągałam go przez okno. Gdy był już w połowie, zaczął wrzeszczeć. Zrobiłam dwa kroki do tyłu i znów go dźwignęłam. Myślałam, że z powodu napięcia ramiona zaraz mi odpadną. Udało mi się wyciągnąć staruszka jeszcze dalej. Powtórzyłam całą procedurę, ale teraz Joe C. wrzeszczał ze wszystkich sił. Rzuciłam okiem i zobaczyłam, że jego lewa stopa w jakiś dziwny sposób zahaczyła o parapet.

Nastąpiła chwila totalnej paniki. Za żadne skarby nie mogłam wymyślić, jak go stamtąd wyciągnąć. Na całe szczęście nie ja musiałam rozwiązać ten problem. Wokół mnie zrobiło się zamieszanie. Nigdy w życiu nie ucieszył mnie tak czyjś widok – strażak wepchnął się przede mnie, oswobodził lewą stopę Joego C. i – wraz z całą resztą – wyciągnął ją na zewnątrz. Zachwiałam się pod ciężarem staruszka, ale natychmiast ludzie pomogli mi wstać i zabrali Joego C. do karetki.

Próbowali do niej zapakować i mnie, ale się sprzeciwiłam. Nie jestem męczennicą, mam jednak tylko podstawowe ubezpieczenie zdrowotne, a mogłam stać i iść.

Siedziałam na klapie z tyłu samochodu komendanta straży, a jego ludzie podawali mi tlen, który był jak miód dla moich płuc. Obejrzeni mnie, nie miałam żadnych oparzeń. Śmierdziałam dymem i wydawało mi się, że nigdy nie będę w stanie normalnie oddychać, ale nie było to w tym momencie ważne. Przynajmniej sześciu strażaków powiedziało mi, że miałam dużo szczęścia. Wspomnieli też, że powinnam na nich poczekać, zamiast sama ratować Joego C. Skinęłam tylko głową. Sądzę, iż wszyscy

wiedzieliśmy, że gdybym poczekała, Joe C. miałby niewielkie szanse na przeżycie.

Kiedy dwaj mężczyźni, którzy zajmowali się mną, upewnili się, że nic mi nie jest, przeszli na drugą stronę ulicy oddać się bardziej ekscytującym zajęciom. Nie wiedziałam, czy dadzą radę ugasić ogień, zanim parter się zawali, ale było pewne, że nie spełni się często wypowiedane życzenie Joego C., żeby mógł umrzeć we własnym domu.

Powoli, mimo że zgiełk wokół mnie nie zniknął, zaczęłam myśleć o czymś innym niż strach, który odczuwałam. Mogłam pomyśleć o tym, co widziałam.

– Lepiej się pani czuje? – zapytał ktoś nosowym głosem.

Pokiwałam głową bez spoglądania na pytającego.

– Powie mi pani w takim razie, jak się tu znalazła?

Przepytawał mnie Norman Farraclough, zastępca Claude'a. Nazywano go „Skok” Farraclough, choć nie rozumiałam anegdoty, która wyjaśniała, skąd się wzięło przezwisko. Spotkałam go kilka razy. Wydawało się, że wstrzymywał się z wydawaniem osądów o mnie do momentu, gdy poobserwuje mnie dłużej. W sumie miałam do niego takie same podejście.

Skok późnym wieczorem, o ile pozwalał mu na to grafik w pracy, trenował podnoszenie ciężarów. Często przyjeżdżał do Body Time, gdy wychodziłam stamtąd po zajęciach karate. Zastępca komendanta policji miał ostry, haczykowany nos, mały wąsik i napompowane ciało, które dziwnie wyglądało w mundurze.

Komendant straży Frank Parrish podszedł do Skoka z hełmem, który trzymał za pasek. Obaj patrzyli na mnie wyczekująco.

Bardzo powoli wyjaśniłam, jak to się stało, że przechodziłam obok domu Joego C. Powoli, ponieważ oddychanie nadal przychodziło mi z trudem, ale również dlatego, że nie chciałam się w swoim zeznaniu pomylić ani

powiedzieć niczego dwuznacznego. Powiedziałam Skokowi i Frankowi o tym, że widziałam kogoś na podwórzu, wyczułam dym i odkryłam, że tylne drzwi nie są zamknięte na klucz.

Twarz Skoka była bez wyrazu, ale Frank wyglądał na otwarcie zaniepokojonego moją opowieścią.

– To była kobieta czy mężczyzna? – zapytał, gdy skończyłam.

– Nie wiem.

– W którym kierunku ten ktoś poszedł?

– Na tył podwórka, ale nie ma tam ogrodzenia. Mógł stamtąd pójść w każdą stronę.

– A te tylne drzwi nie były zamknięte? Westchnęłam, starając się zrobić to bezgłośnie.

– Zgadza się. Frank spytał mnie o to już trzeci raz.

– Pani pracuje dla Joego C?

Skok przykucnął, żeby móc spojrzeć mi prosto w oczy. Jeśli miało mnie to zastraszyć, to mu się nie udało.

– Tak.

– Czy dobrze się dogadujecie?

– To stary, sprośny dziad – odpowiedziałam. Zszokowało ich, że powiedziałam głośno coś, co myśleli wszyscy na tym bożym świecie.

– Ale weszła pani do domu, żeby go uratować?

– Najwidoczniej tak. – Choć zaczynałam tego żałować.

– Ta działka jest warta ładny kawał grosza – Frank podzielił się swoją opinią z nocnym powietrzem.

Nie miałam na to odpowiedzi. Chciałam wziąć prysznic i zmyć z siebie zapach dymu. Nie chciałam go już nigdy czuć.

– Idę do domu – wstałam i ruszyłam w drogę.

– Hola, jeszcze moment! – dogonił mnie Skok. – Słuchaj, paniusiu, nie masz żadnych przywilejów, gdy nie ma twojego kumpla.

– Mówisz o swoim szefie? O szefie, na którego ślubie dziś byłam? Jako najlepsza przyjaciółka panny młodej?

Nie było to typowe dla mnie zachowanie, ale zamierzałam pociągnąć za każdy sznurek, byle tylko uciec od tego pożaru, od tego starego domu i dymu.

– Nie robi to na mnie żadnego wrażenia – oznajmił Skok, ale nie uwierzyłam mu.

– Testosteron ci się podniósł – powiedziałam. Spojrzał w dół, zanim zdołał powstrzymać ten odruch.

– Zobaczyłam pożar, zgłosiłam go jak przykładna obywatelka i ocaliłam staruszkę przed śmiercią. Jeśli chcesz, możesz być podejrzliwy, ale nie sądzę, żeby to przeszło.

Wydłużyłam krok i zostawiłam go wpatrującego się we mnie, bezradnego, z irytacją wypisaną na ocienionej twarzy.

ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia spałam do późna. Musiałam wyłączyć budzik przez sen, bo gdy w końcu spojrzałam na zegarek, zorientowałam się, że powinnam już być w pierwszej porannej sobotniej pracy. Nie zasłałam łóżka, nie zjadłam śniadania i pojechałam do gabinetu Carrie, ślaniając się na nogach i bez makijażu. Nie było tam nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć w takim stanie. Przyspieszyłam więc tempo, załatwiłam jej gabinet i popędziłam do biura podróży.

Byłam tak naładowana adrenaliną, że skończyłam przed czasem. Wróciłam do domu, padłam na kuchenny stół i spróbowałam rozplanować resztę dnia. W soboty na ogół robiłam zakupy i sprzątałam własny dom. Staralam się sobie przypomnieć, co mnie czekało.

No tak, był jeszcze pogrzeb Deedry. Janet miała wpaść za godzinę, żebyśmy mogły pójść razem. Później miał wpaść Bobo w jakimś bliżej nieokreślonym celu. No i musiałam zrobić zakupy i posprzątać przed jutrzejszym przyjazdem Jacka.

Chciałam spać albo wypożyczyć film i oglądać go, siedząc w milczeniu na mojej dwuosobowej kanapie. Ale zmusiłam się do wstania i poszłam do łazienki wziąć gorący prysznic.

Czterdzieści pięć minut później Janet waliła w drzwi, a ja byłam umalowana i ubrana w czarny kostium, rajstopy oraz czółenka, które sprawiały, że czułam się nieswojo. Właśnie skończyłam makijaż i otworzyłam drzwi, zapinając lewy kolczyk.

- Lily, dobrze ci w czerni – powiedziała Janet.
- Dzięki. Ty też dobrze wyglądasz.

Mówiłam prawdę. Janet miała na sobie kasztanową sukienkę i brązowo–złoto–zielony żakiet, których krój i kolory podkreślały figurę Janet i pasowały do jej cery.

– A przy okazji – powiedziała Janet. – Obiecałam Becce, że wstąpimy po nią po drodze.

Wzruszyłam ramionami. Nie rozumiałam, po co komuś towarzystwo na pogrzebie, ale nie miałam nic przeciwko temu.

Becca wyszła wielkimi drzwiami prowadzącymi do Apartamentów Ogrodowych w Shakespeare w momencie, gdy do nich podeszłyśmy. Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę w wielkie białe grochy i upięła włosy pod słomkowym kapeluszem. Była jak zwykle ostro umalowana i wyglądała, jakby miała małą rolę w filmie o uroczych ekscentrykach z Południa.

– Halo! – powiedziała dziarsko i optymistycznie. Gapiłam się na nią.

– Wybaczcie – powiedziała po chwili. – Muszę otrzeźwieć. Dostałam właśnie bardzo dobrą wiadomość i jeszcze się z nią nie oswoiłam.

– Możemy zapytać, o co chodzi? – Okrągłe brązowe oczy Janet niemal wyszły na wierzch z ciekawości.

– No cóż – Becca wyglądała, jakby miała za chwilę spłonąć rumieńcem, choć Revlon już wcześniej zadziałał w identyczny sposób. – Mój brat przyjeżdża z wizytą.

Wymieniłyśmy z Janet porozumiewawcze spojrzenia. Becca wspomniała o swoim bracie Anthonym tylko raz czy dwa, a Janet kiedyś głośno zastanawiała się, czemu Becca dostała w spadku mieszkanie, a nie podzielono go sprawiedliwie między siostrę i brata. Nie zareagowałam, bo nie chciałam mieszać się w to, jak Pardon rozporządzał swoim majątkiem. Musiałam jednak przyznać, że wybranie tylko Beccy było trochę

niezwykłe. Teraz, gdy będziemy mieli okazję poznać jej brata, może odkryjemy, dlaczego Becca była faworyzowana.

– To bardzo miło – powiedziała uprzejmie Janet. Byłyśmy zbyt blisko kościoła, by kontynuować dyskusję.

Zaskakujący nastrój i wiadomość Beccy rozproszyły mnie na tyle, że nie zauważyłam, iż nasza mała uliczka była prawie nieprzejezdna. Samochody stały zaparkowane po obu stronach ulicy Track i za zakrętem, jak tylko mogłam okiem sięgnąć. Track stanowi podstawę przewróconego na lewy bok U złożonego z trzech uliczek. Estes Arboretum wypełnia pustą część U, a Zjednoczony Kościół leży na górnej kresce. To fundamentalistyczny kościół chrześcijański, którego pastor, Joel McCorkindale, potrafi doskonale zbierać pieniądze. Joel jest przystojny i gładki, jak gwiazda country. Ma przyszczyżone włosy i doskonałe białe zęby. Ostatnio zapuścił wąsik, który przycina tak precyzyjnie, że wygląda, jakby mógł nim kroić steki.

ZKS rozbudował się w ciągu minionych trzech lat o dwa skrzydła. Jest tam żłobek, przedszkole i boisko do koszykówki dla nastolatków. Założyłam, że mają czas na niedzielną mszę, bo udało im się wcisnąć ją między spotkania dla samotnych, próby młodzieżowego chóru Dzwoneczki i zajęcia w stylu „Jak zadowolić męża w chrześcijańskim małżeństwie”. Pracowałam dla nich od czasu do czasu i odbyłam kilka ciekawych rozmów z wielebnym McCorkindale’em.

Dzwon na wieży bił głośno, gdy podchodziłyśmy w górę łagodnego zbocza, które przed kościołem przechodziło w wyrównany teren. Białe karawan domu pogrzebowego Shields był przygotowany i zaparkowany wzdłuż krawężnika przed samym kościołem. Przez przyciemnione szyby można było dostrzec rodzinę, która czekała na odpowiedni moment, żeby wejść do kościoła. Mimo że nie chciałam się gapić, nie mogłam się

powstrzymać. Lacey sprawiała wrażenie załamanej i zrozpaczonej. Jerrell był zrezygnowany.

Janet, Becca i ja weszłyśmy głównym wejściem, a kościelny zaprowadził nas do ławek. Upewniłam się, że Becca idzie pierwsza i że to ją chwyci za ramię, a nie mnie. Kościół był wypełniony bladymi ludźmi w ciemnych ubraniach. Ławki dla rodziny, poza pierwszą, zarezerwowaną dla Lacey i Jerrella, zajmowali kuzyni, ciotki i wujkowie zmarłej. Dostrzegłam jasne włosy Bobo obok ciemnej głowy Calli Prader. Zapomniałam, że Deedra była kuzynką Bobo.

Kościelny wskazał nam koniec ławki mniej więcej w połowie długości kościoła. Dobrze, że przyszliśmy teraz, bo było to ostatnie miejsce, gdzie zmieściły się trzy osoby. Janet rozejrzała się z ciekawością. Becca studiowała śpiewnik, który dał nam kościelny. Chciałam się znaleźć gdzie indziej. Gdziekolwiek. Jack będzie tu jutro, a ja miałam mnóstwo roboty. Martwiłam się w związku z jego przyjazdem i z problemami, które musieliśmy rozwiązać. Zapach kwiatów wypełnił kościół, w którym już było duszno z powodu tłumu ludzi. Rozboleła mnie głowa.

Joel McCorkindale, w czarnej sutannie z jeszcze czarniejszymi aksamitnymi lamówkami przy rękawach, pojawił się przed kościołem tuż po tym, jak organy odegrały parę ponurych kawałków. Wstaliśmy, a pracownicy zakładu pogrzebowego (jeden Shields rodzaju męskiego i jeden żeńskiego), przepełnieni profesjonalnym smutkiem, wwieźli trumnę wzdłuż nawy. Za trumną powoli szli karawaniarze, dwójkami, ze wzrokiem wbitym w posadzkę, a każdy z nich miał w klapie wpięty goździk. Wszyscy karawaniarze byli mężczyznami. Przyglądałam się ich twarzom, zastanawiając się, ilu z nich odbyło intymne czynności z ciałem, które teraz spoczywało w trumnie przed nimi. To była absurdalna myśl i nie byłam

dumna, że wpadła mi do głowy. Większość z tych mężczyzn była już w dojrzałym wieku, zbliżonym do Jerrella i Lacey, którzy szli tuż za nimi.

Lacey trzymała się kurczowo Jerrella, a on musiał bardzo jej pomagać, żeby była w ogóle w stanie dojść do pierwszej ławki. Kiedy minęli resztę rodziny, przyszło mi na myśl, że Becca mogła siedzieć po drugiej stronie kościoła zamiast obok mnie. W końcu też była kuzynką Deedry, choć nie miała zbyt wielu okazji, by ją lepiej poznać.

To był trudny tydzień dla klanu Praderów, Deanów, Winthropów i Albeech. Ciekawiło mnie, ilu z nich myślało o podpaleniu domu Joego C. poprzedniej nocy, a nie o morderstwie kobiety, która leżała teraz w trumnie.

Jeszcze parę osób wśliznęło się do środka i usiadło z tyłu, zanim kościelni zamknęli drzwi. Kościół był wypełniony do ostatniego miejsca. Nie dość, że Deedra zmarła tak młodo, to jeszcze została zamordowana. Być może ciekawość miała duży wpływ na liczbę osób obecnych na ceremonii.

Możliwe, że z powodu duchoty – ścisk i ciężki zapach kwiatów przyprawiły mnie o mdłości – zaczęłam się zastanawiać, czy mój pogrzeb byłby równie oblegany, gdybym została te kilka lat temu zamordowana po uprowadzeniu. Łatwo było wyobrazić sobie moich rodziców idących za trumną. Byłam nawet prawie pewna, kto by trumnę niósł...

Zmusiłam się do powrotu do teraźniejszości. Było coś chorobliwie niestosownego w obmyśleniu własnego pogrzebu.

Ceremonia wyglądała tak, jak się spodziewałam. Wysłuchaliśmy, jak dwie śpiewaczki przebrnęły przez dwa standardy: *Amazing Grace* i *What a Friend We Have in Jesus*. Sama potrafię śpiewać, więc wykonania były dla mnie interesujące, ale niewiele ponadto. Nikt tu w Shakespeare nie wiedział, że kiedyś, w rodzinnym miasteczku, śpiewałam na weselach i pogrzebach. Nie przeszkadzało mi to. Byłam lepsza niż kobieta, która

śpiewała *Amazing Grace*, ale nie miałam tak dobrego głosu jak ta, która śpiewała po niej.

Westchnęłam i założyłam jedną nogę na drugą. Janet wpatrywała się bezustannie w śpiewaczki, a Becca przyglądała się skórkom przy paznokciach i usunęła kawałek nitki, który zahaczył się o oprawę diamentu przy jej pierścionku.

Mogłam się spodziewać, że jeśli Joel McCorkindale uzna, iż to dobry moment na umoralnianie, nie przepuści okazji i nie zadowoli się zwykłą mową. Nikt się więc nie zdziwił, gdy oparł kazanie na liście do Tesaloniczan, w którym święty Paweł ostrzegał nas, że dzień sądu nadejdzie jak złodziej w nocy.

Pastor zrobił wokół niego więcej zamieszania, niż oczekiwałam. Wygłosił tezę, że ktoś uzurpował sobie boże prawo do odebrania Deedrze życia. Spoważniałam i poczułam się urażona. Podczas pogrzebu Deedry odwracano uwagę od niej, a skupiano się na człowieku, który ją zabił.

Zaniepokoiłam się, gdy ludzie, którzy byli przyzwyczajeni do tego stylu modlitwy, zaczęli głośno zgadzać się ze słowami Joela McCorkindale'a. Co chwilę jakaś kobieta czy mężczyzna wznosili ręce w górę i mówili: „Amen! Chwalmy Pana!”.

Odwróciłam lekko głowę, żeby sprawdzić reakcję Janet. Oczy prawie wychodziły jej z orbit i znacząco nimi przewróciła, gdy zobaczyła, że jestem równie zszokowana. Nie byłam wcześniej w kościele, gdzie normalne było, iż wierni głośno mówili w trakcie mszy, i sądząc po wyrazie twarzy Janet, ona także nie. Becca z kolei uśmiechała się delikatnie, jak gdyby wszystko to było jakimś przedstawieniem urządzonym specjalnie dla niej.

Widziałam, że mężczyźni i kobiety, którzy regularnie chodzili do tego kościoła, czuli się dobrze z tym... gościnnym udziałem wiernych. Ale ja

czułam się okropnie zażenowana i kiedy zobaczyłam, jak Lacey pochyła się, z rękoma założonymi na głowę, a łzy spływają po jej twarzy, byłam bliska wstania i opuszczenia kościoła. Nie rozmawiałam nigdy z Bogiem, bo po pamiętnym lecie w Memphis straciłam wiarę. Jednak wiedziałam, że gdybym miała przeprowadzić taką rozmowę, zrobiłabym to w samotności i nikt by o tym nie wiedział. W zasadzie obiecałam sobie, że tak by to wyglądało.

Gdy nadszedł koniec mszy, ucieszyliśmy się z Janet tak bardzo, że niemal wybiegaliśmy z kościoła. Becca była widocznie zaintrygowana całym tym doświadczeniem.

– Widziałaś kiedyś coś podobnego? – zapytała, ale nie zrobiła tego wystarczająco cicho.

Nadal byliśmy w pobliżu żałobników, którzy rozproszyli się teraz w kierunku samochodów, którymi mieli dojechać na cmentarz.

Janet w milczeniu potrząsnęła głową.

– Ciekawe, co się będzie działo przy grobie – powiedziała Becca z radosnym wyczekiwaniem.

– Musisz pojechać z Carltonem – powiedziałam i skinieniem głowy przywitałam sąsiada, który właśnie wychodził z kościoła. – Ja idę do domu.

Ruszyłam w drogę. Janet truchtała za mną.

– Zaczekaj, Lily! Raczej też nie pójdę na cmentarz. To nabożeństwo wytrąciło mnie z równowagi. Chyba metodyści są zbyt zamknięci na coś tak... otwartego emocjonalnie.

– Otwartego – warknęłam, idąc dalej. – Nie podobało mi się to.

– Masz na myśli kościół? Ludzi? Przytaknęłam.

– No cóż, mnie też nie wychowano w taki sposób, ale chyba dzięki temu ci ludzie poczuli się lepiej – skomentowała ostrożnie Janet. – Nie wiem, może to było w jakiś sposób pocieszające.

Wzruszyłam ramionami.

– Słuchaj, co będziesz teraz robić?

– Zadzwoń do szpitala.

– W jakiej sprawie? – Joego C.

– Ach, tak. W jego domu wczoraj wybuchł pożar, prawda?

Przytaknęłam.

– Do zobaczenia – powiedziałam. I zmusiłam się do dodania: – Dzięki, że ze mną poszłaś.

Janet wyglądała na bardziej zadowoloną.

– Nie ma sprawy. Dzięki, że mogłam zaparkować przed twoim domem.

Wsiadła do swojej czerwonej toyoty, odpaliła silnik i pomachała mi, odjeżdżając.

Ulica była pełna samochodów, które ustawiały się w kondukcje zmierzającym na cmentarz. Gdy stałam przed drzwiami, ulica pustoszała, jak w filmie kręconym metodą poklatkową. Został tylko jeden jeep, zaparkowany nieco dalej.

Zostałam sama, z drzewami w arboretum po przeciwnej stronie drogi.

Nie, jednak nie sama. Gdy w końcu postanowiłam wejść do domu, zobaczyłam, że z auta wysiada mężczyzna i zmierza w moją stronę.

Ze zdziwieniem rozpoznałam Bobo i przypomniałam sobie o naszym spotkaniu. Idąc, rozluźnił krawat, zdjął go i włożył do kieszeni ciemnego garnituru. Opalonymi palcami odpiął górny guzik koszuli i zaczesał włosy do tyłu.

Nagle dopadła mnie popogrzebowa radość z tego, że żyję. Idący chodnikiem mężczyzna chyba też ją poczuł. Przyspieszył kroku i szedł, wpatrzony we mnie. Gdy dotarł do drzwi, nie powiedział ani słowa, tylko objął mnie długimi ramionami, przyciągnął do siebie i pocałował z całej siły.

Mój mózg nakazywał: „odsuń się!”, ale moje ciało nie słuchało. Palcami przeczesywałam włosy Bobo, przycisnęłam swoje biodra do jego i całowałam go tak mocno, jak potrafiłam.

Mógł nas zobaczyć każdy, kto przechodził w pobliżu.

Bobo musiał sobie to uświadomić, bo popchnął mnie lekko, wtoczyliśmy się do domu, a wtedy zamknął drzwi.

Ugryzł mnie w szyję, zamruczałam i zaczęłam na niego napierać. Rozpiął zakiet i pieścił moje piersi przez stanik.

Zareagował na moje ruchy, a moje dłonie powędrowały pod jego spodnie i złapałam go za tyłek. Poruszaliśmy się dalej w tym rytmie i jakimś cudem Bobo trafił w to najbardziej właściwe miejsce. Zobaczyłam gwiazdy. Jęknął i poczułam, że przód jego spodni zrobił się mokry.

Teraz słyszeć było tylko nasze dyszenie.

– Na podłogę – zasugerował Bobo.

Mój salon nie jest zbyt duży i nie ma wiele wolnego miejsca. Bobo rozciągnął się na podłodze, a ja usiadłam obok niego. Krew nadal huczała mi w żyłach. Jednak już po chwili poczułam, że przygniata mnie świadomość tego, jak źle i głupio postąpiłam. Na dodatek z kimś, kogo uważałam za przyjaciela. Dzień przed powrotem Jacka.

Wszystkie te lata, gdy starałam się nie popełnić żadnego błędu, poszły na marne.

– Lily – powiedział łagodnie Bobo.

Oparł się na łokciu, a jego twarz odzyskała normalny kolor. Oddychał miarowo. Jego wielka ręka przewędrowała sporą odległość i teraz dotykała mojej.

– Lily, nie bądź smutna.

Nie byłam w stanie mówić. Zastanawiałam się, czy Bobo skończył już dwadzieścia jeden lat. W najostrzejszych słowach powiedziałam sobie, że

jestem zdeprawowaną kretynką. Chciałam dosłownie walić głową w ścianę.

– Poniosło nas – powiedział.

Wzięłam głęboki oddech.

– Tak.

– Nie bądź taka zła – powtórzył. – Nie chcę być niedelikatny, Lily, ale to było tylko pieprzenie na sucho.

Nie słyszałam wcześniej tego określenia.

– Prawie się uśmiechnęłaś, widziałem, że twoje usta drgnęły – powiedział zadowolony.

Odsunęłam mu włosy z czoła.

– Czy możemy udawać, że to się nigdy nie zdarzyło? – Głos nie trząśł mi się tak bardzo, jak się obawiałam.

– Nie, nie sądzę. To, co się stało, było fantastyczne. Zawsze coś do ciebie czułem. – Przyciągnął moją dłoń i pocałował ją. – Ale nie spodziewałem się tego. To taka gorączka pogrzebowa. Wiesz – ona umarła, my żyjemy. Seks to świetny sposób, żeby udowodnić sobie, że się żyje.

– Wymądrzasz się.

– Nadszedł moment, żebyś dała sobie trochę luzu i pozwoliła innym na robienie mądrych rzeczy.

– Robię wiele rzeczy, które nie są rozsądne. – Nie byłam w stanie ukryć rozgoryczenia.

– Lily, to się więcej nie powtórzy. Nie pozwolisz na to. Więc bądźmy ze sobą szczerzy.

Nie byłam pewna, jakie to będzie miało konsekwencje, więc czekałam, co powie.

– Nie masz pojęcia, ile razy, odkąd zaczęłaś pracować dla mojej matki, fantazjowałam na twój temat. Kiedy wiesz, że tajemnicza piękna kobieta

sprząta ci pokój, nie da się uniknąć wyobrażania sobie... co by było. Moja ulubiona...

– Proszę, przestań.

– W porządku. – Miał tyle przyzwoitości, by wyglądać na trochę zażenowanego. – Ale chodzi o to, że wiem... Wiem, że to tylko fantazja. Istniejesz naprawdę, ale nie będziemy razem. Wiesz, że jesteś dla mnie jak... kumpel.

Kimś więcej niż kumpel – pomyślałam ze smutkiem. Ale wiedziałam, że nie należy tego mówić głośno.

– Tak naprawdę mnie nie znasz – powiedziałam najdelikatniej, jak umiałam.

– Wiem o tobie wiele rzeczy, których sama nie potrafisz przyznać – odparował.

Nie rozumiałam.

– Wyciągasz staruszków z płonących budynków. Uratowałaś życie Jackowi Leedsowi i omal nie zginęłaś. Jesteś gotowa ryzykować własnym życiem, aby ocalić czyjeś, i masz dość odwagi, by to robić.

Co za nieporozumienie!

– Nie, nie, nie – zaprotestowałam, wściekła.

Wykonał ruch, jakby chciał mnie uciszyć, uklepując powietrze dłonią. Usiadłam i sięgnęłam na stertę złożonego prania na krześle. Prania, którego nie zdążyłam dziś schować. Podałam mu ręcznik. Próbował osuszyć przód spodni i bardzo się starał nie wyglądać na zawstydzonego.

– Zrobiłaś to. Jesteś odważna. – Jego głos był bez wyrazu, ale jednocześnie nie sposób było z nim dyskutować.

Nie chciałam wysłuchiwać motywującej gadki Bobo Winthrop. Wiedziałam, że to, co się stało dzisiaj, będzie mi ciążyć na sumieniu przez długi, długi czas.

– Jesteś bystra, ciężko pracujesz i jesteś naprawdę, ale to naprawdę śliczna.

Znienacka poczułam łzy zbierające się pod powiekami. Ostateczne poníženie – pomyślałam.

– Musisz iść – powiedziałam nagle.

Pochyliłam się, żeby pocałować go w policzek. Wstaliśmy i raz – po raz ostatni – przyciągnęłam go do siebie i przytuliłam.

– Teraz już idź, a za tydzień, dwa, wszystko będzie okej.

Miałam nadzieję, że to, co powiedziałam, stanie się prawdą. Spojrzał na mnie poważnie i był tak smutny, że ledwo mogłam to znieść.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć – nalegał. – Wysłuchaj mnie, Lily. Zmieniam temat.

Niechętnie skinęłam głową, żeby pokazać, że czekam.

– Pożar był wynikiem podpalenia. Przyjechał komendant straży pożarnej i powiedział to rano Calli. Zadzwońiła do wszystkich w rodzinie, poza Lacey oczywiście, i powiadomiła nas o tym. Ktoś próbował zabić Joego C., a ty mu w tym przeszkodziłaś.

Nie słuchałam pochwalnej części przemowy Bobo. Myślałam o tym, co powiedział na początku. Nie zaskoczyło mnie to. Tak naprawdę byłam pewna, że osoba, którą zobaczyłam na podwórku Joego C., podłóżyła ogień.

Intruz + nagły pożar = podpalenie.

– Co spowodowało pożar?

– Paczka papierosów. Nie pojedynczy papieros, ale cała paczka. Ktoś zostawił je na kanapie. Ale płomień oddaliły się od kanapy, nie spaliły jej, więc ślady pozostały.

– Jak się miewa Joe C?

Przez chwilę Bobo wyglądał na zaskoczonego, jakby spodziewał się z mojej strony jakiegoś okrzyku i zupełnie innego pytania.

– Nic nie jest w stanie zabić Joego C. – powiedział Bobo niemal z żalem i odsunął włosy z czoła. – Jest jak ludzki karaluch. O, znów widziałem to drgnięcie.

Odwróciłam wzrok.

– Lily, to nie jest koniec świata. Wiedziałaś, że sprawiam mu przykrość, a nie chciałam tego robić. Nie chciałam zrobić żadnej z tych rzeczy, które dziś zrobiłam.

Byłam zdecydowana nie schodzić na osobiste tematy.

– Gdyby Joe C. zginął, kto dostałby spadek? – zapytałam. Bobo poczerwieniał.

– Nie powinienem znać odpowiedzi na to pytanie, ale znam – wyznał. – Bo widziałem kopię testamentu w domu Joego C. Trzymał ją w starym sekretarzyku. Zawsze uwielbiałem to biurko. Jezu, pewnie całkiem spłonęło. Ale bawiłem się przy nim od małego, wiesz, zaglądałem do tajnej skrytki, którą mi pokazał.

– Tam był testament? – dopytałam, gdy wspomnienia zdawały się go pochłaniać.

– Tak, ostatnim razem, gdy poszedłem go odwiedzić... chyba w zeszłym tygodniu... siedziałem z Toni w salonie, a ciocia Calla pomagała włożyć Joemu C. buty, po tym jak uciął sobie drzemkę. Zaprosił do siebie krewnych – wnuki, siostrzenice, siostrzeńców. Deedrę, mnie, Amber, Howella trzeciego, Beccę. Pozostała trójka mieszka w Karolinie Północnej... No i pokazałem Toni, gdzie trzeba nacisnąć, żeby otworzyć skrytkę. I tam był testament. Nie miałem żadnych złych zamiarów, gdy go czytałem.

Po krótkim czasie bycia obiektem seksualnym znów stałam się mądrą kobietą, która musi pochwalać jego poczynania. Westchnęłam.

– Co tam było napisane?

– Dużo prawniczego żargonu – Bobo wzruszył ramionami – ale z tego, co zrozumiałem, wujek Joe C. zostawił każdemu z Winthropów jedną rzecz, jeden mebel. Czyli ja, Amber i Howell trzeci mogliśmy sobie coś wybrać. Miałem nadzieję, że dostanę biurko. Pomyślałem, że postaram się wybierać jako pierwszy. A teraz wszystko jest zniszczone lub zalane wodą. – Bobo uśmiechnął się pięknie, rozbawiony tym, że tak zakłopotala go własna chciwość. – Oczywiście najważniejszy był dom. Joe C. zapisał środki ze sprzedaży domu swoim prawnukom. Trzem dzieciakom Walkera, dwom Alice Whitley i córce Lacey... O, ale... – Zamilkł. – Ale Deedra nie żyje – dodał.

Powoli to przemyślałam. Uznałam, że to, kogo Joe C. wpisał do testamentu, było równie interesujące jak to, kogo pominął.

– Nic dla Calli – przypomniałam. – Jest wnuczką. Bobo wyglądał na przerażonego.

– Ale przecież opiekowała się nim od tylu lat. Pamiętałam dziadka Bobo. Był tylko szwagrem Joego C., ale byli ulepieni z tej samej gliny. Zastanawiałam się, czym w tamtych czasach matki w Shakespeare karmiły swoje dzieci, żeby wyrosły na tak wrednych ludzi.

– Czy ktoś poza tobą o tym wiedział? – spytałam.

– Tak. To znaczy chyba, nie wiem – wymamrotał. Wydawał się ciągle zdumiony tym, jak okrutny był jego krewny. Musiał podążać tym samym tropem co ja, bo nagle zapytał: – Z jakiej rodziny ja pochodzę?

– Pochodzisz od swoich rodziców, którzy oboje są porządnymi ludźmi. – Miałam wprowadzić zastrzeżenia do jego matki, ale to nie była odpowiednia pora, żeby o tym myśleć. – Twój ojciec jest miłym mężczyzną –

powiedziałam i naprawdę tak sądziłam. – Twoja babcia to prawdziwa dama. – To oznaczało nie tylko godne podziwu cechy, ale też kilka nieco mniej pożądanych, ale zawsze wiedziałam, kiedy lepiej coś przemilczeć. Czasami bardzo mi to pomagało.

Bobo wyglądał na trochę mniej zrozpaczonego.

– Jesteś dobrym człowiekiem.

– Naprawdę tak uważasz?

– Wiesz, że tak.

– To najlepszy komplement, jaki mogłaś mi powiedzieć. – Spoglądał na mnie posępnie przez chwilę, po czym jego poważną twarz rozjaśnił uśmiech. – Oczywiście poza nazwaniem mnie niesamowitym ogierem i seksniewolnikiem.

Niespodziewanie poczułam się lepiej. Spostrzegłam, że krótkie napięcie seksualne między nami minęło i teraz przyjaźń mogła zająć jego miejsce. Że mogliśmy zapomnieć o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu minut, albo przynajmniej dobrze udawać, że tak się stało.

Ale Jack nadal miał się zjawić nazajutrz i choć poczułam chwilową ulgę i uwolniłam się od nienawiści do samej siebie, ulga ta natychmiast została zmieciona przez falę udręki, spowodowanej świadomością, że znów go zobaczę.

Bobo podniósł rękę, żeby pogłodzić mnie po włosach albo karku, ale powstrzymał się, widząc mój wyraz twarzy.

– Do zobaczenia, Lily.

– Do widzenia – odpowiedziałam stanowczo. Otworzył drzwi i zapiął marynarkę, żeby przynajmniej częściowo zakryć plamę na spodniach. Gdy przestępował próg, odwrócił się.

– Czy sądzisz, że Calla byłaby w stanie to zrobić? – zapytał tonem, jakby pytał ucznia, do jakich złych rzeczy jest zdolny. – Sądzisz, że mogła

to zrobić Joemu C? Podłożyć ogień? Drzwi były otwarte, miała klucz.

– Myślę, że mogła pragnąć jego śmierci, jeśli wiedziała, co było w testamencie – odpowiedziałam szczerze.

Był zaskoczony, ale uwierzył mi na słowo.

Kręcąc głową, ruszył w kierunku jeepa, by wrócić do domu, dziewczyny i rodziców.

Pozostałam sama z cholernymi wyrzutami sumienia.

ROZDZIAŁ 9

Odkładałam właśnie zakupy, gdy usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Zobaczyłam Beccę Whitley, nadal w mocnym makijażu, choć zdążyła się już przebrać w dzinsy i koszulkę.

– Zajęta? – zapytała.

– Wejdz – poczułam ulgę, że pojawił się ktoś, kto skieruje moje myśli na inne tory.

Becca odwiedziła mnie wcześniej tylko raz, więc nie czuła się tu zbyt swobodnie.

– Twój chłopak przyjeżdża na weekend? – zapytała, stojąc pośrodku mojego maleńkiego salonu.

– Dopiero jutro. Napijesz się czegoś?

– Soku albo wody. Obojętnie.

Nalałam jej soku z różowych grejpfrutów i usiadłyśmy w salonie.

– Policja znów się pojawiła? – zapytałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Od paru dni nie. Prosili cię o listę mężczyzn, którzy ją odwiedzali?

– Tak.

– Co im powiedziałaś?

– Że nie było ich już w mieszkaniu, gdy się tam pojawiałam.

– Nieładnie, nieładnie.

– A ty co im powiedziałaś?

– Dałam im listę.

Wzruszyłam ramionami. Nie wymagałam, żeby wszyscy robili to co ja.

– Słyszałam, że szeryf zamontowała automatyczne drzwi, które cały dzień się otwierają i zamykają, tyle mają tam ludzi.

– Słyszałaś? Ktoś dużo gadał.

– Anne–Lise Puck.

Anne–Lise ćwiczyła razem z Beccą i pracowała w biurze szeryfa.

– Powinna o tym rozmawiać?

– Nie – odpowiedziała Becca. – Ale tak bardzo lubi wszystko wiedzieć, że później nie może się powstrzymać od gadania.

Pokręciłam głową. Anne–Lise może wkrótce stracić pracę.

– Niech lepiej uważa – powiedziałam Becce.

– Sądzi, że jest bezpieczna.

– Jak to?

– No cóż, była blisko z pierwszym szeryfem Schusterem. Sądzi, że druga szeryf Schuster jej dzięki temu nie zwolni.

Wymieniłyśmy spojrzenia, Becca uśmiechnęła się szeroko. Jasne.

– Zgadnij, kto wychodził od szeryf, kiedy wczoraj wstąpiłam po Anne–Lise w drodze na lunch? – zapytała Becca.

Spojrzałam na nią pytająco.

– Jerrell Knopp – powiedziała znaczącym tonem. – Ojczym we własnej osobie.

Biedna Lacey. Byłam ciekawa, czy o tym wie.

– I – kontynuowała Becca, ważąc każde słowo – nasz szanowny sąsiad Carlton.

Byłam w szoku. Sądziłam, że Carlton był zbyt wybredny, by zadawać się z Deedrą. Czułam, że usta układają mi się w szyderczy uśmiech. Nie starałam się go ukryć.

– W sumie to przesłuchiowano wszystkich mężczyzn z naszych zajęć karate, łącznie z szacownym *sensei*.

– Raphael? Bobo?

Raphael to najbardziej żonaty facet na świecie, a Bobo był kuzynem Deedry.

– Tak, nawet nowi chłopcy. I paru gości, którzy już od dawna nie przychodzili na zajęcia.

– Ale po co?

Nawet Deedra nie była w stanie zorganizować *rendez-vous* z każdym z trenujących karate. Becca wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Było jasne, że był jakiś powód, że podczas dochodzenia odkryto coś, co spowodowało to zainteresowanie.

– A przesłuchają też ludzi z kursu taekwondo? – zapytałam. Becce spodobała się moja reakcja.

– Dokładnie o to samo zapytałam Anne-Lise. Tak, wszyscy mężczyźni trenujący sztuki walki muszą się stawić w biurze szeryfa. Bez względu na to, czy znali się z naszą zmarłą sąsiadką.

– To całkiem sporo ludzi – zawahałam się. – Zastanawiam się, czy kiedykolwiek odkryją, kto ją zabił.

– Lily, chcę, żeby policja to odkryła. Wiesz, że zrobił to jeden z gości, z którymi spała.

– Być może.

– Zabezpieczyli sporo pościeli.

– Miała w szufladzie pełno prezerwatyw. Oczywiście nie miałam pewności, że ich używała, ale sądziłam, że jeśli strach przed chorobą nie nakazywał jej być ostrożną, sprawił to lęk przed ciążą.

Becca gapiła się na mnie, a gdy myślała nad tym, jej oczy wyglądały jak błyszczące błękitne kulki ze szkła.

– Czyli najprawdopodobniej na prześcieradłach nie będzie plam z nasienia. Nie będzie więc możliwości porównania materiału genetycznego i

zrobienia testów DNA. – Założyła nogę na nogę i zaczęła kołysać stopą. – W jej ciele też nie będzie DNA. Ej, a czy robiła to z kobietami?

Z zainteresowaniem popatrzyłam na nią, starając się nie okazywać szoku. Dużo się o sobie dziś uczyłam.

– Nawet jeśli, to nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Och, nie bądź taką cnotką, Lily – powiedziała Becca, widząc, że nie jestem zadowolona z przebiegu rozmowy. – Wiesz, wiele kobiet, które przeszły przez to co ty, po tym wszystkim ma skłonność do kobiet. Być może Deedra wypróbowała już cały męski asortyment i chciała czegoś innego.

– Nawet jeśli, to nikomu nic do tego – powiedziałam stanowczo.

– Nie ma z tobą zabawy. – Becca zmieniła położenie nóg, podniosła gazetę i odłożyła ją z powrotem. – A jak się miewa Joe C?

– Nie zadzwoniłam jeszcze do szpitala, ale wiem, że ciągle żyje.

– Miał szczęście, że byłeś w pobliżu. – Na jej wąskiej twarzy malował się kompletny spokój.

– W końcu ktoś zadzwoniłby po straż i strażacy uwolniliby go.

– No cóż, i tak mam zamiar ci podziękować, przecież Joe C. jest moim pradziadkiem.

– Często go odwiedzałaś?

– Nie byłam, w Shakespeare od dzieciństwa. Ale kiedy wuj Pardon zmarł i przeprowadziłam się tutaj, odwiedzałam Joego C. mniej więcej raz na dwa tygodnie. Ten stary drań nadal lubi wysokie obcasy i krótkie spódniczki, wiesz?

– Tak, wiem.

– Trochę to żałosne. Ale stary łajdak ma nadal mnóstwo wigoru, to mu muszę przyznać. Ciągłe jest w stanie naskoczyć na ciebie w mgnieniu oka, jeśli dasz mu do tego powód. I opieprzyć cię od góry do dołu.

– Konkretnie ciebie?

– Nie, nie mnie. Mówiłam ogólnie.

Czy miałam zapytać kogo? Postanowiłam tego nie robić z czystej przekory.

– Rozumiem, że dostałabyś spadek, razem z resztą prawnuków? – zapytałam zamiast tego, nie do końca rozumiejąc, dlaczego używam informacji, które przekazał mi Bobo.

– Tak, tak słyszałam – Becca uśmiechała się szeroko. – Ale staruszek jeszcze nie umarł! – wydawała się zadowolona z pokrewieństwa z takim twardzielem. Ale zaraz zrobiła się poważna. – Tak naprawdę, Lily, to chciałam powiedzieć, że możesz spodziewać się kolejnej wizyty pani szeryf.

– Dlaczego?

– Anne-Lise mówi, że kobiety trenujące karate są w następnej kolejności. Ze względu na to, jak zginęła Deedra.

– Jak zginęła? – Została...

Donośne pukanie przeszkodziło w naszej interesującej rozmowie.

– Za późno – powiedziała Becca, niemal bez troski.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Becca wstała i wyszła tylnymi drzwiami. Musiałam otworzyć, a miałam coraz gorsze przeczucie.

– Szeryf Schuster – przywitałam ją i nie byłam w stanie ukryć niechęci. Ten dzień już mnie wykończył.

– Panno Bard – powiedziała krótko. Marta weszła, a w ślad za nią podążył Emanuel.

– Proszę usiąść. – Mój głos był chłodny i nieszczerzy. Oczywiście usiedli.

– Wyniki sekcji Deedry Dean – powiedziała Marta Schuster – są bardzo interesujące.

Podniosłam rękę, dłoń miałam skierowaną ku górze. No co?

– Mimo że po śmierci robiono z nią różne rzeczy – nie mogłam zapomnieć błysku szkła pomiędzy udami Deedry – zmarła w wyniku jednego silnego ciosu w splot słoneczny. – Szeryf poklepała się po własnym splocie słonecznym, żeby to lepiej zilustrować.

Prawdopodobnie wyglądałam na tak osłupiałą, jak się czułam. W końcu nie byłam w stanie z siebie nic wydusić poza: „No i?”.

– To był potężny cios, który zatrzymał jej serce. Nie umarła z powodu upadku czy uduszenia.

Pokręciłam głową. Nadal nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie wiem, jakiej reakcji spodziewała się Marta Schuster, ale nie zobaczyła jej i to ją rozzłościło.

– Oczywiście to mógł być wypadek – powiedział nagle Clifton Emanuel i obie na niego spojrzaliśmy. – Może ten cios nie miał jej zabić. Może ktoś ją uderzył, nie wiedząc, jak mocno to robi.

Nadal gapiłam się jak kretynka. Próbowałam zrozumieć znaczenie tej wypowiedzi, którą wygłosił tak, jakby dawał mi „wielką wskazówkę”.

– Cios pięścią – powiedziałam obojętnie. Czekali, z identycznym wyrazem wyczekiwania, niemal triumfu, wypisanym na twarzy. Stało się.

– Jak cios karate – powiedziałam. – Czyli... sędziacie... że co?

– Patolog powiedział, że osoba, która potrafiłaby uderzyć w ten sposób, musi być silna i wytrenowana.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Nie było sposobu, by uchronić się przed podejrzeniami. Nie dało się zanegować tego, o czym teraz myśleli. Przyszło mi do głowy tyle rzeczy naraz, że nie umiałem ich ogarnąć. Przypomniałam sobie ludzi z mojej grupy, przestudiowałam ich twarze. Każdy z uczniów, którzy uczęszczali na zajęcia dłużej niż przez parę miesięcy (jak można sobie łatwo wyobrazić, grupa miała wyraźne tendencje do kurczenia się), znał Deedrę. Raphael Roundtree uczył

matematyki w liceum, do którego chodziła, Carlton Cockroft rozliczał jej podatki, Bobo był jej kuzynem, Marshall widywał Deedrę, jak przychodziła na aerobik w Body Time. Choć ciężko było w to uwierzyć, każdy z nich mógł z nią też sypiać.

A to byli przecież tylko mężczyźni. Janet знаła Deedrę od lat, Becca wynajmowała jej mieszkanie... a ja dla niej pracowałam.

Pomyślałam, że moja firma tego nie wytrzyma. Przetrwiałam inne skandale i wstrząsy w Shakespeare i miałam klientów, choć nie tak wielu jak wcześniej. Ale gdyby padło na mnie poważne podejrzenie, mogłam pożegnać się ze źródłem utrzymania. Musiałabym się przeprowadzić. Znowu.

Nikt nie chce się bać własnej sprzątaczkii.

Schuster i Emanuel ciągle czekali, aż odpowiem, ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Wstałam. Oni po chwili wahania również. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Czekałam, aż sobie pójdą.

Spojrzeli na siebie pytająco, Schuster wzruszyła ramionami.

– Do zobaczenia później – powiedziała spokojnie i zeszła po stopniach.

Emanuel podążył za nią.

– Nie sądzę – powiedziałam i zamknęłam za nimi drzwi.

Usiadłam, położyłam dłonie na kolanach i próbowałam zastanowić się, co zrobić. Mogłam zadzwonić w poniedziałek do prawnika... Ale do kogo? Na pewno jakiegoś znałam. No i Carlton mógł mi kogoś polecić. Ale nie chciałam tego robić, nie chciałam tracić czasu ani pieniędzy na obronę przed tak bezpodstawnymi zarzutami. Rodzony brat szeryf był bardziej podejrzany niż ja. Doszłam do wniosku, że to właśnie dlatego szeryf skupiała się na teorii ciosu karate. Jak można było opisać cios? Był, jaki był. Jeśli dało się poznać, że serce zatrzymało się w wyniku ciosu karate, równie dobrze można było powiedzieć: „Osoba, która uderzyła, była

praworęczna, trenowała karate *goju-ryu* od około trzech lat, a jej *sensei* urodził się w Azji”.

Jeśli autopsja wykazała, że Deedra została uderzona, kiedy stała, byłaby to z pewnością ważna informacja. Prawdopodobnie w Shakespearie nie było zbyt wielu mężczyzn, a jeszcze mniej kobiet, którzy potrafiliby wyprowadzić taki cios czy w ogóle zdawać sobie sprawę, że może on okazać się śmiertelny.

Ale jeśli Deedrę zaatakowano, gdy siedziała lub leżała oparta o twardą powierzchnię, tak, wtedy było o wiele więcej osób, które byłyby w stanie tak ją uderzyć.

W tym akurat momencie nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mógł wyglądać taki ciąg wydarzeń, ale było to możliwe. Wśród wielu rzeczy, o których szeryf nie wspomniała, było molestowanie Deedry. Czy stało się to przed jej śmiercią czy po niej?

Gdy o tym pomyślałam, uznałam, że wiele zależy od odpowiedzi na to pytanie.

I dlaczego zostawiono ją w lesie? To, że znaleziono ją przy drodze, którą często jeździłam, świadczyło na moją niekorzyść. Oczywiście przy Farm Hill Road były inne domy i firmy. Z jednej strony domu pani Rossiter, niecałe pół kilometra od niego, był warsztat samochodowy, z drugiej, w odległości półtora kilometra, stał sklep z antykami, rękodziełem i starociami. To mnie trochę uspokoiło – nie tylko mnie można było wskazać palcem.

Gdzie byłam w nocy, kiedy zamordowano Deedrę? To była niedziela. Tydzień temu, choć wydawało się, że upłynął przynajmniej miesiąc, Jack nie przyjechał na weekend. W sobotę oddałam się swoim zwykłym zajęciom – tym samym, które starałam się załatwić w tę sobotę: dwa drobne sprzątnania, porządkowanie własnego domu, zrobienie zakupów. Często

gotowałam obiady na cały tydzień i zamrażałam je. Tak, przypomniałam sobie: wieczorem w sobotę gotowałam, żeby mieć całą niedzielę wolną i móc poćwiczyć, zrobić pranie i dokończyć biografię, którą wypożyczyłam z biblioteki.

I właśnie to robiłam w niedzielę. Żadnych niespodziewanych telefonów, żadnego pokazywania się światu, poza godziną na siłowni po południu. Janet i Becca też tam były. Pamiętam, że rozmawiałam z nimi. Obejrzałam wieczorem film z wypożyczalni i doczytałam książkę do końca. Nikt nie zadzwonił. Mój typowy niedzielny wieczór.

Do czego się to wszystko sprowadzało? Znałam Deedrę, trenowałam karate. W pewnym stopniu znałam miejsce, w którym znaleziono jej zwłoki.

To wszystko.

To samo dotyczyło się wielu innych osób. Nie, nie wpadnę w panikę przez szeryf Schuster. Jeszcze nie.

Automatycznie pochowałam zakupy, ale byłam zbyt zaniepokojona, żeby gotować obiady na następny tydzień. Był już prawie czas kolacji, cienie wysokich drzew rosnących w arboretum tworzyły na chodniku poszarpane wzory. Próbowałam wymyślić sobie jakiś powód, żeby wyjść z domu i nie musieć chodzić bez celu. Postanowiłam odwiedzić w szpitalu Joego C. I tak niezbyt dobrze słyszał przez telefon.

Było na tyle chłodno, żeby włożyć kurtkę. Ulica Track była cicha, gdy wyszłam z domu. Carlton zdążył skosić po raz pierwszy trawnik i świeży zapach uspokoił mnie trochę – naturalna aromaterapia. Ten zapach, gdy byłam mała, kojarzył mi się z domem, ojcem i bliskością lata. Moje problemy nieco się zmniejszyły; ciężar trochę zelżał.

Przypomniał mi się cytat z Biblii: „Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemie lekkie”. Chyba Ewangelia według świętego Mateusza.

Pomyślałam o tym, gdy mijalam Zjednoczony Kościół w Shakespeare. Po tym jak zostałam zgwałcona i okropnie okaleczona na piersiach i brzuchu, gdy potworne zakażenie uszkodziło moje narządy rozrodcze, pastor rodziny przyszedł odwiedzić mnie w szpitalu. Odesłałam go. Rodzice sądzą, że nadal sądzą, że nie szukałam pocieszenia w religii, ponieważ byłam wściekła na los. Ale nie tak myślałam. Nie pytałam „Dlaczego ja?”, to było nadaremne. Dlaczego nie ja? Dlaczego miałabym być zwolniona z cierpienia tylko dzięki temu, że wierzę?

Zmieniłam swoje życie, bo byłam wściekła, że ludziom, którzy wyrządzili mi tak potworną krzywdę, może to ująć płazem. Moja nienawiść była tak silna, tak uporczywa, że wymagała ode mnie całej emocjonalnej energii. Odcięłam w sobie to, co chciało być z innymi ludźmi, co nakazywało mi płakać i bać się, być przerażoną faktem, że zabiłam człowieka. Wybrałam. Wybrałam życie, ale nie zawsze był to łatwy wybór. Byłam przekonana, że nie był to pobożny wybór.

Teraz, stojąc na skrzyżowaniu przecznicy przed niepozornym szpitalem w Shakespeare, kręciłam głową. Zawsze gdy myślałam o sytuacji, w jakiej się wtedy znalazłam, natrafiałam na ten sam mur. Byłam przykuta do łóżka w rozwalającej się szopie, czekając na powrót mężczyzny, który mnie porwał, i miałam w ręce pistolet z jednym nabojem. Mogłam się zastrzelić; Bóg by tego nie pochwalił. Mogłam zabić porywacza i zrobiłam to; zastrzelenie go też nie było dobre. Nigdy nie myślałam o trzeciej opcji. Ale od tamtego momentu parę razy przyszło mi do głowy, że lepiej zrobiłabym, gdybym się zabiła.

Wtedy, w tej szopie, warto było zobaczyć jego minę.

– Co innego mogłam zrobić? – powiedziałam na głos, omijając samochody na parkingu przed szpitalem.

Nadal nie znałam odpowiedzi. Ciekawa byłam, co powiedziała by Joel McCorkindale. Wiedziałam, że nigdy go o to nie zapytam.

Godziny odwiedzin prawie się skończyły, ale wolontariuszka w recepcji wydawała się zadowolona, gdy podawała mi numer pokoju Joego C. Stary szpital, zawsze zagrożony zamknięciem, został rozbudowany i wyremontowany, by lepiej sprostać wymaganiom współczesnej medycyny. W rezultacie powstał labirynt, w którym można się było zgubić, nawet mając w dłoni plan budynku. Mimo to udało mi się znaleźć właściwy pokój. Ludzie stali na korytarzu, rozmawiając szpitalnym półgłosem. Bobo, jego matka Beanie i Calla Prader. Jeśli dobrze kojarzyłam powiązania rodzinne, Calla była kuzynką w pierwszej linii ojca Bobo.

Nie byłam jeszcze gotowa na ponowne spotkanie z Bobo i prawie odwróciłam się na pięcie, żeby wyjść i poczekać, aż sobie pójdą, ale Calla mnie dostrzegła, zanim zdążyłam mrugnąć okiem.

Nie mam wielkich oczekiwań wobec ludzi, ale założyłam, że podziękuje mi za ocalenie Joego C. z płomieni. Zamiast tego podniosła rękę, żeby uderzyć mnie w twarz.

Nie pozwalałam na to.

Zanim jej dłoń dotknęła mojego policzka, złapałam ją za nadgarstek i unieruchomiłam rękę. Zamarłyśmy, jakbyśmy stanowiły martwą naturę. Wtedy chyba wściekłość opuściła Callę wraz z całą energią. Z twarzy spłynęły jej barwy złości i nawet jej oczy stały się blade i puste. Gdy upewniłam się, że zrezygnowała ze swoich zamiarów, puściłam jej nadgarstek, a ręka opadła i zawisła wzdłuż ciała, jakby zmiękły jej kości.

Spojrzałam ponad głową Calli na Beanie i zmarszczyłam brwi. Wydawało mi się oczywiste, że Calla dopiero teraz dowiedziała się, co jest w testamencie Joego C. i znów zastanawiało mnie, gdzie była, gdy zaczął się pożar.

– Strasznie mi przykro. – Beanie była tak upokorzona, że prawie nie mogła mówić. – Cała nasza rodzina powinna ci podziękować. – Te słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, jeśli wziąć pod uwagę rozmowę, podczas której mnie zwolniła. – Calla po prostu... nie jest sobą, prawda, kochanie?

Calla nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Czy ty też wiedziałaś? – zapytała półgłosem. Nie potrafiłam zrozumieć tego pytania. Pokręciłam więc głową.

– Czy wiedziałaś, że nic mi nie zostawił? Czy też o tym wiedziałaś? Wygląda na to, że wszyscy w mieście o tym wiedzieli oprócz mnie.

Na ogół mówię tylko prawdę, choć nie zawsze przychodzi mi to łatwo. Ale wiedziałam, że to odpowiedni moment, żeby skłamać.

– Nie – powiedziałam równie cicho jak ona. – Niezły z niego drań, prawda?

Po całej tej burzy emocji to, że usłyszała, iż ktoś tak go nazywa, pomogło jej dojść do siebie.

Wtedy się uśmiechnęła. Nie był to przyjemny uśmiech. Tak nie uśmiechały się damy w średnim wieku pochodzące z wiejskich terenów Arkansas i chodzące do kościoła. Uśmiech Calli oznaczał zachwyty, złośliwość i odrobinę triumfu.

– Każdy stary drań – powiedziała wyraźnie – musi sobie radzić sam, czyż nie?

Odwzajemniłam jej uśmiech.

– Na to wygląda.

Calla Prader wymaszerowała ze szpitala wyprostowana, a wesoły, psotny uśmiech ciągle gościł na jej twarzy.

Beanie gapiała się na nią skonsternowana. Beanie – wysportowana, atrakcyjna kobieta po czterdziestce. Jej największą zaletą jest miłość, jaką

darzy swoje dzieci.

– Dziękuję, że tak dobrze sobie z tym poradziłaś – powiedziała niepewnie.

Miała na sobie biało-beżową lnianą sukienkę, która cudownie wyglądała przy jej ciemnych włosach i opalonej skórze. Ten kosztowny wygląd ukrywał egoistyczne serce i małą inteligencję matki Bobo, częściowo przyćmione przez dobre maniery.

Czułam, że Bobo stoi przy mnie po lewej stronie, ale nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Dzięki, Lily – powtórzył jak echo.

Ale te słowa przypomniały jego matce, że stoi obok. Odwróciła się w jego stronę, z miną węża szykującego się do ataku.

– A ty, młody człowieku – zaczęła, szczęśliwa, że ma na kim skupić uwagę. – Ty wygadałeś Calli o testamencie.

– Nie wiedziałem, że za mną stoi – bronił się Bobo, brzmiąc przy tym, jakby miał czternaście lat. – A poza tym, skoro wiemy o testamencie, czy nie uczciwie jest powiedzieć jej o tym?

Odwołanie się do moralności podziałało na Beanie jak kubeł zimnej wody. Poza tym przypomniała sobie, że stoję obok i słucham tego rodzinnego prania brudów.

– Dziękuję za uratowanie wuja Joego C. – powiedziała Beanie bardziej oficjalnie. – Policja powiedziała mi, że widziałaś kogoś na podwórku, zanim wybuchł pożar.

– Tak.

– Ale nie rozpoznałaś, kto to był?

– Było ciemno.

– Pewnie jakiś młodociany przestępca. Ta dzisiejsza młodzież zrobi wszystko, wszystko, co tylko zobaczy w telewizji.

Wzruszyłam ramionami. Beanie zawsze ograniczała moje wypowiedzi do gestów i monosylab.

– Ale wydaje mi się dziwne, że to przez papierosy – powiedziała Beanie i wyglądało to jak rozmowa z prawdziwym człowiekiem, ze mną, a nie ze służącą.

Wiedziałam o tym od Bobo, ale miałam przeczucie, że ujawnianie tej wiedzy nie będzie zbyt mądre.

– Ogień podłożono za pomocą papierosów? – Takie pytanie było wystarczająco ogólne i niewiele mówiło.

– Joe C. twierdzi, że nie miał papierosów. Oczywiście straż sądzi, że sam zaproszył ogień, paląc w salonie. Ale Joe C. zaprzecza. Chciałabyś wejść i z nim porozmawiać?

– Tylko żeby sprawdzić, jak się miewa.

– Bobo, zaprowadzisz, proszę, Lily.

Być może miało to być pytanie, ale oczywiście zabrzmiało jak rozkaz.

– Lily – powiedział Bobo, przytrzymując szerokie drzwi do pokoju Joego C. Gdy go mijalam, na moment położył rękę na moim ramieniu, ale nie zatrzymałam się i patrzyłam przed siebie.

Joe C. wyglądał, jakby miał tysiąc lat. Wyparowała z niego cała żywotność i wyglądał na biednego staruszka. Do chwili gdy spojrzał na mnie i warknął: – Mogłaś się szybciej ruszać, dziewczyno! Przypaliłem sobie kapcie!

Nie brałam tego wcześniej pod uwagę, ale teraz uświadomiłam sobie, że skoro Joe C. nie ma już domu, nie pracuję dla niego. Czułam, jak zaciskają mi się usta. Pochyliłam się nad nim.

– Może powinnam była iść dalej – powiedziałam bardzo łagodnie, ale usłyszał każde słowo. Widziałam to na jego twarzy.

Odwróciłam się. Chciał tego, o czym świadczyło drżenie jego szczęki. Nieważne, jak wredny był Joe C., był także bardzo stary i słaby i nie dałby mi o tym zapomnieć, grałby tą kartą tak długo, jakby mógł. Ale mogłam odejść i to właśnie zdecydowałam się zrobić.

Odeszłam od tego staruszka i jego prawnuka, zamykając przed nimi swoje serce.

ROZDZIAŁ 10

Bylaam zdegustowana światem i ludźmi, którzy go zamieszkiwali, a w szczególności sobą. Zrobiłam coś, czego nie robiłam od lat. Poszłam do domu i położyłam się spać, nie jedząc kolacji i nie biorąc prysznica. Po prostu rozebrałam się, włożyłam koszulę nocną i przykryłam się czystą pościelą.

Następne, co pamiętam, to błyszczące cyfry na elektronicznym budziku przy łóżku. Było siedem po trzeciej. Nie wiedziałam, czemu nie śpię.

Zaraz po tym zorientowałam się, że ktoś jest w moim pokoju. Serce zaczęło mi mocno walić, ale pomiędzy uderzeniami usłyszałam, jak ktoś się rozbiera, rozpina torbę i zrozumiałam, że nie atakuję intruza, bo podświadomie już rozpoznałam osobę, która była w mojej sypialni.

– Jack?

– Lily – powiedział i wśliznął się pod kołdrę. – Przyleciałem wcześniej.

Moje serce biło wolniej, zbliżając się do rytmu, który miał dużo wspólnego z ekscytacją innego rodzaju.

Jego zapach, jego skóra, włosy, dezodorant, woda kolońska i ubrania, połączenie zapachów, które utożsamiałam z Jackiem, wypełniły moje zmysły. Miałam zamiar przed jego przyjazdem do Shakespeare porozmawiać z nim i powiedzieć mu, że – na swój sposób – go zdradziłam, żeby mógł podjąć decyzję, czy mnie porzucić, bez konieczności spotkania się ze mną. Ale w tej intymnej ciemności mojej sypialni i ze względu na to, że Jack był mi potrzebny do życia jak woda, sięgnęłam za jego głowę, i niezdarnie, bo byłam zaspana, ściągnęłam gumkę, która utrzymywała jego włosy w kucyku. Przeczesałam palcami te ciemne gęste włosy.

– Jack – nawet ja słyszałam smutek w głosie – muszę ci coś powiedzieć.

– Nie teraz, dobrze? – wymamrotał mi do ucha. – Pozwól mi... pozwól... dobrze?

Jego ręce pracowały sprawnie. To, co zaraz powiem, było prawdziwe i dla mnie, i dla niego: w łóżku rzucaliśmy na siebie czar. Nasze pogmatwane przeszłości i niepewne przyszłe losy nie przeszkadzały w sypialni.

Później, w ciemnościach, moje palce wędrowały po dobrze mi znanych mięśniach, skórze, kościach. Podobnie jak ja, Jack jest silny i poraniony, ale jego blizna jest cały czas widoczna: pojedyncza cienka linia biegnąca od linii włosów obok prawego oka aż do szczęki. Jack pracował kiedyś jako policjant, miał żonę, pił i palił zbyt dużo i zbyt często.

Spytałam go, jak rozwija się sprawa, nad którą teraz pracuje, i przez którą musiał pojechać do Kalifornii. Pomyślałam, że zapytam, jak miewają się jego przyjaciele Roy Costimiglia i Elizabeth Fry (też prywatni detektywi z Little Rock). Ale tak naprawdę liczyło się jedynie to, że Jack był tu ze mną.

Zasnęłam, a Jack oddychał głęboko i miarowo u mojego boku. O ósmej obudził mnie zapach kawy dochodzący z kuchni. Zobaczyłam, że Jack wyszedł z łazienki, ubrany tylko w niebieskie dżinsy. Miał mokre włosy, które spływały mu na ramiona. Przed chwilą się ogolił.

Obserwowałam go, nie myśląc, tylko czując. Cieszyła mnie jego obecność w moim domu, dobrze się czułam z ciepłem w sercu. Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się.

– Kocham cię – powiedziałam bez wcześniejszego zastanowienia, jakby dźwięk tych słów był tak naturalny jak oddychanie.

Trzymałam je w sobie jak sekretny kod, nie chcąc ich ujawnić nikomu, nawet Jackowi, który go wynalazł.

– Kochamy się z wzajemnością – odpowiedział. Już się nie uśmiechał, ale jego mina była lepsza niż uśmiech. – Musimy spędzać ze sobą więcej

czasu.

Ta rozmowa musiała być przeprowadzona w ubraniu. Jack wyglądał, jakby był tak czysty, że za chwilę miał zaśnić, więc poczułam się zapuszczona i wygnieciona w porównaniu z nim.

– Wezmę prysznic. Pogadamy – powiedziałam. Skinął głową i poszedł korytarzem do kuchni.

– Chcesz naleśniki? – zawołał, jakby ziemia nie zaczęła przed chwilą krążyć po innej orbicie.

– Chyba tak – odpowiedziałam niepewnie.

– Wyluzuj – poradził mi, gdy weszłam do łazienki. – Niecodziennie zbierzemy się na tyle odwagi, by porozmawiać o uczuciach.

Uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lustrze w łazience. Nadal było zaparowane po tym, jak Jack brał prysznic. Zobaczyłam w nim łagodniejszą, bardziej miękką wersję samej siebie. A ponieważ zawiesiłam je na odpowiedniej wysokości, większość blizn była niewidoczna. Weszło mi w nawyk niezauważanie ich, unikanie patrzenia na nie i niemyślenie o tym, jak moje ciało by bez nich wyglądało. Nie pamiętałam dokładnie, jak wyglądałam bez białych wypukłości, jak wyglądały piersi bez wyciętych wokół nich okręgów. Od czasu do czasu przyłapywałam się na tym, że żałuję, iż nie mogę zaoferować Jackowi niczego piękniejszego, ale zwykle przypominałam sobie, że sprawiał wrażenie, iż wystarczająco mu się podobam.

Gdy usiedliśmy za stołem, patrzyliśmy na siebie uważnie. Jack otworzył wcześniej okno w kuchni i chłodne poranne powietrze przyniosło zapachy, które oznaczały wiosnę. Usłyszałam, jak ktoś odpala silnik, i zerknęłam na zegar. Carlton wybierał się na zajęcia w szkółce niedzielnej dla samotnych w Pierwszym Kościele Metodystów i wróci do domu kwadrans po dwunastej, zaraz po kościele. Przebierze się i pojedzie do matki na

niedzielny obiad: duszone mięso, marchewki i tłuczone ziemniaki lub pieczony kurczak z sosem i słodkimi ziemniakami. Wiedziałam o tym, bo spędziłam ostatnie cztery lata, ucząc się tego miasteczka i jego mieszkańców, próbując stworzyć tu miejsce dla siebie.

Jeszcze zanim zaczęliśmy rozmawiać, wiedziałam, że nie jestem gotowa, by stąd wyjechać. To prawda, nie miałam w Shakespeare żadnej rodziny. Równie dobrze mogłam sprzątać domy w Dubuque (czy Little Rock). I to prawda, moja firma bardzo ucierpiała w ciągu ostatniego roku. Ale wygrałam w Shakespeare parę bitew i chciałam tu zostać, przynajmniej na razie. Zaczęłam się spinać w oczekiwaniu na walkę.

– Nie muszę mieszkać w Little Rock – powiedział Jack. Napięcie ustąpiło, jakby wbił we mnie szpilkę.

– I tak większość czasu pracuję przy komputerze – ciągnął, wpatrując się we mnie. – Oczywiście nadal musiałbym spędzać część czasu w Little Rock. Mogę wynajmować dalej swoje mieszkanie albo znaleźć mniejsze i tańsze. Miałoby to więcej sensu.

Byliśmy bardzo ostrożni w stosunku do siebie.

– Czyli chcesz zamieszkać ze mną w Shakespeare – zapytałam, żeby upewnić się, że dobrze rozumiem.

– Tak. Co o tym sądzisz?

Pomyślałam o tym, co zrobiłam wczoraj. Zamknęłam oczy i marzyłam, żeby walnął we mnie teraz piorun, żebym nie musiała nigdy mówić o tym Jackowi. Ale tak się nie stało, a zawsze byliśmy ze sobą szczerzy.

– Całowałam się z kimś – przyznałam. – Nie pozwolę ci mnie uderzyć, ale możesz coś rozbić, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej.

– Całowałeś się z kimś – powtórzył. Nie mogłam mu spojrzeć w twarz. To była taka popogrzebowa gorączka.

– I nie poszłaś do łóżka z...?

– Nie.

Czy naprawdę musiałam mówić dalej? Czy nie byłam wystarczająco szczerą? Uznałam, że tak.

Ukradkiem zerknęłam na Jacka. Widziałam napięcie na jego twarzy. Zamiast w coś walnąć, wyglądał, jakby to jego ktoś uderzył. Trzymał się kurczowo krawędzi stołu.

– Czy ten ktoś... Czy to się powtórzy? – zapytał w końcu szorstkim głosem.

– Nie – odpowiedziałam. – Nigdy. Stopniowo rozluźnił uścisk. Stopniowo jego twarz przybierała ludzki wygląd.

– Ile masz lat, Lily? – zapytał zniecierpliwiony.

– Trzydzieści jeden. Wkrótce trzydzieści dwa.

– Ja mam trzydzieści sześć – wziął głęboki oddech. – Oboje sporo przeszliśmy.

Skinęłam głową. Nasze nazwiska nadal od czasu do czasu pojawiały się w gazetach (*Po brutalnym zbiorowym gwałcie przypominającym ten, którego dokonano na mieszkance Memphis, Lily Bard, mieszkanka Pine Bluff została przyjęta do Kliniki Uniwersyteckiej... lub Dziś tajny agent Lonny Todd został zwolniony z policji w Memphis po przedstawieniu mu zarzutów utrzymywania nieodpowiednich relacji z informatorką. Dymisja Todda jest ostatnią z serii podobnych zwolnień, które rozpoczęły się cztery lata temu zwolnieniem oficera Jacka Leedsa, którego związek z żoną współpracownika doprowadził do jej zamordowania*).

– To najlepsze, co mi się kiedykolwiek przytrafiło – powiedział Jack. Zbladł jak ściana, ale nie przerywał. – Tobie przydarzył się... – Zaciął się w tym momencie, zabrakło mu słowa.

– Przydarzył mi się moment bezgranicznej głupoty.

– Tak. – Uśmiechnął się, ale nie był rozbawiony. – Przydarzyło ci się coś głupiego. Ale to się nie powtórzy, bo obiecałaś, że tak będzie, a zawsze dotrzymujesz słowa.

Nie uważałam się za uosobienie honoru, ale prawdą było, że dotrzymywałam danego słowa. Staralam się nie być zaskoczona spokojem i zrównoważeniem Jacka.

Chyba na coś czekał.

– Powiedziałam, że to już się nie zdarzy, a zawsze dotrzymuję słowa – powtórzyłam.

Jack nieco się rozluźnił. Otrząsnął się, wziął do ręki widelec i zaczął jeść naleśnik.

– Tylko nie mów mi nigdy, kto to był – powiedział, nie patrząc na mnie.

– Robisz się coraz mądrzejszy. Jack miał problem z trzymaniem nerwów na wodzy.

– Zajęło mi to trochę. – Tym razem naprawdę się uśmiechał. – Nie odpowiedziałaś mi.

Wzięłam głęboki oddech.

– Tak, chcę, żebyś się wprowadził. Myślisz, że jest tu wystarczająco dużo miejsca?

– Czy mógłbym urządzić sobie biuro w pokoju do ćwiczeń?

Byłam zdumiona, jak łatwo dało się to ustalić. Przytaknęłam. Powieszę wózek do ćwiczeń w pokoju gościnnym. Mogę przeżyć bez tego. Mogę ćwiczyć na tarczach treningowych w sali do aerobiku w Body Time.

Spróbowałam sobie wyobrazić dzielenie z Jackiem łazienki. Była bardzo mała, a blat praktycznie nie istniał. Zastanawiałam się, co zrobić z meblami. I jak podzielimy się rachunkami.

Właśnie bardzo sobie skomplikowaliśmy życie i bałam się zmian. Trzeba było ustalić jeszcze wiele drobiazgów.

– Nie wyglądasz na szczególnie zadowoloną. – Jack obserwował mnie zza stołu.

– Ależ jestem. – Uśmiechnęłam się, a on znów tępo się we mnie wpatrywał. – Boję się – przyznałam. – A ty, choć trochę?

– Tak – wyznał. – Minęło już trochę czasu.

– Przynajmniej jedno z nas ma jakieś doświadczenie. Ja nigdy przez to nie przechodziłam.

Jack wziął głęboki oddech.

– Czy nie wolałabyś wziąć ślubu? – zapytał, a każdy jego mięsień był napięty. – To mogłoby być dobre, co?

Teraz ja musiałam wziąć głęboki oddech, gdy szukałam właściwych słów, by wyrazić, co czułam. Nienawidzę się tłumaczyć, a tylko fakt, że po prostu nie mogłam urazić Jacka, zmusił mnie do przechodzenia przez tę mękę.

– Gdyby nie wzgląd na innych ludzi, wyszłabym za ciebie choćby dziś – powiedziałam powoli. – Wiesz, jak ucieszyliby się dziennikarze, gdyby się o tym dowiedzieli? Jak ludzie poklepywaliby nas po plecach i nam gratulowali? „Te dwie nieszczęsne dusze, jakie to szczęście, że na siebie trafili”.

Jack wyglądał, jakby był bliski załamania, więc pospieszyłam z resztą wyjaśnień.

– Ale to nie może być powodem, żebyśmy zrezygnowali ze szczęścia, które jest w zasięgu ręki. Wiesz, czego pragnę? Chciałabym wziąć z tobą ślub i nikomu o tym nie powiedzieć. Przynajmniej do momentu, gdy ta wiadomość nie będzie już najświeższa.

Jack nie wiedział, czy powiedziałam tak, czy nie. Próbował zrozumieć. Mogłam to wyczytać z tego, jak się pochylił w moim kierunku i patrzył na mnie.

– Zrobilibyśmy to tylko dla siebie – powiedziałam, pewna, że nie udało mi się przekazać tego, co starałam się powiedzieć. Zawsze byłam samotnikiem.

– Czyli chciałybyś ślubu?

– Tak – powiedziałam, zdziwiona swoją reakcją. – Tego bym chciała.

– I utrzymać to w sekrecie?

– Przez jakiś czas. Chciałabym do tego przywyknąć, zanim powiemy innym.

– Teraz?

– Nie. Kiedyś. Ale w gazecie zamieszczają nazwiska osób, które wzięły ślub. Jak moglibyśmy to obejść? Pod warunkiem że ty...

Byłam zaniepokojona, gdy czekałam na to, co powie.

– Tak – powiedział powoli. – Też tego chcę. – Jednak wyglądał na trochę zaskoczonego tym odkryciem. Położył rękę na mojej dłoni, leżącej na stole. – Wkrótce.

Próbowałam sobie wyobrazić, że Jack nie czuł do mnie tego, co ja do niego. Próbowałam wyobrazić sobie, jak Jack za miesiąc czy dwa znudzi się mną i wybierze jakąś kobietę w Little Rock, która będzie łatwiejsza w obsłudze i mniej drażliwa. Chciałam zobaczyć siebie w tej sytuacji, odrzuconą, pogrążoną w bólu.

Ale nie potrafiłam.

Nie liczyłam na wiele w życiu, ale liczyłam na miłość Jacka. Mimo że wyznał mi miłość dopiero dziś rano, wiedziałam, że mnie kocha, i byłam tego stuprocentowo pewna.

Nie miałam zamiaru skakać z radości ani jechać do domu, by powiedzieć matce, że musimy wybrać zastawę stołową i zarezerwować kościół. Czas, kiedy mogłam tak zareagować, już minął. Teraz, gdy był ze mną Jack,

miałam wszystko, czego potrzebowałam. Nie potrzebowałam potwierdzać tego gratulacjami i prezentami od innych.

– Cholera – powiedział Jack, szczerząc się jak wariat. Podskoczył i zaczął machać rękami, jakby nie wiedział, co robić. – Cholera!

Poczułam, że promienieję szczęściem, jakbym była stworzona ze światła. Nie wiedziałam, jak to się stało, ale byłam przyklejona od stóp do głów do Jacka, byliśmy objęci i śmialiśmy się jak głupi do sera.

Zawsze była między nami chemia, ale silne emocje, które były w nas teraz, zmieniły nas w wulkany energii.

Świętowaliśmy wyjątkowo mocno.

Po wszystkim w kuchni panował jeszcze większy bałagan. Ponieważ Jack gotował, ja sprzątałam, a on zasłał łóżko. Później, mając wyjątkową perspektywę całego wolnego dnia, postanowiliśmy wybrać się na spacer.

Poranek był idealny, zarówno jeśli chodzi o nasze bycie razem, jak i pogodę. Wiosenny poranek był wystarczająco ciepły, niebo jasne i bezchmurne. Od lat się tak nie czułam, nie zbliżyłam się nawet do takiego stanu. Byłam tak szczęśliwa, że niemal odczuwałam fizyczny ból i byłam śmiertelnie przerażona.

Gdy przeszliśmy parę przecznic, zaczęłam opowiadać Jackowi o Deedrze. Powiedziałam mu o nowej szeryf, jej bracie, o tym, jak Lacey poprosiła mnie o pomoc, o zawstydzających przedmiotach, które znalazłam w mieszkaniu Deedry. O Becce, Janet i pogrzebie, o pożarze w domu Joego C., o testamencie, który przeczytał Bobo, gdy szpiegował w sekretarzyku.

– Joe C. nie zostawia nic Calli? – Jack nie dowierzał. – Mimo że troszczyła się o niego przez piętnaście lat czy ile tam, gdy wymagał opieki?

– Co najmniej przez piętnaście lat. Tak mi powiedziała. Joe C. zapisał dalszym krewnym, wnukom swojego rodzeństwa – Bobo, Amber–Jean, Howellowi trzeciemu, każdemu z dzieciaków Winthropów – po meblu.

Oczywiście po tym wszystkim pewnie tego nie dostaną, choć być może w domu są jeszcze rzeczy, które warto ratować. Nie wiem. A pozostali wskazani w testamencie mają podzielić między siebie środki ze sprzedaży domu.

– A kto to jest?

– Becca i jej brat, Anthony – zaczęłam, próbując przypomnieć sobie, co powiedziała mi Calla kilka tygodni wcześniej – pochodzą od...

– Podaj mi tylko nazwiska, nie genealogię – ostrzegł mnie Jack.

Pamiętałam, że Jack chodził do kościoła, gdy był mały. Wychował się w rodzinie baptystów. Byłam ciekawa, czy mogliśmy rozmawiać o innych rzeczach.

– Dobra. Są jeszcze Sarah, Hardy i Christian Prader, którzy mieszkają w Karolinie Północnej. Nigdy ich nie spotkałam. I Deedra, która już się nie liczy.

– A jak myślisz, ile jest warta działka i dom?

– Słyszałam, że trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Siedemdziesiąt tysięcy dolarów to nie jest suma, którą można by zignorować.

Pomyślałam, co mogłabym zrobić z siedemdziesięcioma tysiącami dolarów.

W gazetach niemal codziennie czytałam o korporacjach, która mają miliony i miliardy dolarów. W wiadomościach telewizyjnych słyszałam o ludziach, którzy są tyle „warci”. Ale dla kogoś takiego jak ja siedemdziesiąt tysięcy dolarów to było bardzo dużo.

Siedemdziesiąt tysięcy. Mogłabym kupić nowy samochód, zaspokoić swoją palącą potrzebę. Nie musiałabym oszczędzać na wszystkim, żeby uciąć na podatek od nieruchomości, abonament w siłowni i ubezpieczenia: medyczne i samochodowe. Gdybym się rozchorowała,

mogłabym pójść do lekarza i od razu wykupić lekarstwa i nie musiałabym przez kilka miesięcy sprzątać za darmo gabinetu Carrie.

Mogłabym kupić Jackowi ładny prezent.

– Co chciałbyś ode mnie dostać, gdybym miała siedemdziesiąt tysięcy dolarów? – zapytałam, co było jak na mnie wyjątkową fanaberią.

Jack zbliżył się i szepnął mi na ucho.

– To możesz dostać prawie za darmo – odpowiedziałam, starając się nie okazać zawstydzenia.

Podeszliśmy do domu Joego C., wskazałam Jackowi przyczernione okna z przodu. Bez słowa podszedł do domu i okrążył go. Dostrzegłam go kilka razy za wysokimi krzakami (tymi, których nie zniszczyli strażacy), jak patrzył w górę, w dół, przyglądając się dokładnie budynkowi. Widziałam, że ma coraz bardziej ponury wyraz twarzy.

– Weszłaś do środka – skomentował, gdy do mnie wrócił.

Stanął obok i patrzył na mnie.

Przytaknęłam, nie skupiając się na nim, bo oceniałam straty. Piętro wyglądało dobrze, przynajmniej z chodnika. Na podwórku było rumowisko, spopielone szczątki różnych przedmiotów. Kiedy wiatr powiał w inną stronę, poczułam znów ten okropny swąd spalenizny.

– Weszłaś do środka – powiedział Jack.

– Tak – powiedziałam z wahaniem.

– Kompletnie ci odbiło? – zapytał cichym, poważnym głosem.

– Dom się palił.

– Nie wchodzi się do budynków, które się palą – powiedział Jack i cała złość, którą powstrzymywał rano, wybuchnęła. – Trzymaj się od nich z daleka.

– Wiedziałam, że w środku był Joe C! – powiedziałam i też się zdenerwowałam. Nie lubię wyjaśniać oczywistych rzeczy. – Nie mogłam

pozwolić mu splonąć.

– Posłuchaj mnie, Lily Bard – powiedział Jack i zaczął iść tak szybko, że ledwo mogłam nadążyć. – Posłuchaj mnie.

Zatrzymał się, odwrócił twarzą do mnie i wymachiwał mi palcem przed nosem. Wbiłam wzrok w ziemię, czułam, że usta mi się zaciskają, a oczy zmieniają w wąskie szparki.

– Kiedy dom się pali, nie wchodzisz do niego – poinformował mnie, z widocznym wysiłkiem nie podnosząc głosu. – Nieważne, kto jest w tym domu... Jeśli jest tam twoja matka; jeśli jest tam twoja siostra. Jeśli ja tam jestem. Nie. Wchodzisz. Do środka.

Wzięłam głęboki oddech i gapiłam się na swoje adidasy – Tak, mój panie – powiedziałam cicho. Wzniósł ręce w górę.

– Dosyć! – oznajmił niebu. – Dosyć! – I odszedł.

Nie miałam zamiaru gonić za nim, bo musiałabym biec, żeby nadążyć. Ruszyłam więc w przeciwnym kierunku.

– Lily! – krzyknęła za mną jakaś kobieta. – Lily, poczekaj!

Mimo że miałam ochotę uciec, zatrzymałam się i odwróciłam.

Becca Whitley goniła mnie, trzymając pod rękę wielkiego faceta z jasnymi kręconymi włosami. W pierwszej chwili pomyślałam, że ten gość powinien dogadać się z zastępcą Emanuelem, stworzyć drużynę i zająć się na poważnie karierą we wrestlingu.

Becca była jak zwykle udekorowana, miała kolczyki ze sztucznymi brylantami i usta obrysowane tak ciemną konturówką, że wyglądała naprawdę wulgarnie. Kiedy miała na sobie te barwy wojenne, zawsze byłam zaskoczona, gdy przypomiinałam sobie, że była tak pełna wdzięku i tak dokładna na zajęciach karate i że całkiem sprawnie zarządzała mieszkaniem. Byłam przekonana, że to oznaczało, iż uległam stereotypom, których nie znosiłam, gdy ktoś używał ich w stosunku do mnie.

– To mój brat, Anthony – powiedziała z dumą Becca.

Spojrzałam na niego. Miał małe łagodne błękitne oczy. Byłam ciekawa, czy oczy Beccy miały taki sam kolor, gdy nie nosiła szkieł kontaktowych. Anthony uśmiechnął się jak dobrotliwy olbrzym. Chciałam pokazać dobre maniery, ale nadal myślałam o Jacku. Podałam rękę bratu Beccy i doceniłam wysiłek, jaki włożył w to, żeby uścisk nie był zbyt mocny.

– Na długo przyjechałeś, Anthony? – zapytałam.

– Na tydzień lub coś koło tego – powiedział. – Później być może wybierzemy się z Beccą na wycieczkę. Od lat nie widzieliśmy niektórych naszych krewnych ze strony ojca.

– Czym się zajmujesz? – Staralam się okazać uprzejme zainteresowanie.

– Jestem doradcą w więzieniu w Teksasie – odpowiedział, szczerząc białe zęby w szerokim uśmiechu. Wiedział, że zareaguję na jego słowa.

– Trudna praca – powiedziałam.

– Trudni ludzie – odpowiedział, kręcąc głową. – Ale zasługują na drugą szansę po tym, jak odsiedzą wyrok. Mam nadzieję, że wypuszczę ich na wolność w lepszym stanie, niż byli, gdy trafili do więzienia.

– Nie wierzę w resocjalizację – powiedziałam bez ogródek.

– Ale spójrz na tego chłopca, którego niedawno aresztowano – powiedział rozważnie. – Tego, który w zeszłym roku uszkodził samochód Deedry. Znowu trafił do więzienia. Nie sądzisz, że osiemnastolatkowi przydałaby się każda pomoc, jaką może otrzymać?

Spojrzałam na Beccę, oczekując oświecenia.

– Ten chłopak, który pracuje w składzie budowlanym – wyjaśniła. – Szeryf rozpoznała jego głos. To on odpowiadał za te świńskie telefony do Deedry. Deedra zachowała nagrania z automatycznej sekretarki. Taśmy były w szufladzie jej nocnego stolika.

Czyli Deedra poważnie potraktowała te telefony. A osoba, która do niej wydzwaniała, to nikt, mężczyzna, o którym wszyscy myśleli jako o nieszkodliwym dzieciaku.

– Widzisz, ile się nauczył w więzieniu? – powiedziałam do Anthony’ego Whitleya.

Anthony chyba rozważał próbę przekonania mnie, że uratowanie chłopca poprzez rozmowy było warte poświęconego mu czasu, ale porzucił starania, zanim zaczął. Mądrze.

– Chciałem ci podziękować za uratowanie naszego pradziadka – powiedział sztywno po krępującej przerwie. – Becca i ja wiele ci zawdzięczamy.

Machnęłam ręką. Nie ma za co. Zerknęłam przed siebie, zastanawiając się, jak daleko dotarł Jack.

– Och, Lily, powinnaś wpaść do mnie później, muszę z tobą o czymś porozmawiać – powiedziała Becca, więc chyba wyglądałam, jakbym chciała odejść.

Wymamrotałam słowa pożegnania, odwróciłam się – może mimo wszystko pójdę za Jackiem – wyrzucając oboje Whitleyów i z oczu, i z serca.

Jack zawrócił. Spotkaliśmy się pośrodku następnej przecznicy. Przywitaliśmy się szorstko, skinieniem głowy. Nie będziemy kłócić się o to samo. Zamknęliśmy ten temat.

– Kto to był? – zapytał, spoglądając za mnie. Odwróciłam się.

– Becca Whitley, znasz ją. I jej brat Anthony. Właśnie go poznałam. Duży facet.

– Hmm. Brat?

– Tak, Anthony. Brat.

Jack objął mnie ramieniem i ruszyliśmy w drogę, jakby nie był na mnie wcześniej zły.

– Nie są zbyt podobni – powiedział po chwili.

– Nie, nie za bardzo – zgodziłam się, rozmyślając, czy czegoś nie przegapiłam. – A ty jesteś podobny do siostry?

– Nie, wcale – powiedział Jack. – Ma bardziej zaróżowioną cerę i jaśniejsze włosy.

Po drodze do domu nie mówiliśmy zbyt wiele. To, że się kochaliśmy, było chyba w tym momencie wystarczającym tematem do przemyśleń. Jack postanowił popracować w Body Time nad mięśniami brzucha, ale ja byłam okropnie obolała po wyciągnięciu Joego C. przez okno sypialni.

– Mogę zacząć robić pranie, jeśli chcesz iść.

– Nie musisz tego robić – zaprotestował.

– Nie ma problemu.

Wiedziałam, że Jack nie znosi robić prania.

– Zrobię kolację – zaoferował.

– Okej, pod warunkiem że nie podasz czerwonego mięsa.

– *Fajitas* z kurczaka?

– Dobrze.

– W takim razie w drodze do domu wstąpię do Superette.

Gdy Jack odjechał, pomyślałam, że ta krótka wymiana zdań była bardzo domowa. Nie uśmiechnęłam się, ale miałam tę myśl w zanadrzu, gdy otwierałam walizkę Jacka, która tak naprawdę była uwielbianą przez niego dużą torbą. Jack nie sprawiał wrażenia pedanta, ale taki był. W torbie miał ciasno ułożone ubrania na kilka dni i wszystkie należało uprać. W bocznych kieszeniach zabijacze czasu: krzyżówki, thriller w miękkiej okładce i program telewizyjny.

Zawsze gdy podróżował, zabierał ze sobą egzemplarz, bo oszczędzało mu to trochę nerwów. Program na ten tydzień był nowy i gładki, ten z zeszłego tygodnia – pognieciony i z oślimi uszami.

Już miałam wyrzucić ten nieaktualny, gdy uświadomiłam sobie, że było to to samo wydanie, które zniknęło ze stolika Deedry. Przekartkowałam gazetę, jakby mogła mi coś wyjaśnić. Znów byłam bliska wyrzucenia jej do śmieci, ale zmieniłam zdanie i położyłam pisemko na stole kuchennym. Miało mi przypomnieć, żebym opowiedziała Jackowi dziwną historyjkę o jedynej rzeczy, której brakowało w mieszkaniu Deedry.

Gdy sortowałam ubrania Jacka, moje myśli przewędrowały z mieszkania Deedry do Beccy. Chciała ze mną porozmawiać. Spojrzałam na zegarek. Jack nie wróci do domu jeszcze przynajmniej przez godzinę. Załadowałam do pralki jego dżinsy i koszule. Zamknęłam drzwi, a klucze włożyłam do kieszeni. Ruszyłam w kierunku Apartamentów Ogrodowych. Przeszłam przez parking z ponumerowanymi miejscami – jednym na każde mieszkanie – do tylnego wejścia do budynku. Było piękne niedzielne popołudnie, dwa mieszkania były tymczasowo niezamieszkane, więc na zewnątrz stały tylko dwa auta, zaparkowane pod wiatą: niebieski dodge Beccy i nowy pikap Claude’a.

Spojrzałam na puste miejsce postojowe należące do Deedry i coś mi przyszło do głowy. Nie lubię nierozwiązanych zagadek. Weszłam do otwartej drewnianej budowli – tak naprawdę przypominającej szopę – i zaczęłam przyglądać się przedmiotom zawieszonym na gwoździach, które wbite w niewykończone ściany. Któryś z dawnych lokatorów powiesił tu narzędzia. Deedra zostawiła parasolkę, na półce stał pojemnik z płynem do spryskiwaczy, szmatka do wskaźnika poziomu oleju, skrobaczka do lodu i płyn do czyszczenia szyb. Zdjęłam z gwoźdźcia parasolkę, odwróciłam ją i

nie wypadło z niej... nic. W miejscu, gdzie zawsze Deedra zostawiała zapasowy klucz, już go nie było.

Wydało mi się to jeszcze dziwniejsze niż to, że z miejsca zbrodni zniknęła torebka Deedry. Jej zabójca wiedział o niej nawet to, znał jej małą tajemnicę, wiedział, gdzie trzymała zapasowy klucz. Mógł być teraz w posiadaniu dwóch kluczy do mieszkania Deedry, w tym jednego pochodzącego z jej torebki, pozostałych rzeczy, które się w niej znajdowały, oraz programu telewizyjnego.

Nie mogłam nic zrobić w sprawie zaginionego klucza. Następnym razem, gdy spotkam się z szeryf, powiem jej o kluczu, którego brakowało w skrytce. Wzruszyłam ramionami.

Podeszłam do tylnego wejścia i weszłam do budynku. Mieszkanie Beccy było z tyłu po lewej stronie. Claude Friedrich mieszkał obok, z przodu. Claude i Carrie mieli wrócić ze swojej małej podróży poślubnej dziś wieczorem i przypuszczałam, że zamieszkają na stałe w domu Carrie. Będą wtedy trzy puste mieszkania. Miałam nadzieję, że Becca będzie zbyt zajęta, by wysprzątać je przed wprowadzeniem się następnych lokatorów. Przydałaby mi się dodatkowa kasa.

Zastukałam do drzwi Beccy. Otworzyła mi prawie natychmiast, jakby czekała za nimi. Była zaskoczona.

– Powiedziałaś, że chcesz ze mną porozmawiać – odpowiedziałam.

– O, tak, powiedziałam! Nie sądziłam jednak... Nieważne. Dobrze cię widzieć. – Przesunęła się, żeby wpuścić mnie do środka.

Próbowałam sobie przypomnieć, czy byłam wcześniej w jej mieszkaniu. Nie zmieniła w nim wiele od czasów wuja Pardona. Przetawiła tylko meble, wstawiła stoliczek czy dwa i kupiła nowy telewizor (ten należący do Pardona był stary i mały).

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dzięki.

Becca kazała mi usiąść, więc przycupnęłam na brzegu kanapy. Nie chciałam zostawać długo.

– Anthony pojechał do myjni – powiedziała. – Gdy zapukałaś, byłam pewna, że to on.

Czekałam, aż przejdzie do sedna.

– Jeśli Anthony i ja wybierzemy się na tę wycieczkę, którą planuje – zaczęła – czy chciałabyś się zaopiekować mieszkaniami podczas mojej nieobecności?

– A możesz mi powiedzieć, co to dokładnie oznacza?

Przez chwilę wyjaśniała, podała więcej szczegółów, pokazała listę fachowców, których miała na podorędziu, jeśli potrzebne były jakieś naprawy w budynku, opowiedziała, jak zdeponować czeki za czynsz. Becca pod warstwą makijażu skrywała sporo zdrowego rozsądku i potrafiła przystępnie wszystko wyjaśnić.

Dodatkowe pieniądze byłyby mile widziane i potrzebowałam tej pracy, choćby po to, by się pokazać potencjalnym pracodawcom. Kiedyś sprzątałam cztery z ośmiu mieszkań w tym budynku, ale to było parę lat temu. Pardon czasem płacił mi za sprzątnięcie wspólnych części budynku. Powiedziałam Becce, że się tym zajmę – wyglądała na zadowoloną. Chyba jej ulżyło.

Zaczęłam się zbierać do wyjścia. Zanim Becca rozpoczęła uprzejme pożegnanie, na chwilę zapadła cisza i wtedy usłyszałam hałas dobiegający z góry.

Z mieszkania Deedry.

– No to, Lily... – zaczęła Becca. Podniosłam rękę. Natychmiast przestała mówić, co mi się spodobało, i bezgłośnie zapytała: „Co?”. Wskazałam na sufit.

Gapiliśmy się w górę, jakbyśmy miały rentgen w oczach i mogli zobaczyć, co się działo nad nami.

Znów usłyszałam hałas w mieszkaniu zmarłej kobiety. Poczułam ciarki na plecach.

– Lacey tam jest? – wyszeptałam, starając się wyłapać wszelkie odgłosy.

Stałyśmy z Beccą jak posągi, ale takie, których głowy lekko się obracały, żeby jak najlepiej słyszeć.

Becca potrząsnęła głową, a wstążka, która okrywała gumkę związującą jej włosy, zaszeleściła na ramionach.

Wskazałam głową w kierunku drzwi i spojrzałam na nią pytająco.

Skinęła głową i podeszłyśmy do drzwi.

– Policja? – zapytałam najciszej, jak umiałam. Pokręciła głową.

– Może rodzina – wyszeptała, wzruszając ramionami.

Nikt nie potrafił skradać się po schodach jak my. Wystarczająco dobrze znałyśmy budynek i wiedziałyśmy, gdzie skrzypiała podłoga, a gdzie nie. Byłyśmy pod drzwiami Deedry, zanim się na to przygotowałam.

Jedyną broń, jaką dysponowałyśmy, stanowiły nasze ręce, a osoba w środku mogła być uzbrojona. Ale budynek był własnością Beccy i wydawała się zdecydowana na natychmiastową konfrontację z intruzem. Obie czułyśmy się komfortowo w tej sytuacji. Wykonałam wymach ramionami, żeby je trochę rozluźnić.

Becca zapukała do drzwi.

Ruch w mieszkaniu zamarł. W powietrzu zawisła cisza, gdy we dwie, wstrzymując oddech, czekałyśmy, co zrobi intruz.

Cisza trwała zbyt długo jak na gust Beccy, więc zapukała do drzwi raz jeszcze, z większym zniecierpliwieniem.

– Wiemy, że tam jesteś. Nie wydostaniesz się inną drogą.

Mówiła prawdę, stanowiło to zresztą zagrożenie w razie pożaru. Pamiętam, że przez jakiś czas Pardon rozdawał mieszkańcom piętra sznurowe drabiny, ale zniechęcił się, gdy wszyscy zabierali je ze sobą przy wyprowadzce. Od tamtej pory wynajmujący mieszkania na piętrze musieliby sobie radzić sami, gdyby wybuchł pożar. Przypomniałam sobie o tych drabinach, gdy znów zaległa cisza.

Jeszcze głębsza cisza.

– Nie odejdziemy stąd – oznajmiła spokojnie Becca. Podziwiałam jej pewność siebie. – Dobra, Lily – powiedziała głośniej. – Dzwon na policję.

Drzwi otworzyły się, jakby były zamontowane na sprężynach.

– Nie dzwońcie do mojej siostry – poprosił Marlon Schuster.

Spojrzałyśmy na siebie z Beccą równocześnie. Jeśli miałam taką minę jak ona, wyglądałyśmy dość głupio. Jasnoniebieskie oczy Beccy prawie wylazły z orbit ze zdziwienia i rozczarowania. Złapać brata szeryf w takiej sytuacji, w mieszkaniu zamordowanej... Oto, do czego doprowadziła nasza brawura. Nikt, absolutnie nikt by nam za to nie podziękował.

– O cholera – powiedziała zde gustowana Becca. – Chodźcie do mnie.

Jak zbity szczeniak Marlon przemknął do jej mieszkania, wyglądał na mniejszego niż zazwyczaj. Włosy miał krótko przystrzyżone, chyba na pogrzeb. Mogłam mu się teraz dokładniej przyjrzeć i zobaczyłam, że był młodym człowiekiem o drobnej, delikatnej budowie. Wątpię, czy podniósłby trzydzieści cztery kilogramy. Miałam wcześniej nadzieję, że schwytemy mordercę Deedry, ale teraz nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Choć nikt mu nie kazał, Marlon opadł na krzesło wciśnięte naprzeciw kanapy. Stanęłyśmy z Beccą przed nim, a Becca kazała mu się tłumaczyć.

Marlon wpatrywał się w swoje dłonie, jakby miały z nich wyrosnąć odpowiedzi. Był bliski płaczu.

– Jak się dostałeś do środka? – zapytałam, żeby go ośmielić.

– Deedra dała mi klucz – powiedział, a w jego głosie słychać było odrobinę dumy.

– Deedra nie dawała kluczy. Czekałam, jak na to zareaguje.

– Mnie dała. Teraz dumy nie dało się nie zauważyć. Becca zmieniła pozycję.

– Dlaczego więc nie oddałeś go policji? Ja musiałam oddać swój, a jestem właścicielką mieszkania.

– Zatrzymałem klucz, bo dostałem go od niej – odpowiedział po prostu.

Chciałam wyczytać z jego twarzy, czy mówił prawdę. Nie jestem wykrywaczem kłamstw, ale wyglądał, jakby wierzył w to, co mówi. Zauważyłam wcześniej, że z wyglądu bardziej przypominał ojca niż matkę. Ale nikt nie zwracał uwagi na wzrost szeryfa Schustera przez opinię, która głosiła, że najpierw machał pałką, a później zadawał pytania. Jeśli podobna dzikość była w jego synu, tkwiła głęboko ukryta.

– Czyli otworzyłeś drzwi kluczem, który dostałeś od lokatorki – zapytała ostrożnie Becca, jakby rozważała, czy jego wejście było zgodne z prawem.

Marlon z entuzjazmem przytaknął.

– Po co? – spytałam.

Marlon spłonął ciemną i nietwarzową czerwienią.

– Chciałem tylko... – Zamilkł, świadomy, że zdanie, które rozpoczął w ten sposób, nie zabrzmiało przekonująco.

– Chciałeś tylko wziąć...? – podpowiedziała Becca.

Marlon wziął głęboki oddech.

– Film.

– Nakręciliście z Deedrą film?

Starałam się, żeby mój głos brzmiał obojętnie, ale młodzieniec zaczerwienił się jeszcze bardziej. Skinął głową i ukrył twarz w dłoniach.

– No to masz szczęście, bo mam u siebie wszystkie kasety. Przejrzę je i gdy znajdę film, oddam ci go.

Marlon prawie zemdlął z radości. Chwilę później sprawiał wrażenie, jakby jego nastrój uległ gwałtownej poprawie.

– Były też inne rzeczy – powiedział z wahaniem. – Pani Knopp nie powinna ich oglądać.

– Zajęłam się tym – odpowiedziałam.

Wzrok Beccy wędrował między mną a chłopakiem. Pochłaniała informacje.

– Panno Bard, pani ją znalazła – powiedział Marlon. Wpatrywał się we mnie z utęsknieniem, jakby chciał otworzyć moją głowę i zobaczyć w niej obrazki. – Co jej się stało? Marta nie pozwoliła mi zobaczyć.

– Dobrze zrobiła. Jeśli obchodziła cię Deedra, nie chciałbyś oglądać jej w takim stanie.

– Jak wyglądała? – zapytał błagalnie. Poczułam się nieswojo. Starłam się patrzeć mu prosto w oczy, żeby mi uwierzył.

– Była w samochodzie, naga, nie było widać żadnych ran – powiedziałam ostrożnie. – Siedziała.

– Nie rozumiem.

Co tu było do rozumienia? Najprostszym wyjaśnieniem tej sceny było najprawdopodobniej to prawdziwe, bez względu na to, jak trudno było je zaakceptować. Deedra miała o jednego faceta za dużo. Ten mężczyzna zwabił ją do lasu, zezłościł się na nią albo po prostu uznał, że była niepotrzebna, i zabił ją.

– Czy została zgwałcona? – zapytał.

– To nie ja się zajmuję przeprowadzaniem sekcji – powiedziałam, a mój głos zabrzmiał twardo i nerwowo.

Deedra tak szybko zgadzała się na seks, że trudno było teoretyzować, czy została zgwałcona, jeśli nie było widać wielu obrażeń. Być może butelka zasłaniała inne urazy? Może pokazywała, że mężczyzna nie był w stanie?

A może był to wyraz pogardy.

Becca powiedziała mi uprzejmie: – Marlon, wiesz, że Deedra miała wielu przyjaciół. – Ton jej głosu jednoznacznie wskazywał, jakiego rodzaju przyjaciół miała Deedra.

– Tak, wiem. Ale to się zmieniło, powiedziała mi o tym. Dzięki mnie. Bo mnie naprawdę kochała, a ja naprawdę kochałem ją.

Wierzyłam w to tak samo jak w to, że Becca naprawdę była blondynką. Ale każdy miał prawo do iluzji... No, może poza mną. Poczułam się, jakbym miała milion lat. Westchnęłam i pokiwałam głową.

– Oczywiście.

– Musicie mi uwierzyć. – Nagle się ożywił. Wyprostował się na krześle, jego oczy błyszczały i po raz pierwszy zobaczyłam to, co widziała Deedra – namiętność, która czyniła z niego przystojnego i pociągającego chłopca.

– Powiedziała mi o tym – rzuciła Becca. Oboje się w nią wpatrywaliśmy. Becca wyglądała całkiem spokojnie i kontynuowała rzeczowo.

– Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Deedra, powiedziała, że wreszcie poznała kogoś, kto ją naprawdę obchodził, kogoś, kogo była w stanie pokochać.

Twarz Marlona jaśniała z powodu ulgi i dumy. Zobaczyłam swoją szansę i wyciągnęłam rękę. Bez zastanowienia oddał mi klucz. Ukryłam go, a on nie zaprotestował.

Kilka minut później wyszedł z mieszkania dużo szczęśliwszy niż w chwili, gdy do niego wchodził. Powiedziałyśmy, żeby nie martwił się o film, który nakręcili z Deedra, zabrałyśmy mu klucz, więc nie miał już

wyrzutów sumienia, a ego zostało mile polechtane tym, że jego ukochana też go kochała, na tyle, by zmienić dla niego swoje życie.

Kto nie czułby się dobrze?

– Zmyśliłaś to wszystko? – zapytałam, gdy za Marlonem zamknęły się drzwi.

– Większość – przyznała. – Gdy ostatni raz rozmawiałam z Deedrą, znów narzekała na podwyżkę czynszu. Ale kiedy wspomniałam, że często widuję tu Marlona, powiedziała, że zdecydowała się spróbować przez jakiś czas monogamii.

– Nie sądziłam, że zna to słowo – powiedziałam w roztargnieniu.

– No dobra, może nie użyła słowa „monogamia”, ale o to jej chodziło.

– Kiedy z nią rozmawiałaś?

– Wiem dokładnie kiedy, bo policja mnie o to pytała. To było w sobotę po południu. Wracałyśmy o tej samej porze z zakupów.

– Kto tu był w weekend?

– O to też mnie pytała policja. Twój przyjaciel komendant policji spędził weekend u narzeczonej. Siostry Bickel wyjechały z miasta, do matki w Fayetteville. – Daisy i Dawn Bickel, bliźniaczki, były młodszymi kierowniczkami: Daisy w miejscowym oddziale sieciówki odzieżowej, a Dawn w fabryce materacy. – Terry Plowright wyjechał na sobotę, na jakiś pokaz monster trucków gdzieś blisko Little Rock. Wrócił o jakiejś pierwszej w nocy i wydaje mi się, że spał prawie całą niedzielę. Mieszka naprzeciwko mnie. To tyle, jeśli chodzi o parter.

Pokiwałam głową.

– Na górze mieszkanie z przodu naprzeciwko Deedry stoi puste. Mieszkanie naprzeciwko klatki schodowej wynajmuje kobieta, która pracuje w WalMartcie. Pracowała przez większość weekendu, jestem

pewna, że w niedzielę i chyba parę godzin w sobotę. Drugie mieszkanie z przodu zajmuje Tick Levinson, a wiesz, jaki on jest.

„Jaki on jest” był alkoholikiem. Tick nadal pojawiał się w pracy w gazecie lokalnej, gdzie był reporterem, ale jeśli nie nastąpi jakaś interwencja, za rok nie będzie już tego robił.

– Kto z nich miał cokolwiek do czynienia z Deedrą?

– No, na pewno Terry. Miał z nią do czynienia dużo i często. Ale nie sądzę, aby któreś z nich brało to na poważnie – powiedziała powoli Becca.

– Terry nie bierze na poważnie niczego poza samochodami, a zwłaszcza ciężarówkami. Lubi być kawalerem. Nie wydaje mi się, aby bliźniaczki Bickel rozmawiały z Deedrą, poza przywitaniem się. Claude... No, wiesz, w sumie to myślę, że Claude odwiedził Deedrę raz czy dwa, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Trudno mnie było bardziej zaskoczyć. Byłam pewna, że widać to na mojej twarzy. Czułam też niesmak.

– Wiesz, jacy są mężczyźni – powiedziała Becca sucho. Wiedziałam, z pewnością.

– Ale z tego, co mówiła Deedra, to było dawno temu, zaraz po tym, jak przeprowadził się do Shakespeare z Little Rock. Zanim wiedział, co jest co. Zaraz po swoim rozwodzie.

Mimo wszystko.

– W każdym razie to nie było nic nowego. A Tick? Nie wydaje mi się, żeby Tick pożądał czegokolwiek poza następną butelką. Zdarzyło ci się widzieć, jak po weekendzie schodzi po schodach w drodze do pracy? To przygnębiające. Gdyby palił, bałabym się, że spłonę we śnie.

Strach był całkiem na miejscu.

– I zanim, podobnie jak policja, mnie o to spytasz: nie widziałam żadnych innych ludzi kręcących się tu w weekend, ale to nie znaczy, że ich

tu nie było. Każdy ma swój klucz do drzwi wejściowych.

Te drzwi były zamykane o dziesiątej wieczorem i potem mieszkańcy musieli otwierać je własnymi kluczami.

– A skoro przy kluczach jesteśmy – powiedziała nagle Becca i podeszła do biurka przy drzwiach. Otworzyła górną szufladę i wyjęła klucz. – To klucz do drzwi wejściowych dla ciebie. Będzie potrzebny, gdy pojedziemy z Anthonym na wycieczkę.

Włożyłam go do kieszeni i wstałam. Wtedy wszedł Anthony. Po torbie poznałam, że był w Stage, tam, gdzie pracowała jedna z bliźniaczek Bickel. Kupił mnóstwo ubrań. Chyba był podekscytowany wycieczką.

– Gdzie jedziecie? – zapytałam, starając się być uprzejma.

– Kto wie! – Becca się zaśmiała. – Możemy pojechać do Meksyku, możemy polecieć na Dominikanę! Jeśli któreś miejsce nam się spodoba, być może tam zostaniemy.

– Sprzedałabyś Apartamenty?

– Możliwe – powiedziała trzeźwo Becca. – Muszę przyznać, Lily, czuję się tu jak ryba bez wody.

To była prawda.

– Becca musi zobaczyć świat – powiedział z dumą Anthony.

Z pewnością byli podekscytowani. Mnie perspektywa podróży wcale by nie ucieszyła, ale widziałam, że Becca jest gotowa wyjechać. Nigdy nie czuła się w Shakespeare jak u siebie.

Gdy wróciłam do domu, zastałam zdumionego Jacka kucającego przed telewizorem. Po jego prawej stronie stały dwie sterty taśm video.

– Lily, powiedz mi, skąd wzięłaś te kasety? – zawył, wpatrując się w odcinek *Mody na sukces*. – Część z nich to domowe porno, a reszta to *Oprah* i telenowele.

Uśmiechnęłam się. Nie mogłam nic na to poradzić. Opowiedziałam mu o Deedrze i o swojej chęci pomocy poprzez wyniesienie kaset z mieszkania.

– Lepiej opowiedz mi wszystko od początku, jeszcze raz. To była ta dziewczyna bez brody, która mieszkała po drugiej stronie korytarza?

Zeszłej jesieni, kiedy Jack pracował w Shakespeare jako tajniak, wynajął jedno z mieszkań w Apartamentach Ogrodowych.

– Tak, to była Deedra – westchnęłam.

Dziewczyna bez brody. Świetnie została zapamiętana. Zaczęłam od początku opowiadać Jackowi o tym, jak znalazłam Deedrę w samochodzie – gwizdanie ptaków, ciszę lasu, szarą martwą kobietę na przednim siedzeniu samochodu.

– Jak dużo wcześniej zmarła? – zadał praktyczne pytanie Jack.

– W gazecie napisano, cytując Martę, że zmarła jakieś osiemnaście do dwudziestu czterech godzin wcześniej.

– Masz jeszcze tę gazetę? – zapytał, a ja poszłam przeszukać kosz z makulaturą.

Jack wyciągnął się na podłodze i swoim ciałem zajął prawie cały mój mały salon. Przypomniałam sobie, zaskoczona, że wprowadzał się do mnie i mogłam patrzeć na niego tak długo, jak chciałam, codziennie. Nie musiałam go zapamiętywać, żeby móc odtwarzać te wspomnienia, gdy wyjechał. I częściej będzie zajmował tyle miejsca w moim domu.

Wiedziałam, że na naszej drodze na pewno pojawią się wyboje.

– Więc ostatnią osobą, która widziała Deedrę, była jej matka i było to po wyjściu z kościoła, skąd Deedra poszła do domu.

Jack znów przeglądał artykuł. Koszulka ciasno opinała mu plecy, a dresy podkreślały kształt jego tyłka. Byłam szczęśliwa, że tak się rozkładał na mojej podłodze. Miałam ochotę zabrać mu gazetę. Jutro rano wyjedzie, a ja

pójdę do pracy i nie wykorzystywaliśmy czasu, który nam pozostał, w najlepszy sposób.

– Ciekawe, co zrobiła. – Jack analizował fakty jak były glina, którym przecież był. – Czy dotarła do mieszkania? Jak z niego wyszła?

Powiedziałam Jackowi wszystko, co wiedziałam o poczynaniach mieszkańców budynku w to niedzielne popołudnie.

– Becca była w mieście, ale nie wiem dokładnie gdzie. Claude’a nie było, sióstr Bickel również, Terry Plowright wyjechał. Tick, jak sądzę, był pijany. Kobieta, która pracuje w WalMartcie, Domari Clayton, była według Beccy w pracy.

– A gdzie była Becca?

– Nie wiem, nie powiedziała.

Nie miałam pojęcia, co Becca miała w zwyczaju robić w niedziele. Nie chodziła do kościoła i choć często pojawiała się w Body Time, nie zostawała tam długo. Może w niedziele po prostu włączyła się po mieszkaniu w pidżamie i czytała gazety albo książkę.

– Czy jej brat już tu wtedy był?

– Nie, wczoraj widziałam go po raz pierwszy.

– Czyli nie poznał nigdy Deedry.

Jack oparł brodę na rękach i gapił się na drewnianą podłogę. Gdy rozmyślał, wzięłam z kuchni – naszej kuchni – stary program telewizyjny i otworzyłam go na sobocie. To musiał być dzień mający związek z Deedą, skoro zginęła w niedzielę.

Przeczytałam wszystkie streszczenia, sprawdziłam transmisje sportowe, ślęczałam nad opisem wieczornych programów. Kiedy Jack po dłuższej chwili otrząsnął się z zadumy, zapytał, co robię. Próbowałam mu wyjaśnić, ale niepotrzebnie to zagmatwałam.

– Może na gazecie była krew albo coś i morderca zabrał ją ze sobą – powiedział bez zainteresowania. – Albo Deedra wylała na nią piwo imbirowe i wyrzuciła do kosza. Bardziej mnie interesuje jej torebka. Co mogło w niej być? Czy miała jedną z tych wielkich toreb, w których można zmieścić cegły?

– Nie, jej były na tyle duże, by pomieścić pieniądze, szczotkę do włosów, puder, miętówki i chusteczki do nosa. Ale nic poza tym.

– Mieszkanie zostało splądrowane?

– Nie zauważyłam tego.

– Co jest wystarczająco małe, by zmieściło się w torebce? – Jack odwrócił się na plecy. Była to jeszcze bardziej atrakcyjna poza. Jego orzechowe oczy wpatrywały się w sufit. – Miała biżuterię?

– Nic drogiego. A przynajmniej nic, przez co warto było aranżować tę wyszukaną scenę zbrodni. Gdyby dostała w głowę cegłą, gdy robiła zakupy w centrum handlowym, to miałoby to sens. Miała kilka złotych łańcuszków, perły – one byłyby tego warte. Ale to, to ułożenie rzeczy w lesie... to wyglądało na coś osobistego. A jej perły były tam, wisiały na drzewie.

– Czyli wracamy do jej życia seksualnego. Z kim, kogo znasz, uprawiała seks?

Jack wyglądał odrobinę nieswojo, gdy zadawał pytanie. Było to trochę dziwne.

– Z każdym, z kim mogła – powiedziałam w roztargnieniu, zaczynając coś podejrzewać. – Chcesz listę?

Jack potwierdził i nadal wpatrywał się w sufit.

– Marcus Jefferson, ten gość, który mieszkał na piętrze, z przodu, w mieszkaniu, które przez jakiś czas wynajmowałeś. – Zastanowiłam się przez chwilę. – Syn Briana Grubera, Claude, Terry Plowright, Darcy Orchard, Norvel Whitbread, Randy Peevely, gdy był w separacji z Heather,

plus jeszcze przynajmniej – policzyłam na palcach – czterech innych. A to tylko ci, których zastałam w jej mieszkaniu. Ale nie miałam zamiaru dawać Marcie Schuster listy.

– Nie powiedziałaś policji?

– To nie ich sprawa. Być może któryś z nich zabił Deedrę, ale to jeszcze nie powód, żeby wszyscy przechodzili piekło. A wcale nie jestem przekonana, by którykolwiek z nich naprawdę ją zabił.

– Skąd to wiesz?

– Bo niby dlaczego mieliby to zrobić? – zapytałam, pochylając się do przodu i opierając ręce na kolanach.

– Ze strachu przed zdemaskowaniem – zaczął pewnie Jack, ale się zawahał.

– Kto miałby się tego bać? Wszyscy w mieście wiedzieli, że Deedra była... łatwo dostępna. Nikt nie brał jej poważnie. To było jej tragedią. – Zaskoczyło mnie to, moja zaciekłość i drżący głos. Zależało mi bardziej, niż sądziłam, z powodów, których nie byłam w stanie zrozumieć. – Jack, czy byłeś bardzo samotny, gdy przyjechałeś do Shakespeare?

Poczerwieniał. Nie było to atrakcyjne.

– Nie – powiedział. – Ale było blisko. Nie zrobiłem tego ze strachu przed aids. Miała prezerwatywy, byłem napalony, ale zbadalem się wcześniej i byłem czysty, a wiedziałem, że ona jest...

– Dziwką? – zapytałam, czując, jak buzuje we mnie złość, której nie potrafiłam zrozumieć.

Jack przytaknął.

Niesamowite, jak łatwo można zniszczyć udane popołudnie.

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego jesteś wściekła?

Jack zadał to pytanie moim plecami. Na kolanach szorowałam podłogę w łazience.

– Nie sędę – odpowiedziałam szorstko.

Dłonie pociły mi się w gumowych rękawiczkach i wiedziałam, że gdy je ściągnę, będą śmierdziały jak stare zapocone skarpety.

Sama próbowałam to zrozumieć. Deedra nie ceniła samej siebie. Nie była to wina mężczyzn, z którymi się pieprzyła. Bez wątpienia sama się im oddawała. Nie prosiła o nic w zamian poza odrobiną uwagi, odrobiną życzliwości. Nie prosiła o stały związek, nie prosiła o pieniądze czy prezenty. Chciała być obiektem pożądania, nawet ulotnego, bo według niej potwierdzało to jej wartość.

Czy można więc było winić mężczyzn, którzy dawali jej to, czego pragnęła? Jeśli coś rozdawano tanio, czy można było obwiniać tych, którzy to brali?

Ja mogłam. I obwiniałam.

I musiałam to po prostu przełknąć. Było ich zbyt wielu, a wśród nich mężczyźni, których lubiałam, i tylko kilku, których szanowałam. Mężczyźni zdawali się na swój instynkt, tak jak Deedra zdawała się na swój. Ale żałowałam, że nie podałam szeryf ich nazwisk. Baliby się trochę. Mogło to być dla nich mało komfortowe, ale w końcu to Deedra ucierpiała.

A jednak Deedra w końcu znalazła Marlona Schustera. Wydawał się wiotką trzcinką, ale chciał być jej oparciem. Czy byłaby wystarczająco silna, by zmienić własne życie i być z Marlonem? Czy on ją w ogóle obchodził? Fakt, że zaoferował jej to, czego zawsze pragnęła, nie oznaczał, że musiała to wziąć.

Teraz nigdy się nie dowiemy. Za dwa lata Deedra mogła być żoną Marlona, kobietą, której ciemne strony zostały wybielone. Może nawet nosiłaby jego dziecko.

Ale ta możliwość została Deedrze odebrana. Marlonowi również.

Bardzo mnie to wkurzyło.

Poczułam się lepiej, gdy łazienka lśniła. Odprężyłam się, zanim położyłam się spać, i gdy słuchałam ciężkiego, równego oddechu Jacka, który leżał obok mnie, uznałam, że jego bliskie spotkanie z Deedra rozgrzeszyło mnie z mojego wyczynu z Bobo. Mimo że nie byliśmy wtedy jeszcze razem, Jack zdążył mnie już poznać, więc teraz poczułam, jakby mój grzech został wymazany.

Przewracałam się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Myślałam o tym, że muszę rano iść do pracy, że Jack musi wrócić do Little Rock. Zastanawiałam się, czy Birdie Rossiter będzie mi kazała kąpać biednego Durwooda, czy Lacey będzie potrzebowała mojej pomocy przy sprzątanii mieszkania Deedry.

W końcu uświadomiłam sobie, że lekarstwo na moją bezsenność spoczywało tuż obok mnie. Przytuliłam się do pleców Jacka, objęłam go i zaczęłam delikatny masaż, który – wiedziałam – zaraz go obudzi.

Miałam rację.

ROZDZIAŁ 11

Następnego dnia było dużo cieplej, czuć było w powietrzu piekący skwar lata: pobudkę dla mieszkańców południowego Arkansas.

Wstaliśmy z Jackiem wcześniej i poszliśmy razem do siłowni. Ćwiczyliśmy mięśnie trójgłowe i byłam pewna, że po treningu z Jackiem będę miała zakwasy, bo kiedy był ze mną, zakładałam dodatkowe ciężarki i bardzo się starałam, żeby zrobić dodatkową serię powtórzeń.

Janet też tam była. Przywitała się z Jackiem i poszła dalej robić ćwiczenia na nogi. Zauważyłam, że sam Marshall wyszedł ze swojego biura, żeby się jej przyjrzeć. Ucieszyło mnie to. Powinien zacząć zauważać Janet, bo od dawna miała do niego słabość.

Jack natomiast nigdy nie polubiłby mojego *sensei*, bo dobrze wiedział, że Marshall i ja byliśmy kiedyś blisko. Miał do tego w miarę rozsądne podejście, ale zauważyłam, że gdy rozmawiał z Marshalle, był dość sztywny.

Marshall był w bardzo dobrym nastroju, śmiał się i żartował z Janet, no i obchodził salę, witając się z ćwiczącymi.

– Co słyszeć? – zapytał Jack, gdy Marshall do nas podszedł.

– Moja eks wychodzi powtórnie za mąż – promieniał Marshall, a jego mina była dość nietypowa.

Miałam trochę do czynienia z Theą, która była drobna, urocza i wzbudzała respekt. Podobnie jak małe jadowite węże.

– Kim jest ten nieszczęśnik? – wyprostowałam się po drugiej serii ćwiczeń na ramiona.

Jack i ja na ogół wykonywaliśmy je oparci o regał, który podtrzymywał cięższe sztangi. Opieraliśmy dłonie o najwyższą półkę, odsuwaliśmy się

najdalej, jak mogliśmy, i napieraliśmy w przód aż do momentu, gdy nosami dotykaliśmy sztang, po czym wracaliśmy do pozycji wejściowej. Żeby ukoić ból, potrzasałam ramionami.

– Jakiś koleś z Montrose – odpowiedział Marshall i wybuchnął śmiechem. – Przeszanę płacić alimenty, gdy wyjdzie za mąż.

– Kiedy wesele? – zapytał Jack, układając ręce na półce, gotowy na kolejną serię.

– Za trzy miesiące – Marshall szczyrzył się do mnie. – Koniec z Theą. On jest dystrybutorem Johna Deere’a, więc jest ustawiona. Nawet nie będzie musiała już chodzić do pracy.

Thea zajmowała się dziećmi, bardzo zresztą źle, w żłobku ZKS.

– Super – odpowiedziałam. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie przed ślubem.

– Będę się za niego modlił – powiedział Marshall i nie był to wcale żart.

Poklepał mnie po ramieniu, skinął głową Jackowi i podszedł do Janet, która osuszała sobie twarz ręcznikiem. Próbowwała powstrzymać radość wywołaną podejściem Marshalla, ale się nie udało. Jej twarz błyszczała nie tylko od potu.

W domu wzięłam prysznic i zrobiłam makijaż, gdy Jack się pakował i jadł śniadanie. Później on zajął łazienkę, a ja zjadłam śniadanie i zasłałam łóżko.

Uznałam, że mieszkanie razem może się udać. Będzie trzeba się trochę dostosować, bo oboje przywykliśmy do mieszkania samemu, zajmie to pewnie trochę czasu, ale było to do zrobienia.

Równocześnie wyjechaliśmy sprzed domu; Jack wracał do Little Rock, a ja ruszyłam do pracy u Birdie Rossiter.

Birdie była tego ranka pełna energii. W przeciwieństwie do większości ludzi, którzy wyjeżdżali, gdy parkowałam przed ich domami, Birdie

uważała mnie za swoją towarzyszkę, która przypadkiem również sprzątała jej dom. Tak więc od czasu, gdy przestąpiłam próg, do momentu wyjścia ciągle mi towarzyszyła, zagadując i zadając pytania, pełne dobrych rad.

Męczyło mnie to.

Zastanawiałam się, czy mówiła do Durwooda, gdy mnie tam nie było. Durwood chyba powinien zostać psim świętym.

Ale czasem, między wszystkimi tymi nieistotnymi plotkami, Birdie rzucała coś użytecznego lub interesującego. Tego ranka powiedziała mi, że Lacey Dean Knopp kazała się wyprowadzić Jerrellowi Knoppowi.

– Pewnie postradała rozum po śmierci biednej małej Deedry – powiedziała Birdie, zaciskając usta w wyrazie współczucia, zabarwionym jednak lekko zadowoleniem. – Deedra była oczkiem w głowie Lacey. Wiem, że kiedy Jerrell podrywał Lacey, bardzo uważał, żeby nie chlapać czegoś o Deedrze. Mogę się założyć, że chodziło mu o pieniądze Lacey. Chaz Dean, jej pierwszy mąż, zmarł, zanim przyjechałaś do Shakespeare... Cóż, Chaz zostawił żonie całkiem sporo kasy. Wiedziałam, że Lacey złapie nowego męża. I to nie tylko na pieniądze. Jest śliczna, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. I to nie „jak na kogoś po pięćdziesiątce”, tylko w ogóle. Lacey jest po prostu ładna. Jeśli żenisz się z kimś, kto dobrze wygląda i ma pieniądze, to jakbyś dostał premię, prawda?

Nie wiedziałam, który z elementów miałby być tą premią – pieniądze czy wygląd. Lacey, która miała obie te rzeczy, nie wydawała się szczególnie szczęśliwa.

Kiedy Birdie poszła sobie nalać kolejną filiżankę kawy, rozmyślałam o tym, że Lacey kazała się wyprowadzić Jerrellowi, i o okropnych podejrzeniach, które omówiliśmy z Janet. Myślałam, że Deedra nie mogła nikomu zaszkodzić, ujawniając, że się z nim spotyka, ale zapomniałam o Jerrellu.

Jeśliby Deedra zagroziła jego małżeństwu, musiałaby zostać bezwzględnie wyeliminowana. Jerrell szalał na punkcie Lacey. Nigdy za nim nie przepadałam i z mojego punktu widzenia byłoby świetnym rozwiązaniem, gdyby to ojczym Deedry okazał się winny popełnienia tego morderstwa.

Ale przyłapałam się na marszczeniu brwi do mopa, którego akurat wyciskałam. Bez względu na to, jak mocno się starałam, nie mogłam się przekonać do winy Jerrella. Mogłam go sobie wyobrazić uderzającego Deedrę jakimś poręcznym klockiem drewna czy nawet strzelającego do niej, ale nie widziałam go, jak planuje tę wysublimowaną scenerię w lesie. Porozrzucane ubrania, ułożenie ciała, butelka... nie, mało prawdopodobne.

Birdie wróciła i znów paplała, ale nie słuchałam. W myślach sprawdzałam to, co przed chwilą powiedziałam do siebie, i układałam mały plan.

Ten poniedziałek dziwnie przypominał poprzedni; było bezchmurnie i jasno, a w powietrzu czuć było żar, jak wtedy, gdy stoi się przy kuchennym palniku.

Nie zaparkowałam na Farm Hill Road, tylko skręciłam w żwirową drogę. Nie chciałam ryzykować rozwalenia mocno już zużytego zawieszenia na koleinach, więc zaparkowałam tuż przy brzegu lasu. Siedziałam w samochodzie, nasłuchując przez kilka minut. Nie było dziś przepiorą, ale słyszałam drozda i kardynała. W cieniu było nieco chłodniej.

Westchnęłam, wysiadłam z samochodu. Wyjęłam kluczyki i na wszelki wypadek wepchnęłam je do kieszeni. Ostrożność nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Później ruszyłam drogą, powtarzając sobie, że tym razem nie będzie samochodu pośrodku lasu, bo przecież nie mogło być w tym samym miejscu auta...

Ale było, zaparkowane dokładnie tam, gdzie stało wcześniej auto Deedry, i tak jak ono tyłem do mnie. Zamurowało mnie.

Był to bronco, ciemnozielony, dlatego nie zauważyłam go wcześniej. Ktoś w nim siedział.

– O nie – wyszeptałam.

To było jak jeden z tych snów, w których musisz zrobić coś, czego się boisz, coś, co zakończy się czymś potwornym. Gdy zaczęłam iść w kierunku auta, zacisnęłam zęby, żeby nimi nie szczekać, a dłoń położyłam na sercu, które ze strachu waliło jak młot.

Zbliżyłam się do okna od strony kierowcy, zostając trochę z tyłu, żeby nie wyczuć znów tego zapachu.

Sądziłam, że nie wytrzymam i zwymiotuję, a nie chciałam przez to przechodzić. Pochyliłam się lekko, żeby zajrzeć do środka, i zamarłam. Wpatrywałam się w lufę pistoletu.

Oczy Cliftona Emanuela były tak samo czarne i okrągłe jak wylot lufy. I prawie tak samo przerażające.

– Nie ruszaj się – powiedział ochrypłym głosem.

Byłam w zbyt wielkim szoku, by cokolwiek odpowiedzieć, i nie miałam zamiaru choćby drgnąć. W okamgnieniu przez moją głowę przemknęło wiele myśli. Wiedziałam, że jeśli zaczęłabym natychmiast działać, mogłam odebrać mu broń, choć był przygotowany, by pociągnąć za spust. Ale był stróżem prawa i miałam zamiar go posłuchać, choć z doświadczenia wiedziałam, że niektórzy z tych, którzy powinni strzec prawa, są równie zepsuci i mają tak samo nie po kolei w głowie, jak socjopaci, których aresztują.

Więc... stałam w bezruchu.

– Cofnij się – nakazał dziwnym głosem, w którym słychać było ogromne napięcie.

Gdybym się cofnęła, musiałabym się ruszyć, ale to nie była dobra pora, żeby się z nim sprzeczać o drobiazgi. Zrobiłam krok w tył. Marshall zawsze nas ostrzegał, że nieważne, jak dobrzy jesteśmy w sztukach walki, w niektórych sytuacjach będzie rządził gość ze spluwą.

Wstrzymując oddech, obserwowałam, jak Clifton Emanuel otwiera drzwi i wysiada z samochodu. Mimo że bardzo się starał cały czas we mnie celować, był taki moment, gdy mogłam uciec, ale niepewność mnie sparaliżowała.

Choć nie sądziłam, żeby zastępca szeryfa zaczął strzelać, byłam zwarta i gotowa do działania. Tak wybałuszył oczy, że widać było prawie same białka, co mocno mnie niepokoiło. Ale zaraz uświadomiłam sobie, że gdy usłyszał, jak idę drogą, wyciągnął broń i czekał, aż się zbliżę. I nie dziwiło mnie już to, że sprawiał wrażenie trochę szurniętego.

– Oprzyj się o samochód – nakazał.

Teraz, gdy miałam pewność, że nie zastrzeli mnie bez namysłu, zaczęłam się wściekać. Oparłam ręce o samochód, rozszerzyłam nogi i pozwoliłam mu się obszukać, ale czułam, jak wraz ze strachem odpływa moja tolerancja.

Obszukał mnie dyskretnie i bez podtekstów.

– Odwróć się – powiedział, a jego głos nie był już tak ochryply.

Stałam przodem do niego i musiałam zadrzeć głowę, żeby odczytać stan emocjonalny z jego twarzy. Jego ciało było trochę bardziej rozluźnione, a wzrok sprawiał wrażenie nieco mniej nerwowego. Starłam się wyglądać niegroźnie, nie napinać mięśni i oddychać miarowo. Wymagało to sporej koncentracji.

– Co tutaj robisz? – zapytał.

Był w cywilu, ale zauważyłam, że spodnie w kolorze khaki i brązowa koszula w kratę nie różniły się zbyt mocno od munduru.

– Mogłabym spytać cię o to samo – odpowiedziałam, próbując nie zabrzmieć tak konfrontacyjnie, jak się czułam.

Nie lubię czuć się bezsilna. Nie znoszę tego tak jak prawie niczego innego.

– Mów – powiedział.

– Chciałam znów obejrzeć to miejsce – wyjąkałam, niezadowolona, że muszę wyjaśniać coś, co tak naprawdę było przecuciem, którego nie potrafiłam niczym poprzeć.

– Dlaczego?

– Chciałam o tym pomyśleć – dokończyłam. – Bo wiesz, myślałam... – Potrząsnęłam głową, starając się nazwać to, o czym naprawdę miałam zamiar pomyśleć. – Coś było tu nie w porządku.

– Poza tym, że młoda kobieta została zamordowana? – zapytał sucho.

Przytaknęłam, ignorując sarkazm w jego głosie. Opuścił broń.

– Też tak myślę. – Wyglądał teraz na mocno zaskoczonego. Był zdziwiony, że myślałam o tym, co zobaczyłam tego dnia, że po tym jak powiadomiłam o śmierci Deedry, myślałam o jej ostatnich chwilach. W ocenie Cliftona Emanuela byłam taką twardzielką, iż nie powinna mnie obejść śmierć kobiety, którą znałam od lat. Pomyślałam, że cudownie byłoby być tak twardą.

Schował pistolet do kabury. Nie przeprosił za celowanie we mnie i nie prosiłam go o to. Gdybym była na jego miejscu, zrobiłabym to samo.

– No, mów – zachęcił.

– Pomyślałam sobie, że... – Zamilkłam, starając się znaleźć odpowiednie określenie. Chciałam, żeby dobrze mnie zrozumiał. – Mamy myśleć, że jakiś mężczyzna przyjechał tu z nią jej samochodem.

– Albo umówił się z nią na spotkanie tutaj – przerwał, a ja przytaknęłam, pokazując dłonią, że zgadzam się z tym.

– Być może. No więc ona tu jest i jest tu też morderca, jakkolwiek się tu dostał. I mamy myśleć, że później morderca wywabił Deedrę z samochodu na seks, kazał jej zdjąć ubrania. No i ona rozbiera się dla jego przyjemności, rozrzuca ubrania w przypadkowy sposób, rajstopy tu, bluzka tam, perły, spódnica... I jest pośrodku lasu goła jak święty turecki. Później uprawia z nim seks, on używa prezerwatywy, chyba że jest kompletnym idiotą. Albo może nie uprawiają seksu? Nie wiem, co wykazała sekcja. Ale w tym momencie coś idzie nie tak.

Clifton kiwał wielką głową.

– Kłóć się o coś – przejął scenariusz. – Może grozi mu, że powie żonie, że się z nią pieprzy. Ale to wydaje się mało prawdopodobne, bo wszyscy Był w cywilu, ale zauważyłam, że spodnie w kolorze khaki i brązowa koszula w kratę nie różniły się zbyt mocno od munduru.

– Mogłabym spytać cię o to samo – odpowiedziałam, próbując nie zabrzmieć tak konfrontacyjnie, jak się czułam.

Nie lubię czuć się bezsilna. Nie znoszę tego tak jak prawie niczego innego.

– Mów – powiedział.

– Chciałam znów obejrzeć to miejsce – wyjąkałam, niezadowolona, że muszę wyjaśniać coś, co tak naprawdę było przecuciem, którego nie potrafiłam niczym poprzeć.

– Dlaczego?

– Chciałam o tym pomyśleć – dokończyłam. – Bo wiesz, myślałam... – Potrząsnęłam głową, starając się nazwać to, o czym naprawdę miałam zamiar pomyśleć. – Coś było tu nie w porządku.

– Poza tym, że młoda kobieta została zamordowana? – zapytał sucho.

Przytaknęłam, ignorując sarkazm w jego głosie. Opuścił broń.

– Też tak myślę. – Wyglądał teraz na mocno zaskoczonego. Był zdziwiony, że myślałam o tym, co zobaczyłam tego dnia, że po tym jak powiadomiłam o śmierci Deedry, myślałam o jej ostatnich chwilach. W ocenie Cliftona Emanuela byłam taką twardzielką, iż nie powinna mnie obejść śmierć kobiety, którą znałam od lat. Pomyślałam, że cudownie byłoby być tak twardą.

Schował pistolet do kabury. Nie przeprosił za celowanie we mnie i nie prosiłam go o to. Gdybym była na jego miejscu, zrobiłabym to samo.

– No, mów – zachęcił.

– Pomyślałam sobie, że... – Zamilkłam, starając się znaleźć odpowiednie określenie. Chciałam, żeby dobrze mnie zrozumiał. – Mamy myśleć, że jakiś mężczyzna przyjechał tu z nią jej samochodem.

– Albo umówił się z nią na spotkanie tutaj – przerwał, a ja przytaknęłam, pokazując dłonią, że zgadzam się z tym.

– Być może. No więc ona tu jest i jest tu też morderca, jakkolwiek się tu dostał. I mamy myśleć, że później morderca wywabił Deedrę z samochodu na seks, kazał jej zdjąć ubrania. No i ona rozbiera się dla jego przyjemności, rozrzuca ubrania w przypadkowy sposób, rajstopy tu, bluzka tam, perły, spódnica... I jest pośrodku lasu goła jak święty turecki. Później uprawia z nim seks, on używa prezerwatywy, chyba że jest kompletnym idiotą. Albo może nie uprawiają seksu? Nie wiem, co wykazała sekcja. Ale w tym momencie coś idzie nie tak.

Clifton kiwał wielką głową.

– Kłóć się o coś – przejął scenariusz. – Może grozi mu, że powie żonie, że się z nią pieprzy. Ale to wydaje się mało prawdopodobne, bo wszyscy zgadzają się, że żonaci mężczyźni nie byli dla niej atrakcyjni. Może mówi mu, że sądzi, iż jest w ciąży, choć naprawdę wcale nie jest. Albo mówi, że jest kiepski w łóżku. Może on nie ma erekcji.

To przeszło mi wcześniej przez myśl, kiedy rozmyślałam o gwałcie dokonanym za pomocą butelki. Kiedy taką tezę postawił Clifton Emanuel, miało to jeszcze więcej sensu. Spojrzałam zaskoczona na zastępcę, a on pokiwał ponuro głową.

– Dla niektórych ludzi taki problem byłby wystarczającym powodem, żeby stracić panowanie nad sobą – oznajmił.

Spojrzałam w kierunku ciemnego lasu i zadrzałam.

– Tak więc pokazuje jej, jakim jest samcem – ciągnął Emanuel.

– Uderza ją tak mocno w splot słoneczny, że Deedra ginie, a kiedy ona umiera, ciągnie ją do samochodu i wsadza jej butelkę w... Ech, w nią. – Odchrząknął w zadziwiająco delikatny sposób.

– I wtedy odjeżdża. Jak? Jeśli przyjechał z nią samochodem, to jak odjeżdża?

– Jeśli przyjechał swoim samochodem, to nie zostawił żadnych śladów. Co jest możliwe, zwłaszcza jeśli był to dobry pojazd i nic nie przeciekało. W tamtym tygodniu ziemia była sucha, ale nie na tyle sucha, żeby pyliło. Źle dla zostawiania śladów. Ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że był z nią w samochodzie, żeby nie ryzykować, że ktoś zauważy, jak się z nią tutaj zatrzymuje. Więc musiał zostawić wcześniej samochód gdzieś w pobliżu. Albo miał komórkę, jak ty. Mógł do kogoś zadzwonić, żeby po niego przyjechał, wymyślił jakąś historyjkę, żeby to wyjaśnić. Do kogoś, komu ufał, że nie pójdzie z tym na policję.

Przez chwilę zastanawiałam się, czemu stróż prawa tak otwarcie dzieli się ze mną spekulacjami.

– Nie była w ciąży? – wymamrotałam swoje pytanie. Pokręcił ciężką głową.

– Nie. I uprawiała z kimś seks, używając prezerwatywy. Ale nie wiemy, czy to na pewno był morderca.

– Czyli sądzisz, że ten ktoś nie był w stanie i go rozwścieczyła?

Jednak takie dokuczanie wydawało się nie w stylu Deedry. Ale skąd, do cholery, wiedziałam, jak Deedra zachowywała się w obecności mężczyzn?

– To możliwe. Ale rozmawiałem z jednym z jej byłych partnerów, któremu się to przytrafiło – powiedział zastępca Emanuel, ponownie mnie zaskakując. – Powiedział, że była dla niego bardzo miła, pocieszała go i mówiła, że jest pewna, że następnym razem się uda.

– To nie powstrzymałoby mężczyzn przed pobiciem jej – powiedziałam.

Skinął głową, uznając moje doświadczenie.

– Nadal jest taka możliwość, ale wydaje się mało prawdopodobna.

Emanuel zamilkł i wpatrywał się we mnie. Nie był zainteresowany mną jako kobietą, co mnie cieszyło.

– Tak więc – zakończył – wracam do kwestii tego, dlaczego ktoś miałby wykończyć Deedrę, jeśli nie dotyczyło to spraw seksu? Po co pozorować, że seks był motywem?

– Bo to oznacza dużo więcej podejrzanych – powiedziałam.

Równocześnie skinęliśmy głowami, zgadzając się co do prawdziwości tego stwierdzenia.

– Może dowiedziała się czegoś w pracy? Praca w ratuszu jest dość ważna.

– Płace w hrabstwie, podatki od nieruchomości... tak, przez biuro sekretarza przepływa mnóstwo pieniędzy i to odpowiedzialna praca. Rozmawialiśmy kilkakrotnie z Chokiem Ansonem, zarówno o tym, jak Deedra sprawowała się w pracy, jak i o jego związku z nią. Sprawia wrażenie czystego. Jeśli chodzi o to, że Deedra mogła dowiedzieć się czegoś związanego z jej pracą, czego nie powinna wiedzieć, prawie wszystko tam jest odtajnione i wszyscy pozostali urzędnicy mają dostęp do

tych samych dokumentów. To nie tak, że tylko Deedra... – Przerwał, ale zrozumiałam, o co mu chodzi.

– Coś ci powiem.

– Nareszcie – odpowiedział. – Taką miałem nadzieję.

Czując, że zdrada jest konieczna, opowiedziałam mu o dziwnej wizycie Marlona Schustera w mieszkaniu Deedry.

– Miał klucz – powiedziałam. – Mówił, że ją kocha. Co jeśli dowiedział się, że go zdradza? Twierdzi, że ona też go kochała i dlatego dała mu klucz. Ale czy znaleźliście klucz Deedry?

– Nie. – Emanuel spojrzał na swoje ogromne stopy. – Nie, nie znaleźliśmy. Podobnie jak jej torebki.

– A co z tobą i Deedra? – zapytałam nagle. Miałam już dość zastanawiania się nad tym.

– Kijem bym jej nie tknął – powiedział, a niesmak sprawił, że Emanuel brzmiał, jakby był bardzo rozgoryczony. – To jedyne, co mam wspólnego z Chokiem Ansonem. Wolę kobiety, które są trochę bardziej wybredne i mają szacunek dla samych siebie.

– Takie jak Marta? Posłał mi obojętne spojrzenie.

– Wszyscy na posterunku sądzą, że Marlon to zrobił – powiedział cicho zastępca szeryfa. Oparł się o samochód, który lekko się zatrząsł. – Każdy facet na posterunku uważa, że Marta jest zaślepią, bo nie przesłuchała swojego brata. Używają tego przeciwko niej. Nie da się z nimi dyskutować. Marlon ostatni spał z Deedra, więc wszyscy uważają, że to on jest winny.

Więc to dlatego Emanuel mi się zwierzał. Nie zgadzał się z resztą swojego plemienia.

– Marlon był z Deedrą w sobotę wieczorem? – spytałam.

– I w niedzielę rano. Ale twierdzi, że nie widział jej po tym, jak wyszedł do kościoła. Mówi, że dzwonił do niej kilka razy. Billingi to potwierdzają.

– A ona do kogo dzwoniła?

– Do matki – powiedział niechętnie Clifton Emanuel. – Dzwoniła do matki.

– Wiesz, w jakiej sprawie? – zapytałam delikatnie, bo wydawało mi się, że Clifton był bliski zamknięcia się znów w skorupie, a ja chciałam zaczerpnąć, ile się da, zanim źródło wyschnie.

– Według jej matki była to sprawa rodzinna. Pokrywa się zasuwała.

– Dotycząca Jerrella zabawiającego się z Deedrą, zanim zaczął spotykać się z Lacey?

Zacisnął usta w cienką kreskę i wykonał głową ruch, który mógł oznaczać wszystko. Pokrywa była zamknięta.

– Pójdę już – powiedziałam.

Żałował teraz, że ze mną rozmawiał, zapomniał już, że pozwolił sobie na luksus gdybania z osobą, która również miała sceptyczne podejście do obowiązujących teorii. Znów najważniejsze było to, że był stróżem prawa. Wypaplał parę tajemnic i pogardzał sobą za to. Gdyby nie był tak zauroczony Martą Schuster, gdyby był w dobrych stosunkach z pozostałymi funkcjonariuszami, nigdy nie powiedziałby ani słowa. Widziałam, że walczy z sobą, próbując ułożyć, co ma mi powiedzieć, żeby upewnić się, że nie puszczy pary z ust.

– O ile moje słowa cokolwiek znaczą – powiedziałam – nie wydaje mi się, żeby Marlon ją zabił. A wieść gminna niesie, że wczoraj Lacey kazała Jerellowi się wynieść.

Emanuel zamrugał i rozważał tę informację z przymrużonymi oczami.

– A wiesz coś o tych perłach? Bezmyślnie skinął głową.

Pokazałam głową w kierunku gałęzi, na której zostały zawieszane.

– Nie wydaje mi się, żeby tak nimi rzucała.

Te perły nie dawały mi spokoju. Clifton Emanuel pokazał „mów dalej”. Wzruszyłam ramionami.

– Dostała ten naszyjnik od ojca. Był dla niej cenny.

Clifton Emanuel spojrzał na mnie czarnymi oczami. Myślałam, że decyduje, czy mi zaufać, czy nie. Mogłam się mylić; mógł się zastanawiać, czy zamówić hamburgera, czy nuggetsy z kurczaka, gdy podjedzie do okienka Burger Tycoon.

Po chwili ciszy odwróciłam się na pięcie i ruszyłam drogą, pewna, że patrzy za mną. Clifton Emanuel nie budził we mnie zaniepokojenia, tego mrowienia na karku, które wzbudzali we mnie niektórzy ludzie, odczucia, które ostrzegało mnie, że coś chorego i potencjalnie groźnego tkwiło w psychice takiej osoby. Ale po naszej krótkiej rozmowie byłam pewna, że Marta Schuster miała szczęście, że ten mężczyzna jest jej oddany, i byłam szczęśliwa, że nie jestem jej wrogiem.

Dużo myślałam w drodze powrotnej do miasta. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wydawało mi się – i sądziłam, że podobnego zdania jest też Clifton Emanuel – iż było coś sztucznego na miejscu zbrodni w lesie. Mimo że Emanuel stracił do mnie zaufanie, zanim skończyły nam się tematy do rozmowy, też wydawał się wątpić w scenariusz, który sugerowały przedmioty pozostawione na miejscu zbrodni.

W następnej pracy, w domu Camille Emerson, na szczęście nie zastałam nikogo. Mogłam dalej rozmyślać podczas pracy.

Ten scenariusz, mimo że przedyskutowałam go już z Emanuelem, przemyślałam raz jeszcze. Deedra jedzie z kochankiem do lasu swoim samochodem. Kochanek nakłania Deedrę do rozebrania się, co ona beztrąsko robi, rozrzucając wszędzie ubrania i biżuterię.

Wtedy następuje kłótnia. Być może mężczyzna nie może się kochać i Deedra go dręczy (choć Emanuel miał zeznanie w tej sprawie i zgodziłam

się, że nie byłoby to w stylu Deedry). Być może Deedra – grozi, że wyjawí jego żonie, matce czy dziewczynie, że z nim sypia. Albo być może ten kochanek lubi ostry seks i zabija Deedrę w przypływie namiętności. Ale jak by się to miało do katastrofального ciosu, który zatrzymał jej serce?

Byłam tak zmęczona myśleniem o Deedrze, że w tej chwili kusíła mnie ta ostatnia możliwość. Nie chciałam myśleć, że śmierć Deedry była czymś więcej niż tylko namiętnością jakiegoś rodzaju, namiętnością, która w tragiczny sposób wymknęła się spod kontroli.

Ale gdy kończyłam odkurzać „kolekcje” na półkach salonu Camille Emerson, ujrzałam swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Sama w to nie wierzyłam.

Według wszystkich źródeł, jedynym obrażeniem, jakiego doznała Deedra, był zabójczy cios. Zbyt dobrze wiedziałam, jak wygląda ostry seks. To nie jedno uderzenie czy jeden brutalny akt, ale cała ich seria. Obiekt takiej namiętności nie zostaje po stosunku z jednym obrażeniem, ale z całą serią. Wepchnięcie butelki miało miejsce po śmierci Deedry. Tak więc – uświadomiłam sobie, niosąc naręcze brudnych ręczników do pralni – ten drobny okropny pogardliwy czyn był niczym więcej jak tylko grą pozorów. Być może odpowiednikiem powiedzenia ostatniego słowa.

To wiele mówiło o osobie, która tego dokonała, nieprawdaż? Wzięłam papierowy ręcznik i odkleiłam kawałek gumy do żucia z listwy podłogowej za koszem na śmieci w sypialni młodszego syna Emersonów.

Czyli mieliśmy do czynienia z kimś silnym, wystarczająco silnym, żeby zabić kogoś jednym ciosem. Ten cios pewnie był zamierzony. Ewidentnie ów ktoś miał zamiar zabić Deedrę.

Mieliśmy do czynienia z kimś, kto gardził kobietami. Może nie kobietami w ogóle, ale kobietami, które czymś przypominały Deedrę. Puszczalskie? Atrakcyjne? Młode? Wszystkie wyżej wymienione?

Mieliśmy do czynienia z kimś, kto nie miał poszanowania dla ludzkiego życia.

I mieliśmy do czynienia z kimś sprytnym. Kiedy pomyślałam nad tym jeszcze chwilę, zdałam sobie sprawę, że cała ta aranżacja miała sens, jeśli ktoś nie znał dobrze Deedry. Deedra nie rozrzuciłaby ubrań w taki sposób, nawet gdyby się przed kimś rozbierała, w co akurat nietrudno było mi uwierzyć. I nawet wtedy pomachałaby bluzką, ale nie rzuciłaby jej gdzieś, gdzie mogła się pobrudzić lub rozedrzyć. Nie rzucałaby perłami. I w lesie... Nie, nie zrobiłaby tego w lesie! Gdzie był jakiś pled albo koc, na którym mieli położyć się kochankowie? Po co ten ktoś kazałby się Deedrze rozebrać, jeśli celem był szybki numerek na tylnym siedzeniu auta?

Doszłam do wniosku, że ktoś, kto zabił Deedrę, nie myślał wcale o jej charakterze, znał tylko fakty: wiedział, że była puszczańska i posłuszna. Nie myślał o tym, że jest drobiazgową, jeśli chodzi o własne otoczenie; nie myślał, że Deedra troszczy się o rzeczy z dbałością, której nie roztacza nad swoim ciałem.

Gdy zamknęłam drzwi domu Emersonów, uzmysłowiłam sobie, że wiem o wiele więcej, niż wiedziałam rano. Tajemnicą jednak nadal było, co z tą wiedzą zrobić, jak miała podziałać na moją korzyść. Te drobne fakty nie były dowodami, w które ktokolwiek by uwierzył, ale przynajmniej Clifton Emanuel mnie wysłuchał. Świadomość, że podobnie jak ja zastanawiał się, czy cała ta scena w lesie była ustawiona, sprawiała mi ulgę.

Ale czemu miało służyć to ustawienie?

No dobrze, jak ustaliliśmy sobie z zastępcą szeryfa podczas rozmowy, miało nas zmylić. Scena została tak ustawiona, aby wyglądało, że zabójstwo Deedry miało motyw seksualny; więc skoro miejsce zbrodni było zmyłką, Deedra nie została zabita z powodu swojej aktywności seksualnej.

Została zamordowana, ponieważ... Pracowała w biurze sekretarza hrabstwa? Była córką Lacey Dean Knopp? Wnuczką Joego C. Pradera? Łatwo było ją zwieść i sypiała, z kim popadnie, więc była łatwym celem? Dotarłam do ściany.

Nadeszła pora, by wyrzucić Deedrę na jakiś czas z głowy. Łatwo było to zrobić, gdy w południe siedziałam u siebie w kuchni.

Mój dom bez Jacka wydawał się pusty i ponury. Wcale mi się to nie podobało. Zjadłam lunch najszybciej, jak potrafiłam, wyobrażając sobie, jak Jack wraca do Little Rock i wchodzi do swojego mieszkania. Oddzwania do ludzi, którzy nagrali się na automatycznej sekretarce, robi notatki dotyczące sprawy, nad którą pracuje, odpowiada na maile.

Tęskniłam za nim. Wyglądało na to, że potrzebowałam go bardziej, niż powinienam. Może to dlatego, że tak długo obywałam się bez drugiej osoby? Może ceniłam go bardziej przez to, co przeszłam kilka lat temu? Dostrzegałam słabości Jacka; nie sądziłam, że jest ideałem. Ale to mi nie przeszkadzało. Co bym zrobiła, gdyby coś mu się stało?

Wydawało się, że był to dzień pytań, na które nie potrafiłam udzielić odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 12

Tego wieczoru podczas zajęć karate nie mogłam się skupić, za co Marshall mnie ochrzanił. Cieszyłam się, że nie walczyliśmy, bo przegrałabym, a nie lubię przegrywać. Janet dokuczała mi, gdy wiązałam sznurowadła, oskarżając mnie o to, że jestem roztargniona, bo usycham z tęsknoty za Jackiem. Zdołałam prawie się do niej uśmiechnąć, choć miałam ochotę odburknąć. Pozwolenie sobie na to, żeby myślenie o facecie rozproszyło mnie w trakcie czegoś tak ważnego, było... Nagle się uspokołam.

Byłoby całkiem naturalne. Byłoby normalne.

Ale to nie wyobrażanie sobie, jak wygląda Jack, gdy bierze prysznic, mnie rozpraszało. Myślałam o Deedrze – o tym, jak wyglądała jej twarz, jak była ułożona za kierownicą swojego czerwonego samochodu. Nie wiedziałam, co mogę zrobić, żeby jej pomóc. Zrobiłam, co mogłam. Zawiązałam sznurowadła i usiadłam, wpatrując się poprzez pustą salę w Becę, która śmiejąc się, pokazywała bratu, jak prawidłowo ułożyć ręce w pozycji *sanchin-dachi*. Gestem poprosiła mnie, żebym podeszła i pomogła, ale pokręciłam głową i chwyciłam torbę. Chciałam być sama.

Po powrocie do domu wzięłam się do dalszego przeglądania kaset Deedry, bo obiecałam Marlonowi, że jeśli znajdę taśmę, na której był, oddam mu ją. Pomysł, że zatrzymałby film, na którym uprawia seks z kobietą, która teraz już nie żyła, trochę mnie obrzydza, ale to, co Marlon Schuster miał zamiar zrobić z filmem, nie było moją sprawą. Nie lubiłam go, choć może zbyt ostro wyrażałam swoją opinię na jego temat. Prawdziwsze byłoby stwierdzenie, że go nie szanuję, co było dla mnie

czymś normalnym. Nie znalazłam w nim niczego, co mogłam polubić, poza jego słabością dla Deedry. I to już było coś, poza tym – dałam mu słowo.

Prawie zasnęłam, gdy przeglądałam kasety. Oglądałam rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałam: talk-show, telenowele, „prawdziwe” programy o kierowcach karetek, policjantach, poszukiwanych przestępcach i zaginionych dzieciach. Po obejrzeniu kilku taśm potrafiłam już przewidzieć, jaki program będzie następny, przejrzałam schemat Deedry. Były jak zawartość szkatułki, którą ktoś ukrył, żeby zapamiętać chwile z przeszłości. Tylko że ta szkatułka dotyczyła ostatnich paru tygodni w świecie telewizji. Gdy przełożyłam kasety do kartonu, te najnowsze znalazły się na dnie.

Większość kaset nie była ponazywana – pewnie Deedra już je obejrzała. Pozostałe opisane były skrótami, które dopiero po pewnym czasie nabrały dla mnie sensu. Odkryłam, że „TJŻ” oznaczało *Tylko jedno życie*, „G” oznaczało *Gliny*, „NPPA” – *Najbardziej poszukiwanych przestępców Ameryki*, a „Op” – *Oprah*.

Po przejrzaniu około dziesięciu kaset znalazłam tę z Marlonem i Deedrą. Obejrzałam tylko parę sekund, żeby upewnić się, kogo oglądam. (Lepiej, żeby Marlon nie dostał kasety, na której Deedra uprawia seks z innym facetem). Odłożyłam kasetę, oznaczając ją dyskretną żółtą karteczką.

Skoro już się zabrałam do przeglądania kaset, chciałam dokończyć to zadanie, ale tylko dlatego, że się uparłam. Wychwyciłam jeszcze jeden filmik – Deedra i nasz listonosz, częściowo w stroju służbowym. Obrzydliwe. Wszystkie pozostałe kasety raczej zawierały nieszkodliwe programy telewizyjne. Kiedy dotarłam do dna pudła, pomyślałam, że mogłabym połączyć programy ze streszczeniami w starej gazecie, którą znalazłam w torbie Jacka. To były rzeczy, które Deedra nagrała w tygodniu, w którym zginęła.

Na końcu jednej z taśm był nawet stary film, który Deedra nagrała w sobotę rano.

W swoim zbiorze kaset miała przynajmniej dwie z nagraniami programów z soboty dwa tygodnie temu. Co weekend nagrywała te same. Gdzie w takim razie była druga kasetka z programami nagranyymi w ostatnią sobotę? Zmarła dopiero w niedzielę, jak mówił Marlon, żyła, gdy wyszedł od niej w niedzielę rano. Nawet gdybym nie wierzyła Marlonowi, rozmawiała przecież z matką w kościele. Gdzie więc była kasetka z nagraniami z soboty wieczór?

Prawdopodobnie był to nieistotny szczegół, ale to nieistotne szczegóły składają się na sprzątanie. To one tworzą całość. Błyszczący zlew, porządnie złożony ręcznik, niezakurzony ekran telewizora – to są widoczne dowody, że o twój dom ktoś się troszczył.

Zacęła mnie boleć głowa, co nie zdarza się często. Nic nie miało sensu. Mogłam się tylko cieszyć, że nie pracowałam w policji. Musiałabym całymi dniami wysłuchiwać mężczyzn, którzy opowiadali o swoich małych romansach z Deedrą, swoich chwilach słabości, niewierności. Z pewnością lepsze było już obejrzenie paru sekund domowego porno, skoro czułam się moralnie zobligowana, by w jakiś sposób posprzątać po Deedrze.

Z ulgą odebrałam telefon.

– Lily! – powiedziała uszczęśliwiona Carrie.

– Pani doktor Friedrich – odpowiedziałam. Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

– Kurczę. Nie mogę się z tym oswoić. Jak sądzisz, ile zajmie ludziom przyzwyczajenie się do tego, że należy się do mnie zwracać doktor Friedrich?

– Jakiś tydzień.

– O raju! – Była szczęśliwa i brzmiała, jakby miała osiemnaście lat. – O raju! Jak się miewasz? Coś ważnego wydarzyło się podczas naszej nieobecności?

– Niezbyt wiele. Jak było w Hot Springs?

– Och, pięknie – westchnęła. – Nie mogę uwierzyć, że musimy iść jutro do pracy.

Usłyszałam hałas w tle.

– Claude dziękuje ci, że byłaś świadkiem – przekazała Carrie.

– Cieszę się, że mogłam to zrobić. Jesteś u siebie w domu?

– Tak, musimy szybko przewieźć tu rzeczy Claude’a. Godzinę temu poinformowałam rodziców! Postawili już na mnie krzyżyk, więc teraz oszaleli ze szczęścia.

– Co chcielibyście dostać z Claude’em w prezencie ślubnym?

– Lily, niczego nie potrzebujemy. Jesteśmy tacy starzy, już dawno temu się urządziliśmy. Nic nie jest nam potrzebne.

– Okej – powiedziałam. – Wiem. Co powiesz na to, żebym posprzątała mieszkanie Claude’a, po tym jak wywiezie swoje rzeczy.

– Och, Lily, byłoby cudownie! Nie musielibyśmy się o to martwić.

– W takim razie załatwione.

Carrie przekazała moją propozycję i Claude się sprzeciwił.

– Mówi, że to zbyt wiele, przecież zarabiasz w ten sposób na życie – zrelacjonowała Carrie.

– Powiedz mu, żeby się zamknął. To prezent – powiedziałam, a Carrie zachichotała i przekazała dalej.

– Do zobaczenia wkrótce. Och, Lily, jestem taka szczęśliwa!

– Cieszę się za was oboje – powiedziałam.

Prędzej czy później ktoś powie jej o pożarze i Carrie ochrzani mnie, że jej nie powiedziałam. Ale nie potrzebowała już teraz schodzić na ziemię ze

swojego siódmego nieba i z opóźnieniem martwić się o mnie. Jutro wróci do pracy, podobnie jak Claude. Praca lekarki i komendanta policji wymaga skupienia i odpowiedzialności.

Następnego ranka zastanawiało mnie, dlaczego Lacey się nie odezwała. Przecież chciała, żebym dokończyła sprzątanie mieszkania. Kryzys małżeński musiał pokrzyżować jej plany, co wcale mnie nie zdziwiło. Wolny czas po sprzątaniu domu Joego C. został zarezerwowany, gdy zadzwoniła opiekunka pani Jepperson i poprosiła, żebym przyjechała.

Pani Jepperson miała dobry dzień, poinformowała mnie zbyt głośno Laquanda Titchnor, gdy wpuszczała mnie do domu. Laquanda, o której nie miałam dobrego zdania, była osobą, na którą musiała przystać córka pani Jepperson, gdy wszyscy lepsi opiekunowie mieli inne prace.

Największymi zaletami Laquandy były: pojawianie się w pracy na czas, zostawanie tak długo, jak było to konieczne, i umiejętność wykręcenia numeru alarmowego. No i to, że zamiast gapić się w milczeniu w telewizor przez cały dzień, jak robiło to wiele opiekunek (zarówno dzieci, jak i starszych osób), rozmawiała z panią Jepperson. Laquanda i Birdie Rossiter były pokrewnymi duszami, przynajmniej jeśli chodziło o komentowanie każdej minuty każdego dnia.

Dziś Laquanda miała problem. Jej córka zadzwoniła z liceum i powiedziała, że wymiotuje i ma gorączkę.

– Potrzebuję, żebyś popilnowała pani Jepperson, gdy pojedę po córkę i zawiozę ją do lekarza – powiedziała.

Nie była zbyt zadowolona z mojej obecności. Było dla nas obu jasne, że nie stanowiłyśmy towarzystwa wzajemnej adoracji.

– Proszę jechać – powiedziałam.

Laquanda czekała, aż powiem coś jeszcze. Gdy tego nie zrobiłam, pokazała numery, pod które należało dzwonić w nagłych wypadkach,

wzięła torebkę i w mgnieniu oka wymknęła się kuchennymi drzwiami. Dom pozostał czysty od mojej ostatniej wizyty – zauważyłam, gdy rzuciłam okiem na kobietę śpiącą w dużej sypialni. Chcąc zabić czas, wyszorowałam pobieżnie łazienkę i kuchnię. Laquanda pomiędzy wygłaszaniem monologów zawsze robiła pranie i zmywała naczynia (nie miała wiele do roboty), a pani Jepperson była przykuta do łóżka, nie miała więc okazji bałaganić w domu. Jej rodzina odwiedzała ją codziennie – córka, syn, ich małżonkowie albo któreś z ośmiu wnucząt. Było też trzech lub czterech prawnuczków.

Spisałam listę potrzebnych rzeczy, przypięłam ją do lodówki (wnuczka pójdzie z nią później do sklepu) i przysiadłam na krawędzi krzesła Laquandy, stojącego przy łóżku. Ustawiła je pod kątem, żeby widzieć drzwi wejściowe, telewizor i panią Jepperson, móc ogarnąć wszystko jednym długim spojrzeniem.

Sądziłam, że pani Jepperson śpi, ale po chwili otworzyła oczy. Obwisłe, pomarszczone powieki sprawiały, że jej brązowe, zamglone oczy były wąskie; a przez to, że miała prawie niewidoczne brwi i rzęsy, wyglądała jak jakiś stary gad wygrzewający się na słońcu.

– Tak naprawdę nie jest taka zła – powiedziała pani Jepperson suchym, szeleszczącym głosem, który zwiększał jeszcze jej podobieństwo do gada. – Mówi, żeby podnieść się na duchu. Ma nudną pracę. – Staruszka uśmiechnęła się lekko, a w jej uśmiechu widać było ślady ogromnego uroku, które można było dostrzec przy kącikach ust.

Nie potrafiłam na to odpowiedzieć.

Pani Jepperson przyjrzała mi się uważnie.

– Jesteś sprzątaczką – powiedziała, jakby przyklejała mi na czole etykietkę.

– Tak.

– Nazywasz się...?

– Lily Bard.

– Wyszłaś za mąż? – Pani Jepperson chyba czuła się zobowiązana zabawić mnie rozmową.

– Nie.

Sprawiła wrażenie, jakby to rozważała.

– Byłam zamężna przez czterdzieści pięć lat – powiedziała po przerwie.

– Kupę czasu.

– Tak. I nie mogłam go znieść przez ostatnie trzydzieści pięć lat.

Wydałam przytłumiony odgłos, który tak naprawdę był próbą zdławienia wybuchu śmiechu.

– Wszystko w porządku, młoda damo?

– Tak, proszę pani, wszystko gra.

– Moje dzieci i wnuki nie znoszą, gdy tak gadam – powiedziała pani Jepperson swoim spokojnym głosem. Jej wąskie brązowe oczy powędrowały w moją stronę, by przyjrzeć mi się dokładniej. – Ale to luksus wynikający z przeżycia swojego męża. Możesz o nim gadać, ile chcesz.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam.

– Więc oto jestem i gadam – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Miał ciągoty do innych kobiet. Nie mówię, że do czegokolwiek doszło, ale gapił się na nie często. Lubiał głupie kobiety.

– Czyli popełnił błąd.

Po chwili zastanowienia roześmiała się. Nawet jej śmiech był suchy i szeleszczący.

– O tak – powiedziała, ciągle rozbawiona. – Dobrze zarządzał tartakiem, zostawił mi tyle, że wystarczy mi do końca życia, i nie musiałam iść uczyć w szkole czy robić innych głupich rzeczy, do których nie zostałam

stworzona. Oczywiście po jego śmierci musiałam prowadzić firmę. Ale dużo już wiedziałam, a nauczyłam się jeszcze więcej.

– Czyli skoro zajmowała się pani tartakiem, wie pani, kto jest właścicielem wszystkich działek w okolicy. – Dotarło do mnie, że mam przed sobą cenne źródło informacji.

Spojrzała na mnie trochę zaskoczona.

– Wiem. Wiedziałam.

– Zna pani Birdie Rossiter, wdowę po M.T. Rossiterze?

– Synową Audie Rossiter?

– Tak. Wie pani, gdzie mieszka?

– Audie dała im tę ziemię. Pobudowali się zaraz przy Farm Hill Road.

– Zgadza się.

– Co z nią?

– Tuż za granicą miasta, po południowej stronie drogi, jest parę akrów lasu.

– Nic tam jeszcze nie wybudowano? – spytała pani Jepperson. – A to niespodzianka. Niecały kilometr za granicami miasta, tak?

Skinęłam głową. A potem, obawiając się, że nie zrozumiała, powiedziałam: – Tak.

– Chcesz wiedzieć, kto jest właścicielem?

– Tak, proszę pani. Jeśli pani wie.

– Mogłabyś pójść do ratusza i to sprawdzić.

– Łatwiej mi zapytać panią.

– Hmm. – Spoglądała na mnie i zastanawiała się. – Sądzę, że ta ziemia należy do rodziny Praderów – powiedziała w końcu.

– Przynajmniej należała jeszcze jakieś pięć lat temu.

– Pani wtedy jeszcze pracowała? – Sądziłam, że pani Jepperson zbliża się do dziewięćdziesiątki.

– Nie miałam nic lepszego do roboty. Mężczyźni, których zatrudniałam, zawozili mnie, gdzie trzeba. Pokazywałam im, że sprawdzam, co robią. Wierz mi, dobrze się pilnowali. Muszą nadal zarabiać pieniądze dla tych moich bezwartościowych prawników.

Uśmiechnęła się i jeśli potrzebowałam dodatkowej wskazówki, że tak naprawdę wcale nie uważała swoich prawników za bezwartościowych, właśnie ją dostałam.

– Joe C. Prader jest właścicielem tej ziemi?

– Tak, o ile dobrze pamiętam. Pozwala rodzinie i przyjaciołom polować na niej. Joe C. jest starszy nawet ode mnie, więc może nie mieć już za dużo przyjaciół. Wcześniej też nie miał ich zbyt wielu.

Pani Jepperson zasnęła bez ostrzeżenia. Było to tak zaskakujące, że upewniłam się, czy oddycha. Wszystko było w porządku, przynajmniej na tyle, na ile byłam w stanie sprawdzić. Wkrótce wróciła Laquanda i też zajrzała do staruszki. Odwiozła córkę do domu, kazała jej wziąć emetrol, napić się piwa imbirowego i położyć do łóżka.

– Wszystko było w porządku, gdy mnie nie było? – zapytała.

– Tak. Ucięłyśmy sobie pogawędkę.

– Ty? I pani Jepperson? Chciałabym to usłyszeć – powiedziała sceptycznie. – Ta kobieta wie wszystko, naprawdę wszystko, o Shakespeare. Przynajmniej o białych, ale też o niektórych czarnych. Ale nie opowiada o tym, o nie. Trzyma buzię na kłódkę.

Wzruszyłam ramionami i zebrałam swoje rzeczy. Gdybym zapytała staruszkę o dawne skandale i ludzi, nie współpracowałyby tak chętnie, jak gdy zapytałam o ziemię. Ziemia to praca. Ludzie nie.

Po powrocie do domu na lunch odsłuchiwałam wiadomości na automatycznej sekretarce. Becca przypomniała sobie o kilku rachunkach, które mogły przyjść podczas jej nieobecności, i chciała mi zostawić czeki

na ich pokrycie. Po zjedzeniu kanapki z tuńczykiem, umyciu zębów i poprawieniu makijażu nadal miałam wolne pół godziny, więc postanowiłam się tym zająć.

Przy tylnym wejściu do budynku stała ciężarówka, częściowo wypełniona kartonami. Bez względu na to, czy mieszkał z Lacey, czy nie, Jerrell pomagał opróżnić mieszkanie Deedry. Nie było go w zasięgu wzroku, uznałam więc, że jest na górze.

Anthony otworzył drzwi. Wyglądał, jakby wyszedł właśnie spod prysznic i narzucił na siebie ubranie.

– Jest Becca? – zapytałam.

– Jasne, wejdz. Ładna pogoda, prawda? Przytaknęłam.

– Zaraz przyjdzie. Bierze prysznic. Byliśmy pobiegać – wyjaśnił.

Kiedy po dłuższej chwili Becca się nie pojawiła, usiadłam. Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś otwiera drzwi do łazienki, ale jeśli Becca z niej wyjrzała, musiała zaraz wejść tam z powrotem. Była kobietą, której dużo czasu zajmowała codzienna pielęgnacja. Jej brat z dużą determinacją podtrzymywał uprzejmą rozmowę, ale ucieszyłam się, gdy pojawiła się Becca i mogliśmy dać sobie spokój. Anthony nie chciał chyba rozmawiać o niczym innym niż o swoim doświadczeniu w pracy z więźniami. Pomyślałam, że jest bliski obsesji.

Becca wyszła z łazienki ubrana tylko w szlafrok. Nawet zaraz po wyjściu spod prysznic nałożyła makijaż.

– Lily – była zaskoczona, że mnie widzi. – Kiedy przyszłaś?

– Jakies dziesięć minut temu.

– Mogłeś mi powiedzieć. – Uderzyła Anthony'ego pięścią w ramię. – Pospieszylabym się.

Poczekalam aż dojdzie do tego, o czym naprawdę miałyśmy rozmawiać. Bank miał mi przesłać czek na pokrycie kosztów utrzymania budynku i

zapewniła mnie, że czeki będą przysyłane, dopóki nie wróci i nie anuluje polecenia płatności. Rachunki będą płacone za pomocą stałego zlecenia, a czek dla mnie zawierał dodatkową kwotę na niespodziewane naprawy.

Wtedy zauważyłam, że Anthony Whitley wpatruje się we mnie trochę zbyt długo, reagując mocniej, niż powinien, na wszystko, co mówiłam. Czyżby Becca chciała, żebym wpadła, bo podobałam się jej bratu? Czy może dlatego była tak długo w łazience? Zaniepokoiła mnie taka możliwość. Niektóre kobiety cieszy każde okazywanie im uwagi przez mężczyzn. Ja nie jestem jedną z nich.

Zakończyłam rozmowę i wycofałam się w kierunku drzwi. Już je otwierałam, gdy Becca zapytała, czy miałam kasety z mieszkania Deedry. Skinęłam głową i miałam zamiar wyjść.

– Jeśli natkniesz się na film, na którym jestem, dasz mi znać? – spytała Becca.

Gapiłam się na nią, myśląc o filmach, które kręciła Deedra.

– Jasne – powiedziałam – ale prawie skończyłam je przeglądać i nie znalazłam nagrania z tobą. Pamiętasz, miałam je przejrzeć ze względu na Marlona?

Becca była zaskoczona.

– Dziwne. Pożyczyłam kamerę od Deedry, żeby nagrać, jak robię pięć pierwszych *kata* i zobaczyć, co robię źle. Obawiam się, że gdy ją oddawałam, zostawiłam w niej kasetę. Zastanawiałam się, czy tam była.

Sprawiła wrażenie tak szczerzej, że byłam zdumiona. Czy ukrywała przed bratem, że ona i Deedra zabawiały się ze sobą? Czy też naprawdę nagrywała swoje *kata*, żeby poprawić ich wykonanie?

– Szeryf otworzyła kamerę i nie było w niej kasety. Jeśli na nią trafię, przyniosę ci ją – powiedziałam.

To był dobry sposób na zakończenie rozmowy, więc zamknęłam drzwi i skierowałam się do wyjścia. Spojrzałam na zegarek. Jeśli się nie pośpieszę, spóźnię się do następnej pracy.

Kiedy podniosłam wzrok, na mojej drodze stał wielki rozgniewany mężczyzna.

Jerrell Knopp wyglądał na dwa razy większego i trzy razy bardziej wrednego, kiedy się złościł, a był bardzo, bardzo zły.

– Lily, czemu wtykasz nos w cudze sprawy? – zapytał rozwścieczony.

Potrząsnęłam głową. To chyba był dzień, w którym wprawiano mnie w zdumienie. Co ja takiego zrobiłam Jerrellowi?

– Poszłaś na policję i powiedziałaś, że pokłóciłem się z Deedrą tego dnia, gdy ten chłopak popisał jej samochód.

– Nic takiego nie zrobiłam – odparłam szybko. Tego Jerrell się nie spodziewał. Spojrzył na mnie podejrzliwie.

– Jaja sobie robisz?

Z pewnością zdjął maskę grzeczności, którą nosił, gdy jego żona była w pobliżu.

– Nie śmiałabym.

– Ktoś powiedział policji, że kłóciłem się z Deedrą. Uważasz, że tego ranka się pokłóciliśmy? Powiedziałem jej parę słów prawdy, które ktoś powinien był jej powiedzieć, pewnie, ale kłótnie... Nie, do cholery!

To była prawda. Powiedział całkiem wprost swojej pasierbicy, że nie powinna rozkładać nóg i że powinna być szczególnie dyskretna, jeśli sypiała z mężczyzną o innym kolorze skóry. Jeśli dobrze pamiętam, powiedział jej też, że była tylko dziwką, której nikt nie płacił.

– Nikomu nie powiedziałam o tym, co się stało tamtego ranka – powtórzyłam.

– Więc skąd policja o tym wie? I po cholere Lacey spakowała mi walizkę i kazała wynieść się do motelu? – Twarz Jerrella, surowa, starzejąca się i przystojna, marszczyła się w tłumionej złości.

Ludzie szeryfa mogli się tego dowiedzieć tylko od kogoś, kto był w budynku w chwili, gdy miała miejsce kłótnia. Obstawiałabym, że to Becca. Mówili podniesionym głosem, a ona mieszkała tuż pod Deedrą. Ale miałam też inny pomysł, dlatego Lacey kazała się Jerrellowi wyprowadzić.

– Może Lacey usłyszała, że spałeś z Deedrą, zanim zacząłeś się z nią umawiać – zasugerowałam.

To było strzelanie w ciemno, ale wyglądało, że trafiłam w tętnicę. Jerrell zbladł. Zachwiał się, jakbym naprawdę w niego strzeliła. Gdyby zatrząsł się trochę mocniej, musiałabym go podtrzymać, żeby nie upadł, a tego wolałabym uniknąć. Po prostu nie lubiłam Jerrella Knoppa, tak samo jak on nie lubił mnie.

– Kto tak mówił? – zapytał dławiącym się głosem, przez co zaczęłam się o niego martwić bardziej, niż chciałam.

Wzruszyłam ramionami. Gdy myślał o tym, co powiedzieć, odeszłam.

Byłam pewna, że nie pójdzie za mną, i miałam rację.

Gdy około piątej wróciłam do domu, na automatycznej sekretarce była jedna wiadomość. Skok Farraclough, zastępca Claude'a, chciał, żebym przyszła na policję podpisać zeznanie dotyczące nocy, kiedy wyciągnęłam Joego C. z jego domu. Chciał mi też zadać kilka pytań. Całkiem zapomniałam o podpisaniu zeznań; zbyt wiele się wtedy wydarzyło. Odsłuchiwałam jeszcze raz wiadomości, próbując zinterpretować głos Skoka. Czy słyszałam w jego głosie wrogość? Albo podejrzliwość?

Nie chciałam iść na posterunek. Chciałam wymazać ze swojego życia wszystkie ślady Deedry Dean, chciałam myśleć o Jacku, który miał ze mną zamieszkać, chciałam czytać albo ćwiczyć – wszystko, byle nie odpowiadać

na pytania. Wykonałam całą serię drobnych, niepotrzebnych czynności, by opóźnić odpowiedź na wezwanie Skoka.

Ale nie możesz zignorować nakazu policji, przynajmniej jeśli chcesz nadal mieszkać i pracować w małym miasteczku.

Siedziba policji w Shakespeare mieściła się w odnowionym budynku w stylu rustykalnym przy Main Street. Stary posterunek, przysadzista budowla z czerwonej cegły stojąca tuż przed więzieniem, został uznany przez inspektora za niebezpieczny. Podczas gdy mieszkańcy Shakespeare debatowali nad zebraniem pieniędzy na budowę nowego, policjanci tkwili w niezgrabnie przebudowanym domu mniej więcej przecnicę od sądu. Ten szczególny dom był wcześniej mieszkaniem służbowym dozorczy więziennego i łączył się z więzieniem.

Weszłam cicho i zajrzałam za ladę po lewej stronie. Drzwi do gabinetu Claude'a były zamknięte, a w środku było ciemno, więc albo Claude jeszcze nie przyszedł do pracy, albo wyszedł wcześniej. Wcale mi się to nie podobało.

Dyżur pełniła funkcjonariuszka, której nie znałam. Była blondynką o wąskiej twarzy, krzywych zębach i smutnych oczach w kolorze tabaki. Zapisawszy moje nazwisko, przespacerowała się do oddzielonej części z tyłu głównej sali, po czym przyczłapała z powrotem, machając ręką, żeby mi pokazać, że mam przejść za ladę.

Skok Farracough czekał w swojej klitce, oddzielonej od pozostałych pomieszczeń szarymi panelami wyłożonymi wykładziną dywanową. Był z nim komendant straży pożarnej. Frank Parrish wyglądał lepiej niż wtedy, gdy widziałam go ostatni raz i gdy miał na sobie roboczy strój, był spocony i osmalony przez pożar w domu Joego C. Nie wyglądał jednak na szczęśliwszego. Tak naprawdę sprawiał wrażenie bardzo skrepowanego.

Przypomniałam sobie, że w budynku byli inni ludzie, i rozbawiło mnie, jaką ulgę odczułam z tego powodu. Czy naprawdę bałam się, że zastępca komendanta policji i komendant straży zrobią mi krzywdę? Wytłumaczyłam sobie, że to idiotyczne.

I pewnie tak było. Ale nigdy nie czułam się komfortowo, gdy byłam sama z mężczyznami. Rzuciłam okiem za okno – słońce zachodziło.

Skok wskazał na niewygodne krzesło z prostym oparciem, które stało po drugiej stronie biurka. Frank Parrish siedział na lewo od Skoka.

– Oto pani zeznanie – powiedział szorstko Skok. Wręczył mi kartkę papieru. Wydawało się, że od pożaru upłynęły całe lata. Ledwo pamiętałam składanie zeznań. Nie zawierały zbyt wiele. Szłam, zobaczyłam kogoś na podwórku, sprawdziłam, zobaczyłam ogień, wyciągnęłam Joego C.

Dokładnie przeczytałam dokument. Takich rzeczy nie należy tylko przeglądać. Nie można ufać, że to, co tam zapisano, naprawdę zostało powiedziane. Ale to wyglądało na moje słowa. Zastanowiłam się porządnie, czy czegoś nie pominęłam, próbując sobie przypomnieć inne szczegóły, które mogły okazać się ważne dla prowadzących śledztwo.

Nie, to był dokładny opis. Wzięłam długopis z kubka stojącego na stole i podpisałam zeznanie. Odłożyłam wszystko i wstałam.

– Panno Bard?

Westchnęłam. Z jakiegoś powodu miałam przecucie, że nie pójdzie tak łatwo.

– Tak?

– Proszę usiąść. Chcemy zadać jeszcze kilka pytań.

– Ale tu jest wszystko. – Wskazałam na kartkę papieru na biurku porucznika.

– Proszę nam pomóc, dobrze? Chcemy to jeszcze raz omówić, sprawdzić, czy czegoś sobie pani nie przypomniała.

Zrobiłam się nieufna. Czułam, że włoski na karku stają mi dęba. To nie było rutynowe przesłuchanie. Powinni mnie o to zapytać, zanim podpisałam zeznanie.

– Jest ku temu jakiś szczególny powód?

– Tylko... proszę nam pozwolić omówić to raz jeszcze.

Usiadłam bez pośpiechu, rozważając, czy powinnam zadzwonić po adwokata.

– A więc – zaczął Skok, wyciągając nogi pod małym biurkiem – powiedziała pani, że kiedy podeszła pani do tylnych drzwi domu Praderów, otworzyła je swoim kluczem.

– Nie, drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Czy wiedziała pani o tym, że Joe C. nie zamyka drzwi na noc?

– Nie byłam tam nigdy wcześniej w nocy.

Z jakiegoś powodu Skok zaczerwienił się, jakbym stroiła sobie z niego żarty.

– No tak – powiedział ironicznie. – Czyli skoro tylne drzwi nie były zamknięte, nie musiała pani używać swojego klucza. Miała go pani z sobą?

– Nigdy nie miałam klucza do domu Praderów. – W myślach błogosławiłam wszystkie te razy, gdy Joe C. powoli podchodził do drzwi, żeby mnie wpuścić. Błogosławiłam go za jego podejrzliwość i zręczliwe usposobienie.

Skok nie dawał za wygraną. Frank Parrish patrzył w dal, jak gdyby wyobrażał sobie, że jest gdzieś indziej.

– Pani pracodawca nie dał pani klucza do domu. Czy to nie dziwne?

– Owszem.

– Jest pani pewna, że tak właśnie było?

– Proszę zapytać Callę.

– Panna Prader będzie wiedziała? – Tak.

Po raz pierwszy Skok stracił pewność. Wykorzystałam przewagę.

– Może pan zapytać kogokolwiek z jego rodziny. Zawsze każe mi na siebie czekać, gdy otwiera drzwi. Podchodzi tak wolno, jak to tylko możliwe. I sprawia mu to wielką przyjemność.

Tym razem Parrish był zaskoczony. Odwrócił się i spojrzał na Skoka. Zaniepokoiłam się jeszcze bardziej.

– Czy zamierzacie mnie o coś oskarżyć? – spytałam nagle.

– Ależ skąd, panno Bard.

Komendant straży nie powiedział ani słowa, odkąd tu weszłam. Nadal wyglądał nieswojo, siedział z rękoma założonymi na klatce piersiowej. Ale też nie wyglądało, jakby miał zamiar kwestionować słowa Skoka Farraclough.

– Proszę powiedzieć nam wszystko od początku... Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Ostatnia część zdania ewidentnie była dorzucona po to, by złagodzić wymowę całej wypowiedzi. Miękka i charakterystyczna dla południa jak bawełna.

– Wszystko jest w moim zeznaniu. – Miałam przecucie, którego nie potrafiłam zignorować. – Nie mogę dodać niczego nowego.

– Ale na wszelki wypadek proszę sprawdzić, czy czegoś pani nie pominęła.

– Nie pominęłam.

– Czyli jeśli ktoś mówi, że widział panią w innym miejscu, robiącą coś innego, to jest w błędzie.

– Zgadza się.

– Jeśli ktoś twierdzi, że widział panią za domem, z kanistrem benzyny w dłoni, a nie przed domem, gdzie zauważyła pani tajemniczego uciekającego intruza, to ten ktoś nie ma racji?

- Nie ma.
- Przecież nie lubi pani Joego C?
- A ktoś go lubi?
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Nie. Sądzę, że nie muszę na nie odpowiadać. Złożyłam zeznania.

Wychodzę.

I gdy nadal rozważali moje słowa, wyszłam. Idąc równym krokiem w kierunku wyjścia z posterunku, postanowiłam, że gdyby poszli za mną i mnie aresztowali, zadzwoniłabym do kuzynki Carltona, Tabithy. Była adwokatem w Montrose i spotkałam ją raz czy dwa, gdy była z wizytą u Carltona.

Gardner McClanahan, jeden z członków nocnego patrolu, nalewał sobie do kubka kawy z dużego dzbanka stojącego przy biurku dyspozytora. Przywitał mnie skinieniem głowy, gdy go mijałam, a ja odwzajemniłam powitanie. Widziałam Gardnera tamtej nocy, gdy spacerowałam, tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar. Byłam pewna, że Farracough o tym wiedział. Fakt, że Gardner mnie widział, niczego nie udowadniał, poza tym, że nie próbowałam się wówczas ukrywać. Jednak świadomość, że mnie widział i mógł to poświadczyć, poprawiała mi trochę samopoczucie.

Przeszłam przez biuro, patrząc przed siebie. Byłam już prawie przy drzwiach. Próbowałam sobie przypomnieć, czy numer telefonu do Tabithy Cockroft mam zapisany w notatniku z adresami. Zastanawiałam się, czy usłyszę za sobą głos nakazujący mi zatrzymać się, a Gardnerowi mnie aresztować.

Otworzyłam drzwi i nikt mnie nie zatrzymał, nikt za mną nie wołał. Byłam wolna. Dopóki się nie rozluźniłam, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam spięta. Stałam przy samochodzie, walcząc z kluczykami i z

trudem łapiąc powietrze. Gdyby skuli mnie kajdankami... Wzdrygnęłam się na samą myśl.

Logicznie rzecz biorąc, nie było powodu, dla którego zastępca komendanta policji czy komendant straży mogliby mnie o coś podejrzewać. Zgłosiłam śmierć Deedry, ocaliłam życie Joego C. Jako przykładowy obywatel dwa razy zadzwoniłam pod numer alarmowy. Ale coś we mnie trwało w tym przerażeniu, bez względu na to, jak bardzo mój zdrowy rozsądek zapewniał mnie, że Skok Farraclough tylko węszył.

– Hej, Lily.

Odwróciłam głowę, a moje palce zacisnęły się w pięści.

– Słyszałaś już wieści?

Gardner stał na ganku, dmuchając na kubek gorącej kawy.

– Jakie?

– Stary Joe C. Prader zmarł.

– Zmarł?

A więc to było powodem ponownego przesłuchania. Teraz, kiedy oprócz podpalenia doszło do morderstwa – a mimo zaawansowanego wieku Joego C. z pewnością to pożar spowodował jego śmierć – śledztwo będzie musiało nabrać szybszego tempa.

– Tak, zmarł przed chwilą, będąc ciągle w szpitalu. Straciłam następnego klienta. Cholera. Pokiwałam głową z żalu, a Gardner zrobił to samo. Sądził, że oboje w myślach potępialiśmy te okropne czasy, w których przyszło nam żyć, w których starszy człowiek mógł zostać podpalony we własnym domu. Choć właściwie – pomyślałam – gdyby Joe C. żył w jakiegokolwiek innej epoce, ktoś wykończyłby go dużo wcześniej.

Gardner zszedł powoli ze schodów i stanął obok mnie, rozejrzał się po cichej ulicy, nocnym niebie, wszystkim, byle tylko nie patrzeć na mnie.

– Wiesz, nie mają na ciebie nic – powiedział tak cicho, że ktoś stojący od nas w odległości trzydziestu centymetrów nic by nie usłyszał. – Skok się na ciebie wziął, nie mam pojęcia dlaczego. Nikt nie powiedział, że widział cię na podwórku z kanistrem benzyny. Uratowałaś staruszkowi życie i to nie jest twoja wina, że i tak zmarł. Jesteś w porządku, Lily Bard.

Oddychałam nierówno.

– Dzięki, Gardner.

Nie patrzyłam mu w twarz, ale tak jak on wpatrywałam się w noc. Gdybyśmy patrzyli na siebie, stałoby się to zbyt osobiste.

– Dziękuję – powtórzyłam i wsiadłam do samochodu.

W drodze do domu zastanawiałam się, czy zadzwonić do Claude'a. Nie chciałam przeszkadzać mu, gdy spędzał czas z Carrie. Będą jednak małżeństwem przez długie lata, a parę minut rozmowy z nim teraz może mi zaoszczędzić kolejnych nieprzyjemnych spotkań ze Skokiem Farraclough. Skok nie próbowałby mnie wystraszyć i zmusić do powiedzenia czegoś głupiego, gdyby Claude wiedział o jego działaniach.

Teraz, gdy zmarł Joe C., jego majątek zostanie podzielony. Zastanawiałam się, czy na wpół spalony dom zostanie zburzony. To działka była wiele warta, nie dom. Podpalacz poszedł na skróty, eliminując dom i jego upartego mieszkańca. Może nie miał zamiaru zabijać Joego C? Nie, zostawienie bardzo starego człowieka w płonącym domu z pewnością świadczyło o tym, że podpalaczowi los Joego C. był zupełnie obojętny.

Po powrocie do domu kręciłam się wokół telefonu. W końcu zdecydowałam, że nie zadzwonię do Claude'a. Za bardzo przypominałoby to skarżenie tatusiowi na inne dzieciaki, biadolenie.

Gdy odsuwałam rękę od słuchawki, telefon zadzwonił.

Calla Prader.

– No i umarł – powiedziała. Była jakoś dziwnie zaskoczona.

- Słyszałam.
 - Pewnie w to nie uwierzysz, ale będzie mi go brakowało. Joe C. rechotałby z zachwytu, gdyby to usłyszał.
 - Kiedy pogrzeb? – zapytałam po krótkiej chwili.
 - Jego ciało jest już w Little Rock, robią teraz sekcję – powiedziała takim tonem, jakby Joe C. wykazał się sprytem, trafiając tam tak szybko. – Mają tam wolne przebiegi, więc mówią, że przywiozą go z powrotem jutro. Muszą zrobić sekcję, żeby dokładnie określić przyczynę śmierci, na wypadek, gdyby złapano tego, kto podłożył ogień. Mogą go wtedy oskarżyć o morderstwo, jeśli Joe C. faktycznie zmarł w wyniku pożaru.
 - Może będzie ciężko to określić.
 - Wiem tylko tyle, ile przeczytałam w książkach Patricii Cornwell – powiedziała Calla. – Jestem pewna, że ona rozwiązałaby taką zagadkę.
 - Czy coś mogę dla ciebie zrobić? – zapytałam, próbując skłonić ją do dojścia do sedna.
 - Ach tak, zapomniałam, po co do ciebie dzwonię. Dopiero teraz zorientowałam się, że Calla wypła parę głębszych.
 - Słuchaj, Lily, planujemy wyprawić pogrzeb w czwartek o jedenastej. Nie miałam zamiaru na niego iść.
 - Zastanawialiśmy się, czy mogłabyś nam później pomóc. Spodziewamy się, że przyjadą prawnuki z innego miasta i mnóstwo pozostałych członków rodziny, więc po pogrzebie wyprawiamy małą stypę u Winthropów. Mają największy dom z nas wszystkich.
- W ostatnim zdaniu wyczułam ślad zazdrości.
- Co miałabym robić?
 - Pani Bladen przygotowuje jedzenie, a jej siostrzeniec dostarczy je na miejsce w czwartek rano. Trzeba poprzekładać je na srebrne tace należące do Beanie, pilnować, żeby były pełne, zmywać naczynia, takie tam.

– Musiałabym poprzekładać moje czwartkowe zobowiązania. – W czwartki zaczynałam od domu Drinkwaterów, a Helen Drinkwater nie była elastyczna. Po przejrzeniu w głowie listy moich czwartkowych klientów uznałam, że ona stanowi jedyny problem. – O jakiej zapłacie rozmawiamy? – Lepiej było to wiedzieć, zanim się zgodzę.

Calla była przygotowana na to pytanie. Kwota, którą wymieniła, była wystarczająco duża, by wynagrodzić niedogodności, przez które będę musiała przejść. Potrzebowałam tych pieniędzy. Ale miałam jeszcze jedno pytanie.

– A Winthropom to nie przeszkadza? – spytałam, ostrożnie utrzymując neutralny ton głosu.

Nie przestąpiłam progu ich domu od co najmniej pięciu miesięcy.

– To, że będziesz tam pracować? Kochanie, to Beanie cię zasugerowała.

To przeze mnie jej teść trafił do więzienia i Beanie zniosła to gorzej niż jej mąż, jedyny syn Howella Winthropa. Wyglądało na to, że teraz była gotowa puścić sprawę w niepamięć.

Przez krótką cudowną chwilę wyobrażałam sobie, że Beanie znów mnie zatrudnia, jej przyjaciółki znów dają mi pracę, a moja sytuacja finansowa jest równie dobra jak wtedy, gdy była moją najlepszą klientką.

Nie znosiłam, gdy czegoś tak mocno potrzebowałam. Gdy potrzebowałam czegoś, co mógł mi dać tylko ktoś inny.

Bez skrupułów odcięłam tę pajęczą nitkę marzeń i powiedziałam Calli, że oddzwonię, gdy dowiem się, czy mogę przełożyć swoje czwartkowe obowiązki.

Uznałam, że byłabym potrzebna od mniej więcej ósmej rano (żeby odebrać jedzenie, przygotować tace, umyć naczynia po śniadaniu, być może nakryć do stołu w jadalni Winthropów) do przynajmniej trzeciej po południu. Nabożeństwo o jedenastej, później na cmentarz i z powrotem...

Żałobnicy powinni przyjechać do domu Winthropów piętnaście po dwunastej. Skończyliby jeść około wpół do drugiej. Później musiałabym pozmywać, pozamiatać, odkurzyć dywany...

Gdy Helen Drinkwater dowiedziała się, że rezygnując z mojego sprzątanego w czwartek, wyświadczy przysługę Winthropom, zgodziła się, żebym przyjechała do niej w środę rano.

– Tylko ten jeden raz – przypomniała stanowczo.

Biuro podróży, w którym sprzątałam w czwartek po południu, powinnam załatwić bez problemu, a wdowiec, dla którego sprzątałam dokładnie cały dom – kuchnia, łazienka, ścieranie kurzów i odkurzanie podłóg – powiedział, że środa jest w porządku, może nawet lepsza niż czwartek.

Oddzwoniłam do Calli i powiedziałam, że przyjdę.

Perspektywa zarobienia dodatkowych pieniędzy poprawiła mi nastrój na tyle, że nie rozmyślałam już o moich problemach ze Skokiem Farraclough. Gdy kładłam się spać i zadzwonił Jack, brzmiałam pozytywnie i chyba trochę tej radości udzieliło się jemu. Powiedział, że rozglądał się za mniejszym mieszkaniem albo nawet pokojem u kogoś w domu i wynajęciem swojego trzypokojowego mieszkania.

– Jeśli nadal jesteś pewna – powiedział ostrożnie.

– Tak. – Pomyślałam, że takie stwierdzenie może nie wystarczyć, więc dodałam: – Tego właśnie chcę.

Gdy tego wieczoru zasypiałam, przyszedł mi do głowy dziwny pomysł: że własną śmiercią Joe C. uszczęśliwił mnie bardziej niż przez całe swoje życie.

I chyba w ramach kary za tę przyjemność tej nocy miałam sny.

Nie swoje zwykłe koszmary, które dotyczą wycinania nożem wzorów na moim ciele i mężczyzn chrząkających jak świnie.

Śniła mi się Deedra Dean.

Byłam w budynku obok, w Apartamentach Ogrodowych. Było ciemno. Stałam na korytarzu na dole i patrzyłam w górę. Na półpiętrze było widać światło i w jakiś sposób wiedziałam, że pochodziło z otwartych drzwi do mieszkania Deedry.

Nie chciałam wchodzić po schodach, ale wiedziałam, że muszę. We śnie poruszałam się lekko, bezszelestnie i bez wysiłku. Byłam na górze, zanim zdałam sobie sprawę z tego, że się poruszam. Poza tym czymś przede mną, w budynku nie było nikogo.

Stałam w drzwiach do mieszkania Deedry i zaglądałam do środka. Siedziała na kanapie, a niebieskie światło z migoczącego telewizora rozświetlało jej twarz. Była ubrana, nienaruszona, mogła ruszać się i rozmawiać. Ale nie żyła.

Upewniła się, że patrzę jej w oczy. Po czym wyciągnęła pilota. Tego pilota, którego widziałam w jej rękach wiele, wiele razy, który był duży i obsługiwał zarówno telewizor, jak i magnetowid. Gdy patrzyłam na jej palce na pilocie, wcisnęła przycisk PLAY. Odwróciłam głowę, żeby popatrzeć na ekran, ale z miejsca, w którym stałam, widziałam tylko niewyraźną poruszającą się światłość. Spojrzałam znów na Deedrę. Wolną ręką poklepała miejsce obok siebie na kanapie.

Gdy zbliżałam się do niej, wiedziałam, że nie żyje i nie powinnam podchodzić bliżej. Wiedziałam, że patrzenie na ekran wywoła straszne dla mnie skutki. W moim śnie tylko zmarli mogli oglądać ten film. Żywi nie byliby w stanie znieść takiego seansu. Jednak podświadomość działa tak, a nie inaczej, musiałam więc obejść stolik i usiąść obok Deedry. Gdy byłam blisko, nie czułam żadnego zapachu. Ale jej skóra była pozbawiona koloru, a oczy tęczęwek. Wskazała na ekran telewizora. Wiedząc, że nie mogę, a jednocześnie muszę, spojrzałam w ekran.

Widok był tak straszny, że się obudziłam.

Z trudem złapałam oddech. Wiedziałam, co zobaczyłam w tej śmiertelnie przerażającej wizji. Widziałam to, co widzi Deedra. Widziałam pokrywę trumny, od środka, a nad nią ziemię, która była moim grobem.

ROZDZIAŁ 13

Następnego ranka byłam posępna i wkurzona. Próbowałam zlokalizować źródło tych nieuzasadnionych emocji i odkryłam, że byłam zła na Deedrę. Nie chciałam o niej śnić, nie chciałam znów oglądać jej ciała, w żadnej postaci, sennej wizji czy na jawie. Dlaczego tak mnie obchodziła?

Zamiast pójść do Body Time, kopałam i waliłam w swój worek treningowy wiszący na mocnym łańcuchu w pokoju, który miał być pokojem gościnnym. Łańcuch skrzypiał i jęczał, gdy rozprawiałam się ze swoim strachem.

W ciele Deedry nie znaleziono nasienia, nie było siniaków ani otarć w okolicach intymnych, tylko ślady tego, że na jakiś czas przed śmiercią uprawiała seks. Ale w pewien sposób została zgwałcona. Wzięłam głęboki oddech i dalej okładałam worek pięściami. Z prawej, z lewej, znów z prawej i znów z lewej. Zaczęłam kopać prawą nogą: w krocze, w głowę. A później w krocze i w głowę lewą nogą.

Okej, czyli to był powód, źródło dręczącego nieszczęścia, które ogarniało mnie, kiedy myślałam o Deedrze. Ktoś, kto wepchnął w nią tę butelkę, potraktował ją jak kawałek jakichś podrobów, jak mięso uformowane w konkretny kształt, ale bez osobowości, bez duszy.

– Nie znaczyła wiele – powiedziałam do pustego pokoju. – Nie znaczyła wiele.

I uderzyłam worek. Byłam zmęczona. Worek ledwo drgnął.

Zachowująca się jak podlotek kobieta, która nie miała zbyt wiele oleju w głowie i której jedynymi talentami była encyklopedyczna wiedza dotycząca makijażu oraz zdolność efektywnego obsługiwania kamery i akcesoriów – oto cała Deedra Dean.

Przemaszerowałam z powrotem do swojej małej pralni i wepchnęłam ubrania do pralki. W kieszeni niebieskich dżinsów wyczułam coś twardego. Byłam nadal w parszywym nastroju. Wsunęłam rękę do kieszeni i wyciągnęłam dwa przedmioty. Rozłożyłam palce i wpatrywałam się w to, co w nich trzymałam. Klucze. Zawsze od razu oznaczałam wszystkie klucze, skąd się wzięły te?

Zamknęłam oczy i przebiegłam w myślach cały tydzień. Otworzyłam oczy i przyjrzałam się kluczom dokładniej. No tak, jeden otwierał drzwi wejściowe do Apartamentów Ogrodowych, dostałam go wczoraj od Beccy. A drugi? Nagle zobaczyłam, jak czyjaś dłoń kładzie go na mojej wyciągniętej dłoni, a ja zaciskam ją i wsuwam klucz do kieszeni. No jasne! To był klucz do mieszkania Deedry, ten, który oddał nam Marlon Schuster. Zmusiliśmy go do tego z Beccą. Becca o niego nie poprosiła. To nie było w jej stylu. Zawsze dbała o szczegóły. Oddam jej go.

Wtedy przypomniałam sobie, że miałam pójść do Drinkwaterów tego ranka, a nie nazajutrz, i zerknęłam na zegarek. Nie miałam teraz czasu iść do Beccy. Wepchnęłam klucz do kieszeni czystych dżinsów, które miałam na sobie, i włączyłam pralkę. Musiałam się zbierać, jeśli chciałam posprzątać tego ranka wszystko, co miałam w planach.

Jakby w ramach kary za to, że przyszłam innego dnia, Helen Drinkwater zostawiła w domu wyjątkowy bałagan. Normalnie u Drinkwaterów było czysto i schludnie. Jedyne bałagan powodowały wnuki, które mieszkały kilka domów dalej i odwiedzały dziadków dwa, trzy razy w tygodniu. Ale dziś Helen nie miała okazji (jak wyjaśniła w liściku, który zostawiła) posprzątać szczątków rozbitej doniczki. I zostawiła dla mnie na łóżku czystą pościel, choć na ogół sama ją zmieniała, gdyż była zwolenniczką nakładania prześcieradeł w szczególny sposób. Zazgrzytałam zębami i

zabrałam się do roboty, powtarzając sobie kilkakrotnie, jak ważni dla mojej sytuacji finansowej byli Drinkwaterowie.

Poświęciłam trochę dodatkowego czasu, bo nie chciałam, żeby Helen mogła powiedzieć, że cokolwiek zrobiłam niedbale. Prosto od Drinkwaterów pojechałam do mniejszego domku Alberta Tannera w nieco gorszej dzielnicy Shakespeare.

Albert Tanner przeszedł na emeryturę w dniu swoich sześćdziesiątych piątych urodzin, a miesiąc później jego żona zmarła, stojąc w kolejce do kasy w WalMartcie. Trzy tygodnie później zaczęłam dla niego pracować. Przez jakieś pięć miesięcy miałam okazję obserwować, jak obchodził żałobę po śmierci żony. Później jego pogodna natura zwyciężyła. Stopniowo w jego koszach na śmieci było coraz mniej chusteczek higienicznych. Napomknął kiedyś, jak bardzo zmniejszyły się jego rachunki telefoniczne, gdy dzwonił do dzieci mieszkających w innym mieście raz w tygodniu, a nie raz dziennie. Z czasem troskliwe parafianki przestały zapełniać jego lodówkę zapiekankami domowej roboty, a Albert wypełnił ją mrożonymi dietetycznymi daniami do przygotowania w mikrofalówce oraz rybami i mięsem jelenia, którego sam upolował. Jego kosz na brudną bieliznę zapełniał się szybciej, gdy Albert zaczął częściej brać prysznic i częściej się przebierał, co było skutkiem ubocznym bardzo zapchanego kalendarza. Zauważyłam też, że nie zawsze musiałam ścielić jego łóżko.

Gdy tego ranka weszłam do jego domu, Albert szykował się na lunch w miejscowym klubie dla seniorów, na który zabierał najlepszą przyjaciółkę swojej żony.

– Jak wyglądam, Lily? – zapytał.

Wyciągnął ręce i pozwolił mi się dokładnie przyjrzeć. Albert był bardzo niepewny w kwestii doboru kolorów. Wcześniej te estetyczne problemy rozwiązywała jego zmarła żona, teraz często prosił o pomoc mnie.

Dziś miał na sobie ciemnozieloną koszulkę polo, spodnie khaki z zakładkami, ciemnozielone skarpetki i skórzane mokasyny, więc łatwo było mi wyrazić aprobatę. Powinien wybrać się do fryzjera, ale doszłam do wniosku, że o tym wie. Byłam gotowa nadzorować go tylko w niewielkim stopniu. Rób to częściej, a sprowadzi się to do matkowania. Albo żonowania.

Parę minut później wyszedł, a ja jak zwykle zabrałam się do pracy. Wiedziałam, że tak naprawdę był zadowolony, mając dobry powód, żeby wyjść, gdy pracowałam. Nie lubił patrzeć, jak sprzątam, nie czuł się komfortowo, gdy krzątałam się po jego domu. Czuł się wtedy, jakby był kiepskim gospodarzem.

Gdy ścierałam kurze w pokoju dziennym, w którym Albert spędzał większość czasu, automatycznie zabrałam się do doskonale znanego mi porządkowania jego kaset wideo. Albert Tanner był dobrze wychowanym i uprzejmym człowiekiem i rzadko kiedy robił naprawdę duży bałagan, ale w ciągu tych wszystkich miesięcy, kiedy dla niego pracowałam, nigdy nie odłożył kasety do pudełka. Podobnie jak Deedra, nagrywał dużo programów telewizyjnych i oglądał je wieczorami. Wypożyczał filmy, kupował filmy. Nietrudno było się domyślić, że jeśli Albert jest w domu, to siedzi przed telewizorem.

Kiedy skończyłam, zostało mi jedno puste pudełko. Szybkie przyjrzenie się szafce nie przyniosło żadnych rezultatów. Nie było żadnej kasety. Włączyłam magnetowid i małe światelko, które się zaraz po tym zapaliło, powiadomiło mnie, że Albert zostawił w środku kasetę. Nacisnęłam guzik i kasetę się wysunęła. Sprawdziłam, że została przewinięta do początku, i włożyłam ją do pudełka. Gdyby nie była przewinięta, zostawiłabym ją w magnetowidzie na wypadek, gdyby Albert nie skończył jej oglądać.

Gdy otworzyłam drzwi szafki na telewizor, żeby odłożyć filmy na półkę, przyszło mi do głowy coś tak interesującego, że nie zdałam sobie nawet sprawy, kiedy skończyłam robić z nimi porządek. Może właśnie tam była zaginiona kasetka – kasetka, którą Becca zostawiła w mieszkaniu Deedry. Może została w magnetowidzie. O ile dobrze wiedziałam, nikt nie włączał tego urządzenia, odkąd odnaleziono ciało Deedry.

To musiała być ostatnia kasetka, którą obejrzała Deedra. Nie jestem przesądna, zwłaszcza jeśli chodzi o technologie, ale coś w związku z tą myślą – może samo to, że przyszło mi do głowy – sprawiło, iż poczułam ciarki na plecach. Zbyt wyraźnie pamiętałam swój sen.

Najprawdopodobniej kasetka zawierała – rozmyślałam nad tym, gdy dokładnie składałam pranie Alberta Tannera – nagrania programów, które Deedra zawsze oglądała w sobotni wieczór. W sobotnią noc i niedzielny poranek Deedra miała towarzystwo (Marlona), więc w niedzielę po powrocie z kościoła i po ucięciu sobie z matką pogawędki przez telefon pewnie nie mogła się doczekać chwili, gdy nadrobi zaległości serialowe. Włączyła kasetę. Albo może miała wystarczająco dużo czasu, żeby obejrzeć wszystko, co nagrała, i z jakiegoś powodu włączyła jeszcze nagranie Beccy.

Zastanawiałam się, czy Lacey będzie wkrótce chciała, żebym dokończyła pakowanie rzeczy Deedry. Mogłabym wtedy sprawdzić, co było na kasecie.

Miałam klucz w kieszeni.

Mogłam sprawdzić choćby zaraz.

Byłam taka cnotliwa i tak bardzo się chroniłam przed podejrzeniami, że od razu oddałam swój klucz policji, ale teraz kolejny klucz prawie dosłownie wpadł mi w ręce.

Czy użycie go byłoby czymś złym? Lacey dała mi kasetę, więc nie powinno być problemem, że wezmę jeszcze jedną z magnetowidów. Problem

w tym, że musiałabym użyć tego kompletu kluczy, żeby wejść do mieszkania.

Byłoby lepiej, gdybym miała świadka.

Wróciłam do domu, żeby zjeść późny lunch, i przez okno w kuchni zobaczyłam, że Claude zatrzymał się właśnie przed budynkiem. Widziałam, jak skręca samochodem w kierunku tylnego wejścia. Uznałam, że to rozwiązałoby mój problem.

Kto byłby bardziej wiarygodnym świadkiem niż komendant policji?

Claude otwierał drzwi, gdy piętnaście minut później podniosłam rękę, by do nich zapukać.

Lekko podskoczył ze zdziwienia i zaraz przeprosił.

– Jak się udała podróż? – zapytałam. Uśmiechnął się.

– Fajnie było się stąd wyrwać na parę dni, na każdy posiłek chodziliśmy do innej restauracji. Niestety, od tamtej pory mam problem z żołądkiem. – Gdy mówił, jego twarz wykrzywił grymas.

Kiedy porozmawialiśmy już o Hot Springs, o hotelu, w którym z Carrie nocowali, o tym, ile rzeczy mu zostało do spakowania przed przeprowadzką do domu żony, wyjaśniłam, o co chodzi, podczas gdy Claude bezwiednie masował się po brzuchu. Słuchał, poświęcając mi zaledwie połowę zwykłej uwagi.

– Czyli – zadudnił Claude powolnym, głębokim tonem – uważasz, że to ta kasetka, której potrzebuje Becca?

– Być może. I wyjeżdżają z bratem na wakacje jutro, sądzę, że zaraz po pogrzebie. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby pójść ze mną do mieszkania Deedry, tylko żeby to sprawdzić?

Claude zastanowił się, po czym wzruszył ramionami.

– Myślę, że to będzie okej. Idziesz tam tylko po jedną kasetę. A co jeśli nie ma jej w magnetowidzie?

– Wtedy zamknę drzwi na klucz i oddam go szeryf. Claude zerknął na zegarek.

– Powiedziałem Skokowi, że będę w pracy po południu, ale nie powiedziałem dokładnie, o której. Chodźmy.

Gdy podeszliśmy do schodów, przez wąskie szyby po obu stronach tylnego wejścia zobaczyłam, że rodzeństwo Whitleyów wysiada z samochodu Beccy. Byli w siłowni. Wywnioskowałam to z ich strojów. Becca zaplotła włosy w warkocz. Prowadzili poważną rozmowę.

Otworzyliśmy drzwi do mieszkania Deedry i weszliśmy do środka, gdy usłyszeliśmy jak Becca i jej brat wchodzi do budynku.

Częściowo opróżnione mieszkanie, zakurzone i zabałaganione, wydawało się ciche i zamglone.

Claude kręcił się z tyłu, a ja włączyłam telewizor i magnetowid. Głos prezentera pogody brzmiał nieprzyzwoicie zwyczajnie w tym ponurym salonie, w którym zostało tylko kilka pudeł ustawionych w stertę przy ścianie, a każdy mebel stał trochę krzywo.

Małe światełko się zapaliło. W magnetowidzie była kasetka. Przewinęłam ją do początku, co trwało tylko kilka sekund. Nacisnęłam PLAY.

John Walsh, gospodarz programu *Najbardziej poszukiwani przestępcy Ameryki*, wypełnił cały ekran. Pokiwałam głową. Był to jeden z programów, które Deedra zawsze nagrywała. Ze swoją śmiertelnie poważną manierą Walsh mówił o tym, co będzie w tym odcinku: o przestępcach, których poszukiwano, o tych, których złapano, i o wszystkich rzeczach, które zobaczymy, a które nas zdenerwują.

No cóż, ja już byłam wściekła. Miałam zamiar wyjąć kasetę i zrezygnować ze swoich poszukiwań kasety Beccy, ale zamiast tego pomyślałam, że przewinę reklamę i sprawdzę, czy na taśmie są jeszcze inne nagrania.

Reklamy przewijały się w szybkim tempie. Później powrócili *Najbardziej poszukiwani przestępcy Ameryki* i John Walsh stał przed zdjęciami z kartoteki policyjnej, przedstawiającymi mężczyznę i kobietę. Walsh złowrogo potrząsał głową, wykonując przy tym szarpane, gwałtowne ruchy, po czym rozpoczął się film z inscenizacją zbrodni. Wcisnęłam kolejny guzik, by obejrzeć ten fragment.

„... podpalenie”, powiedział stanowczo Walsh. W inscenizacji atrakcyjna brunetka o ostrych rysach, która przypominała nieco kobietę ze zdjęcia, nacisnęła dzwonek u drzwi. Otworzył jej starszy mężczyzna, a wtedy ona powiedziała: „Jestem z firmy ubezpieczającej samochody TexasTech. Jeden z naszych klientów wykazał, że pana samochód brał udział w wypadku, w wyniku którego jego auto zostało uszkodzone. Czy może mi pan o tym opowiedzieć?”.

Starszy mężczyzna wyglądał na zagubionego. Ruchem ręki zaprosił młodą kobietę do swojego salonu. Miał ładny dom, duży i elegancko urządzone.

Aktor odgrywający staruszkę zaczął protestować, że jego samochód nie brał udziału w żadnym wypadku. Kiedy młoda kobieta zapytała go, czy jej współpracownik mógłby obejrzeć pojazd, bez wahania wręczył jej kluczyki.

Co za głupiec, pomyślałam.

Nie byłam lepsza.

W telewizorze młoda kobieta rzuciła kluczyki swojemu „współpracownikowi”, potężnemu młodemu blondynowi z imponującymi barami. Mężczyzna odszedł, prawdopodobnie w kierunku garażu, ale kamera została wewnątrz domu, gdzie właściciel nadal protestował. Aby pokazać, jak cwana była ta kobieta, kamera skupiała się na jej rozbieganym wzroku, który taksował ładny pokój, gdy staruszek klekotał bez przerwy.

Kobieta zbliżała się do niego coraz bliżej, a gdy mężczyzna wyraził gotowość zatelefonowania do swojego agenta ubezpieczeniowego, młoda brunetka przybrała klasyczną postawę gotowości do walki, wycofała lewą rękę do pozycji wyjściowej do zadania ciosu i uderzyła mężczyznę tam, gdzie łączą się dolne żebra. Wpatrywał się w nią, oszołomiony, przez kilka sekund, po czym upadł na podłogę.

Prawie nie byłam świadoma tego, że ktoś za mną szura nogami.

– Przepraszam, Lily – powiedział nagle Claude – będę w łazience.

Nie odpowiedziałam, byłam w zbyt wielkim szoku.

Teraz kamera filmowała mężczyznę, leżącego bez sił. Prawdopodobnie miało to oznaczać, że nie żył.

„Gdy ich ostatnia ofiara leżała na podłodze we własnym salonie, wydając ostatnie tchnienie, Sherry Crumpler i David Messinger metodycznie przeszukiwali dom. Nie wyszli z niego, dopóki nie zabrali wszystkiego: pieniędzy, biżuterii, samochodu. Zabrali Harveyowi Jenkinsowi nawet kolekcję monet”.

Pokażcie jeszcze raz zdjęcia.

Kiedy John Walsh opowiadał ze szczegółami o całej serii podobnych przestępstw dokonanych przez tę parę i zachęcał widzów do przywiedzenia morderców przed oblicze sprawiedliwości, ich portrety ponownie pojawiły się na ekranie.

Przyjrzałam się kobiecie. Nacisnęłam pauzę. Przyłożyłam dłonie po obu stronach jej twarzy. Oczyma wyobraźni jaskrawo pokolorowałam zdjęcie.

– Wydawało mi się, że kogoś tu słyszę. Becca Whitley stała w progu.

Natychmiast nacisnęłam przycisk STOP.

– Tak, Lacey poprosiła mnie, żebym tu popracowała. Nie powinnam oglądać telewizji – powiedziałam, siląc się na uśmiech.

– Oglądałaś telewizję? Ty? W trakcie pracy? Nie wierzę w to ani przez chwilę – powiedziała beztrzesko Becca. – Mogę się założyć, że znalazłaś następną kasetę.

Odwróciła się i zwróciła w kierunku korytarza: – Kochanie, ona wie.

Brat Beccy wszedł do pokoju. To on był na drugim zdjęciu. Dużo łatwiej było go rozpoznać.

– Gdzie jest prawdziwa Becca Whitley? – zapytałam, szczęśliwa, że nie byli w stanie usłyszeć, jak głośno wali mi serce. Ugięłam lekko kolana i zmieniłam ustawienie stóp, by zapewnić lepszą równowagę. – I prawdziwy Anthony Whitley?

– Anthony wpakował się w małe kłopoty w Meksyku – powiedział David Messinger. – A Becca jest kupką kości w jakimś wąwozie w górzyskiej okolicy w Teksasie.

– Dlaczego to zrobiliście? – zapytałam. – W tym bloku nie ma bogaczy.

– Spadło mi to z nieba – powiedziała kobieta, którą wciąż nazywałam Beccą. – David uwodził Beccę już od miesiący, gdy nagle musiał wyjechać z kraju na parę tygodni. Zaczęło się robić zbyt gorąco, żebyśmy mogli zostać razem. David namówił Anthony'ego, żeby pojechał z nim. Becca była porządna, ale Anthony był złym człowiekiem. Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego Apartamenty Ogrodowe zapisano w spadku tylko Becce? Dlatego że Anthony był w więzieniu. To właśnie tam Dave go poznał. Kiedy pojechali razem do Me–hi–ko, wynajęli łódkę. A kiedy łódka wróciła do portu, był w niej już tylko jeden mężczyzna. I ten mężczyzna miał wszystkie dokumenty Anthony'ego. – Becca uśmiechnęła się tym mocnym, szerokim uśmiechem, który prawie polubiłam. – Zmieniłam się, jak widzisz. Kupiłam najlepszą perukę, jaką mogłam znaleźć, i bardzo dużo kosmetyków. Gdy kręciłam się wokół Beccy w Dallas, byłam jej najlepszą przyjaciółką – sądziła, że miałam zostać jej szwagierką. Jej wujek zmarł tu,

w Shakespeare, a ona opowiedziała mi o nim, o tych mieszkaniach, o jego małych zapasach gotówki. Opowiedziała mi też o swoim pradziadku. Potrzebowałam jakiegoś miejsca dla siebie, spokojnego miejsca, gdzie nikt nie zawracałby mi głowy. Kiedy więc odeszła z pracy i opuściła swoje mieszkanie, żeby się tu przeprowadzić, wybrałyśmy się razem na przejażdżkę.

Jej uśmiech był szeroki i szczery.

Sherry Crumpler i David Messinger stali między mną a jedynymi drzwiami, którymi mogłam uciec, i patrzyłam, jak David zamknął je za sobą. Był na prawdę duży. Sherry naprawdę dobrze walczyła.

Byli ostrożni.

– Co z kluczami, zabrałaś klucze? Jak długo żołądek Claude’a będzie sprawiał mu kłopoty?

– Wiedziałam, że będę musiała oddać swój komplet szeryf, przynajmniej na jakiś czas, a nie byłam pewna, czy Deedra nie zostawiła jakiejś wiadomości. Więc ukradłam całą torebkę, wzięłam też klucz z parasolki w wiacie garażowej. Przyszłam tu zaraz po tym, jak wróciłam z lasu, i zabrałam gazetę z programem, bo była poznaczona. Ale ludzie zaczęli wracać z weekendu i musiałam zostać w mieszkaniu. Później miałam jeszcze dwa razy okazję przyjść tu i postarać się sprawdzić, czy nie zostały jakieś ślady. Uznałam, że nic takiego nie zostało. Ale w chwili gdy zobaczyłam, że wynosisz kasety, uświadomiłam sobie, że pewnie nagrała ten program. Oglądałam go tego wieczoru. Możesz sobie wyobrazić, co czułam. Ale byłam pewna, że nikt mnie nie rozpozna. Jednak następnego ranka zobaczyłam Deedrę, jak zmierza do kościoła. Byłam w szoku, gdy zdałam sobie sprawę, że wie, kim jestem.

– Niesamowite, jak makijaż może zmienić wygląd – powiedziałam, gdy rozdzielili się i zaczęli osaczać mnie z dwóch stron.

– Wiesz, nie znoszę tego – powiedziała szczerze Sherry. – I nie znoszę tej cholernej peruki. Mogę ją na szczęście zdejmować na czas snu, ale w ciągu dnia mam ją ciągle na sobie. Tego dnia, gdy wpadłaś, a ja byłam pod prysznicem – gdybym nie pilnowała się, żeby nakładać makijaż i fryzurę, gdy tylko jest to możliwe, wyszłabym z łazienki bez nich. Ale jestem zdyscyplinowana, więc miałam na sobie perukę i makijaż.

Stopniowo przechodziła w pozycję gotowości do walki, ustawiła się do mnie bokiem, ugięła kolana, zacisnęła pięści. Uderzyła.

Ale mnie już nie było.

Odkoczyłam na bok i kopnęłam ją w prawe kolano.

Zacharczała, ale doszła do siebie i wróciła do wcześniejszej pozycji. David postanowił zakraść się od tyłu i unieruchomić mnie, obejmując ramionami. Odrzuciłam głowę w tył i walnęłam go w nos. Zachwiał się, a Sherry zaatakowała raz jeszcze. Tym razem trafiła mnie w żebra, a ja mimo bólu chwyciłam jej rękę i wykręciłam ją.

Odwlekałam jedynie to, co było nieuniknione, ale miałam swoją dumę.

Straciłam ją, gdy David grzmotnął mnie w głowę.

– Claude! – przekrzykiwałam dzwonienie w uszach. – Claude!

Becca-Sherry szykowała się właśnie do potężnego kopnięcia, gdy Claude wyszedł z łazienki z bronią w ręku. Sherry stała do niego tyłem, ale David go widział, a ja byłam przynajmniej częściowo świadoma jego obecności, po tym jak potrząsnęłam głową, żeby nieco otrzeźwieć. Claude zdołał pchnięciem usunąć Sherry z linii strzału tak, że rozłożyła się na kanapie Deedry, cały czas trzymając Davida na celowniku. Rzuciłam się, rezygnując z resztek godności, spomiędzy Claude'a i tej dwójki. Cały czas się pochylałam, żeby Claude mógł ich zastrzelić, gdyby musiał.

Przekazał informacje przez radio, które miał przypięte na ramieniu. Reakcją było takie zaskoczenie, że musiał powtórzyć wszystko jeszcze raz,

spokojnym, pewnym, charakterystycznym dla Claude'a tonem, dzięki któremu był tak dobrym policjantem.

– Nie mogę wyjść z pokoju, a tym bardziej wyjechać z miasta, żebyś nie wpakowała się w kłopoty – powiedział do mnie, gdy uznał, że odzyskałam już mowę. – Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

– Zabiła Deedrę – powiedziałam. Otworzyłam drzwi, które zamknął David, żeby policjanci mogli wejść. Słyszałam zbliżające się syreny.

– Becca zabiła Deedrę? Dlaczego?

– To nie Becca. Deedra ją rozszyfrowała.

Kobieta nic nie powiedziała. Patrzyła na nas spode łba i trzymała się za kolano. Miałam nadzieję, że je jej wybiłam. Miałam nadzieję, że okropnie cierpiała. Davidowi krew leciała z nosa ciurkiem, ale Claude nie pozwolił mu sięgnąć po chusteczkę. David także nic nie mówił. Był zbyt doświadczonym przestępcą, by sobie na to pozwolić.

– No cóż, zanim pogawędzimy z nimi o Deedrze, możemy oskarżyć ich o napaść na ciebie – powiedział Claude po namyśle.

– Musicie obejrzeć to nagranie – pokazałam na magnetowid. – Po tym jak nadjedzie wsparcie – dodałam pośpiesznie, ponieważ chciałam, żeby Claude skupił się na obecnej sytuacji.

Uśmiechnął się ponuro i nie był wcale rozbawiony.

– Nie jest to jakiś sprośny film, prawda? – zapytał, nie spuszczać wzroku z Davida.

Becca, Sherry czy jakkolwiek jej było na imię, wystartowała z kanapy. Gdybym nie chwyciła jej z całej siły za łydkę, wylądowałaby pewnie tuż przy drzwiach, w miejscu, gdzie przykucnęłam. Moje dłonie nie były na tyle duże, by pewnie ją złapać, ale udało mi się spowolnić jej ruch i przytrzymać mocno lewą kostkę. Lewą, czyli tę zdrową. Prawie przewróciła się na mnie, a ja podniosłam się i obróciłam. Przycisnęłam

przedramię do jej gardła. Zaczęła się dławić i wbijać palce w moje ramiona i głowę.

Zamknęłam oczy i schyliłam głowę tak mocno, jak to było możliwe, i przyszpiliłam jej nogi swoimi. Wiedziałam, że muszę sobie z nią poradzić sama – Claude nie mógł spuścić olbrzyma z celownika.

– Zabiję cię! – powiedziała słabym głosem.

Nie sądziłam, żeby była w stanie. Ale wierzyłam, że chciałaby to zrobić.

Miała jednak jeszcze asy w rękawie. Skoncentrowała wszystkie siły: nie walczyła jak wiatrak, ale jak wytrenowany zawodnik. Chwyciła mnie za uszy i skrzyła je, próbując zmusić mnie, żebym się przetoczyła na plecy. Dopadało mnie już zmęczenie i nie byłam tak zdeterminowana jak ona, więc moje poddanie się było kwestią sekund. Ale zebrałam resztki sił, zacisnęłam lewą dłoń w pięść i podniosłam ją tak wysoko, jak mogłam. Była tak skupiona na tym, żeby wejść na mnie, że nie zauważyła, co próbuję zrobić.

Uderzyłam ją w głowę tak mocno, jak tylko potrafiłam.

Wydała śmieszny odgłos, jej uścisk zelżał i straciła świadomość.

Wtedy dwóch mężczyzn ściągnęło mnie z niej.

Wszystkim dobrą chwilę zajęło ustalenie, kto był bohaterką, a kto czarnym charakterem. Jak tylko Skok Farraclough i Tiny Dalton zdali sobie sprawę, że stoję po stronie prawa i porządku (choć przekonanie ich o tym zajęło trochę czasu), porzucili zamiar zakucia mnie w kajdanki i zamiast tego skuli ślaniającą się Beccę. Sherry. Nieważne. W trakcie walki jej peruka przekrzywiła się, mimo że była dobrze umocowana. Jej własne włosy (ufarbowane na identyczny kolor, pewnie na wypadek, gdyby wystawały spod peruki), miały może trzy centymetry długości. Zastanawiałam się, czy jej spektakularna klatka piersiowa była darem natury i jak wyglądała ta kobieta, gdy zmywała z siebie cały makijaż.

Wszystkie te obrysy, cieniowania, rozświetlania, jaskrawe kolory zmieniły jej rysy tak bardzo, że chyba tylko ekspert od makijażu mógł powiedzieć, jak wyglądała naprawdę. Ekspert taki jak Deedra Dean. Deedra dostrzegła to, co było poza błękitnymi soczewkami, stanikiem push-up, tapetą, peruką.

– Dlaczego Deedra nikomu nic nie powiedziała? – zapytał mnie później Claude.

Siedzieliśmy w jego gabinecie na posterunku policji.

– Może nie wierzyła własnym oczom. Musiała nie być pewna tego, co widziała. Może chciała jeszcze raz dokładnie przyjrzeć się Sherry Crumpler, żeby się na sto procent upewnić, że jej podejrzenia są prawdziwe.

– Sherry jest naprawdę sprytna i wydaje się nie mieć żadnych problemów z zabijaniem ludzi, jeśli połowa z tego, co ci powiedziała, jest prawdą – powiedział Claude. – Pewnie uznała, że lepiej zabić Deedrę, zanim David przyjedzie do miasta, bo on dużo bardziej przypomina siebie w telewizji. Spotkanie z nim utwierdziłoby Deedrę w jej podejrzeniach.

– Może będą na siebie kablować. – Mój głos był tak zmęczony jak całe moje ciało.

– Och, już to robią. Każde z nich zatrudniło prawnika, wybranego na chybił trafił z książki telefonicznej. Prawnicy chcą zaistnieć i pojawić się w programie telewizyjnym poświęconym zakończeniu tej sprawy. Myślę, że najpóźniej jutro odezwą się do mnie ludzie z *Najbardziej poszukiwanych przestępców Ameryki*.

– Powiesz mi, co ci powiedzieli?

Gdy przyjadą media, chciałam być jak najdalej od więzienia, posterunku i Claude'a.

– David mówi, że wyjechaliby stąd już tydzień temu, gdyby Joe C. zmarł wtedy, gdy powinien był to zrobić. Oczywiście to Sherry podłożyła ogień. Chciała dostać w spadku te siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Później pomyślała, że gdyby David się pojawił i udawał brata Beccy, a nie chłopaka, także dostałby swoją działkę. Po tym jak zabiła Deedre, wiedziała, że muszą jakoś przyspieszyć swój plan wyłudzenia pieniędzy i musi wynieść się z miasta. Planowała, jak twierdzi David, sprzedać Apartamenty, jak tylko stąd wyjadą. Miała wynająć kogoś, kto zająłby się formalnościami i tylko wysłał jej umowę do podpisu. Wtedy mogłaby zniknąć. Nikt by o tym specjalnie nie rozmyślał.

Przemyślałam ten plan, szukając słabych punktów. Znalazłam tylko kilka.

– Potrafiła podrobić podpis prawdziwej Beccy?

– Idealnie, najwidoczniej.

– A skoro nikt stąd, nawet z rodziny, nie widział Beccy i Anthony’ego, odkąd byli małymi dziećmi, nikomu nie przyszło do głowy, że nie jest naprawdę Beccą? Nikt nie wpadł na to, żeby to sprawdzić?

– Wydaje mi się – zahuczał Claude – że prawdziwa Becca musiała być samotniczką. A Sherry w przebraniu chyba powierzchownie pasowała do opisu: wysportowana blondynka o niebieskich oczach. Ale David twierdzi, że prawdziwa Becca miała jakieś problemy emocjonalne, nie potrafiła nawiązywać przyjaźni. Pewnie sądziła, że David spadł jej z nieba, a kiedy jego „siostra” chciała się z nią kumplować, a David zdążył zakolegować się z jej bratem twardzielem, uznała, że samotne dni już nie wrócą.

– Czemu David wymyślił, że pracował w więzieniu?

– No cóż, znał się na tym, nieprawdaż? Gdybyś uważnie słuchała programu NPPA, wiedziałabyś, że David prawie całe życie spędził na odsiadkach. I Sherry w sumie też.

– Miała nerwy ze stali, skoro mieszkała tu tak długo, podając się za Beccę.

– Nerwy też, ale to była niezła przykrywka. A gdyby doczekała do chwili, gdy było na tyle bezpiecznie, by David do niej dołączył, zarobiliby mnóstwo kasy – sto czterdzieści tysięcy z udziałów w domu Joego C. plus to, co by później dostali ze sprzedaży mieszkań. Dopóki w telewizji nie pokazali tego programu, zresztą na kilka dni przed planowanym przyjazdem Davida. On mówi, że powinna była skontaktować się z nim i go ostrzec. Ona twierdzi, że próbowała, ale nie było go pod ustalonym numerem telefonu. Więc przyjechał. Generalnie sędzę, że czuli się całkiem bezpiecznie, całkiem anonimowo. Próba spalenia domu Joego C. okazała się tylko częściowym sukcesem, ale staruszek i tak zmarł, więc uznali, że dziwnie by to wyglądało, gdyby wyjechali przed pogrzebem. Ale wtedy wtrąciłaś się ty.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, co się stało z Deedrą.

– Według Davida... Na pewno chcesz to usłyszeć, Lily? To tylko to, co David twierdzi, że Sherry mu powiedziała.

Skinęłam głową. Spojrzałam na swoje dłonie, żebym nie musiała patrzeć Claude'owi w oczy.

– Sherry wycelowała broń w Deedrę w to niedzielne popołudnie, parę godzin po tym, jak Deedra wróciła z kościoła i spotkały się na schodach. Sherry przez te dwie godziny zrobiła mnóstwo planów, gdy zorientowała się, że Deedra nie zadzwoni od razu na policję. Apartamenty Ogrodowe były opustoszałe i choć nie mogła być pewna, czy ktoś się lada moment nie pojawi, uznała, że musi podjąć ryzyko. Musiała wywabić ofiarę z budynku. Gdyby Deedra zginęła w mieszkaniu, śledztwo skupiłoby się na jedynej osobie, która tego dnia była w pobliżu – na niej. Sherry zmusiła Deedrę do pojechania na drogę przy Farm Hill Road, bo wiedziała, że wtedy znajdą się

tuż za granicą miasta i śledztwo poprowadzi Marta Schuster. A to ładnie skomplikuje sprawę, skoro ostatnio Marlon tak często kręcił się wokół Deedry. Gdy znalazły się na miejscu, Sherry zmusiła Deedrę do zatrzymania auta, wyjścia z niego i rozebrania się. Czułam, jak moja twarz się wykrzywia.

– Zmusiła ją do rozrzucenia ubrań.

– No tak. – Claude milczał przez chwilę. Wiedziałam, że próbuje wyobrazić sobie, co czuła Deedra, i nie potrafi.

– Kiedy Deedra już była rozebrana, Sherry kazała jej się oprzeć o samochód, a gdy to zrobiła, uderzyła ją. Jeden cios w splot słoneczny. Z całej siły.

Wolny głęboki wdech. I wydech.

– Gdy Deedra konała, Sherry wepchnęła butelkę i ułożyła Deedrę w samochodzie. Wymagało to wielu starań, ale Sherry jest ekspertem od sztuk walki i bardzo silną kobietą. Co zresztą sama wiesz.

Wdech. Wydech.

– Co się stało później?

– Później... poszła do domu.

Po całym tym gadaniu o zamianie samochodów, o wspólniku wydawało się to takie proste. Poszła do domu. Jeśli trzymała się lasu, mogła dotrzeć do domu bez konieczności pokazywania się komukolwiek. Tak naprawdę... Próbowałam wyobrazić sobie Shakespeare z lotu ptaka... Jeśli to dobrze zaplanowała, mogła przejść polem w kierunku sklepu sportowego Winthropów, a stamtąd spacerkiem z powrotem do Apartamentów.

– Dzięki tobie – ciągnął Claude po długiej przerwie – moja żona siedzi w domu sama i zastanawia się, kiedy wróci jej świeżo upieczony mąż.

Wysiliłam się na uśmiech.

– Dzięki mnie będziesz miał swoje pięć minut sławy – przypomniałam mu. – Złapałeś dwoje z grona najbardziej poszukiwanych przestępców Ameryki.

– Bo miałem sraczkę – powiedział, potrząsając ze smutkiem głową.

– Tę część możesz pominąć.

– Ciekawe jak.

– Powiedzmy, że zrobiłeś się podejrzliwy, gdy usłyszeliśmy, jak jacyś ludzie idą po schodach na górę, i ukryłeś się w łazience, żeby wziąć ich z zaskoczenia.

– To brzmi lepiej niż tłumaczenie, że zjadłem nieświeżą rybę.

– Racja.

– Chyba w takim razie skorzystam.

– Nie ma sprawy.

– A co z tobą, Lily?

– Jutro pracuję. – Westchnęłam ciężko i podniosłam się z dostawionego krzesła w gabinecie Claude'a. – Muszę odebrać jedzenie i pomagać na stypie Joego C.

– Miałem na myśli dłuższą perspektywę. Byłam zaskoczona. Claude nigdy nie pytał mnie o życie osobiste.

– Wiesz, że Jack to ten jedyny – powiedziałam. Cicho, prosto z mostu.

– Wiem. Szczęściarz z niego.

– No cóż, widzę, że coś z tego będzie.

– Myślisz, że weźmiecie ślub?

– Być może. Twarz Claude'a się rozjaśniła.

– Nigdy bym nie pomyślał. Bardzo się cieszę, Lily.

Zastanawiałam się przez chwilę, czemu ten pomysł uradował Claude'a. No tak, mówi się, że nowożeńcy wszystkich widzieliby na ślubnym kobiercu.

– Bo moja żona – wypowiedział te słowa z widoczną dumą – zadzwoniła do niego, gdy dowiedziała się, że byłaś zaangażowana w tę ostateczną rozgrywkę. I Jack czeka w poczekalni.

– Carrie... zadzwoniła do Jacka?

– O tak. Choć sądzisz, że jest nieśmiała, wycięła ci taki numer.

– On tu jest – powiedziałam z uczuciem niewyobrażalnej ulgi, szczęśliwa jak nie wiem co.

– Gdybyś otworzyła drzwi – powiedział Claude uszczypliwie – nie musiałbym ci o tym mówić, sama byś się przekonała.

Przekonałam się.

Później tego wieczora, kiedy tylko księżyc oświetlał mój dom, usiadłam na łóżku. Obok mnie, ułożony na boku, leżał Jack. Jego rozpuszczone włosy były splątane, a jego klatka piersiowa cicho podnosiła się i opadała. Twarz we śnie była spokojna i odprężona, ale odległa. Niepозnawalna. Mogłam poznać tylko tego mężczyznę, którym próbował być, gdy nie spał. Kto wiedział, dokąd prowadziły go sny, jak głęboko w jego umysł i serce? Dalej niż kiedykolwiek będę w stanie dotrzeć. Wstałam, rozsunęłam zasłonki. Światła w mieszkaniu na piętrze, które należało do Deedry, nadal były włączone. Pewnie policja je tak zostawiła. Dziwnie się czułam, widząc, że znów się palą. W chwilach gdy wcześniej je zauważałam, miałam taki pogardliwy odruch: znowu się z kimś zabawia – a zaraz potem przebiegłam w myślach niebezpieczeństwa, jakie niosła ze sobą jej rozwiązłość.

Ale to nie jej słabość spowodowała śmierć. Zabiła ją jedna z jej silnych stron.

Zastanawiałam się, co to oznacza. Jaką lekcję można było wyciągnąć ze śmierci Deedry. Myślałam o tym przez chwilę, ale albo nie miało to znaczenia, albo nie byłam w stanie pojąć tego morału. Przypomniałam

sobie Deedrę taką, jaka pojawiła się w moim śnie, z pilotem w dłoni.
Oglądając film z wnętrza swojej trumny.

Zasunęłam zasłony i odwróciłam się w stronę łóżka.